

**JERZY
OFIERSKI**

**nie zdałeś matury,
poruczniku**

czytelnik



Nie zdałeś matury, poręczniku

Jerzy Ofierski

Spis treści

| | |
|---------------------|-----|
| Rozdział I..... | 2 |
| Rozdział II..... | 16 |
| Rozdział III..... | 31 |
| Rozdział IV | 38 |
| Rozdział V | 48 |
| Rozdział VI | 65 |
| Rozdział VII | 77 |
| Rozdział VIII | 92 |
| Rozdział IX..... | 98 |
| Rozdział X..... | 109 |

Rozdział I

Gong. Idę na środek ringu. Sędzia stoi z prawej strony. Chyba znajomy. Już go widziałem. Wiem. Na balu Czerwonego Krzyża. W zeszłym miesiącu. Był pijany. Roman wysuwa lewą rękę do przodu. Uderza lekko w moją rękawicę. Uśmiecha się.

Po czorta dałem się w to zrobić? „Bokserzy na odbudowę Warszawy”. Czyn społeczny. Romana rozumiem. Wicemistrz Pomorza z 39 roku. Chce się pokazać publiczności. Jest popularny. Trudno. Zgodziłem się - trzeba walczyć.

Właściwie to moja pierwsza walka. Tych w wojskowej hali nie liczę. Dziwne wrażenie. Na scenie, wokół ringu siedzą ludzie. Przeważnie znajomi. Światło świeci ostro. Tych na sali nie widzę. Jakby ukryci w mroku. Ale czuję ich i słyszę.

Uderzył mnie lewym prostym. Raz i momentalnie poprawił. To nie boli. Denerwuje. Krążymy wokół siebie. On przez cały czas się uśmiecha.

Dlaczego ring jest na scenie? Przed wojną widziałem film. Amerykański. O bokserach. Ring był w środku hali.

W mieście jest tylko jedna sala. Teatralna. Walki muszą się tutaj odbywać. Na scenie.

Jestem sztywny. Co to jest? Niepotrzebnie wczoraj piłem. Nieważne. Przecież to „na niby”. Uwaga. Chce mnie uderzyć prawym prostym. Trzeba odskoczyć. Tam w dole sali jeszcze milczą. Nic się nie dzieje. Widzę oczy Romana. Patrzy porozumiewawczo. Pamięta o umowie. Walka jest towarzyska. „O czapkę gruszek”.

Na sali zrywa się krzyk. Uderzył mnie prawym. Głupiec ze mnie. Dałem się zaskoczyć. Częściowo złapałem cios na rękawicę. To tylko groźnie wyglądało. Sędzia nawet nie liczył. Właściwie tylko się potknąłem. Publiczność jest wyraźnie za Romanem. Wiadomo - przedwojenny bokser. Podobno rękawice ma jeszcze przedwojenne. Moje są poniemieckie. W koszarach znaleźli kupę sportowego sprzętu. Widać Niemcy mieli klub sportowy.

Może spróbować go trafić? Nie. Umowa jest umową. Zresztą potem dałby mi bobu. Nie.

- Walczyć!

Kto to mówi. Aha... sędzia. Dureń, nie wie, że walka jest na niby. Czego się spodziewał? Że się tutaj pozabijamy? Jednak trzeba trochę udawać. Roman jest podenerwowany. Widać, że się krępuje. Pewnie chciałby sobie ze mną pohulać. Zresztą ja też mogłem go parę razy trafić. O teraz... Zupełnie się odkrył... Podskakuje. Krok do przodu i zaraz się cofa. Nie. Jeszcze nie. Może za chwilę lekko go uderzę. Przecież też nie mogę z siebie robić zupełnego barana.

Poci się. Kropelki błyszczą mu na czole. Już go bierze. Za szybko. Dopiero pierwsza runda. Nic dziwnego. Starszy facet. Ma chyba ze dwadzieścia siedem lat. Jak ja będę w jego wieku, też będę się męczył.

Na sali ktoś gwizdnął. Teraz gwizdów jest więcej. Jakby zagrała orkiestra. Oczy Romana stają się złe. O co mu chodzi? Przecież, gdyby nie umowa, tobym nie walczył. Dureń. Czy on tego nie rozumie? Chce się popisać.

Zaraz skoczy. Tak. Krzyk w dole na sali. Bije serią w żebra. Trzeba przytrzymać rękami. Dobrze. Będzie chciał wyjść z ciosem ze zwarcia. Tylko którą uderzy?

Źle. Mocno uderzył. Szumi mi w głowie. Widzę też niewyraźnie. Świnia. Najwyraźniej chce mnie położyć.

Wrzask na dole wzmacnia się nieustannie. Czy on zwariował? Co to za umowa? Wpędza mnie w róg ringu. Tutaj mnie załatwi. Boję się. Może się położyć? Niech mnie wyliczą. Jasne. Tego właśnie chce. Jeżeli tak wyglądały jego zwycięstwa przed wojną, to dziękuję. Umawia się i potem wali.

Jezu! Ale mnie trafił. Nadziałem się. Prawy prosty. Jak mogłem się nie uchylić? Przecież sygnalizował cios. Źle widzę. Z oczu lecą łzy. Skąd się w oczach bierze tyle wody? Na szczęście nie krwawię.

Cholera. Nie pozwolę tak się poniewierać. Po co się zadawałem z prościuchem? Taki nie dotrzyma umowy.

Widzę trochę lepiej. Trzeba głęboko oddychać. Ciągłe atakuje. Robi ze mnie worek treningowy. Czekaj. O! Teraz. Masz! Dostał. Zatrzymał się raptownie. Włosy spadły mu na oczy. Jak spojrział kretyn! Zdziwiony. Poprawia włosy rękawicą. A co on sobie myśli? Joe Luis się znalazł! Cały czas będzie mnie walił?

Sędzia szarpie mnie za ramię. Aha. Jesteśmy w zwarcu. Ale przecież to nie ja go trzymam.

- Zapomniałeś o umowie, gnoju?

On chyba zwariował! Jeszcze ma pretensje! Ja zapomniałem! Więc dlatego wszedł do zwarcia. Żeby mi to powiedzieć. Powiedzieć? Przecież on charczał mi do ucha. Łoi mnie, a ja mam czytać gazetę. Przedwojenny mistrz.

Świnia! Po komendzie „puść” uderzył mnie w szczękę. Publiczność się śmieje. Jak z dobrego kawału. Nie trzeba było zgadzać się na walkę. Z takim repem nie dam rady. Przedwojenny bokser...

Jest zmęczony. To widać. Sapie głośno. Pot też ma jakiś ostry... Właściwie cuchnie... Brudas. Znowu się odkrył. Mógłbym teraz trafić lewym prostym. Dam spokój. Co to, przyszedłem stawy szukać. Ale Romcio też nie taki kozak.

Stracił refleks. Nic dziwnego. Dwa lata w Oświęcimiu. Dlaczego się zgrywa? Zależy mu na wygranej? Przecież i tak wygra.

Hach... Nie mogę złapać tchu. Dostałem w żołądek. Poprawił lewym sierpem w skroń. Chyba kciukiem zawadził w oko.

Sala wrzeszczy. Dlaczego? Nie rozumiem. Przecież Roman nie jest w porządku.

Gong.

To już koniec? Nie - dopiero pierwsza runda. Zostały jeszcze dwie. Po czorta się zgadzałem? Władek jest w rogu. Wyciąga ręcznik. Trzeba przejść kilka metrów. Muszę prosto. Po co publiczność ma wiedzieć? W głowie mi się kręci. Oko też boli. Musiał uderzyć kciukiem. Świnia. Na pewno specjalnie. Jestem przy linach. Władek podaje mi w garnuszku wodę. Płuczę usta.

- Wypłuj.

- Gdzie?

- Tutaj, do kubelka. Nie widzisz?

- Aha...

- Uważaj na lewy sierp. Ciągłe się nadziewasz.

- Co ty mi pieprzysz! Była umowa, że walka będzie na lipę. Inaczej bym się nie zgodził. On chyba zgłupiał.

- Lipa nie lipa, a oko ci podbił. Fona jak ta lala. Daj, przetrę gąbką.

- Uważaj! Boli!

- Widzisz! Puchnie.

Koło rogu Romana siedzi nasz komendant szkoły. Razem z szefem sztabu. Weszli za darmo. Sam załatwiałem bilety. Patrzą na mnie i śmieją się. Widzę wyraźnie. Zwłaszcza szef sztabu. Pochylił się do komendanta. Do ucha mu coś gędzi. Komendant zatyka dłonią usta. Aż nim trzęsie. Ważniak, ale podobno prochu nie wachał. Oni wszyscy tacy. Powojowałby jeden z drugim w lesie... Kto to siedzi z nimi? Wiem. Drogista z rynku. Ma sklep. Zapalony kibic. Na wszystkie mecze chodzi. Miły. Piłem z nim w „Magnolii”. Zapoznał mnie z jedną lekkoatletką. Juniorka. A gdzie Hanka? Miała być na meczu?

- Gdzie Hanka?

- Jest na sali. Nie chciała siedzieć przy ringu. Krępowwała się. Wszyscy widzą...

Ciekawe, co odczuwa artysta, jak jest na scenie? Najgorzej, jeżeli zapomni roli. Co się robi w takiej chwili?

Gong.

- Ring wolny. Drugie starcie.

Dowcipny się znalazł. Sam wiem, że drugie. Źle się zaczyna. Roman jest wyraźnie napalony. Pogadali sobie z sekundantem. Idzie jak wariat. Tak. Zupełnie zapomniał o umowie. No dobra. Jeszcze nie rano. Już niejeden w życiu chciał mnie na leżąco oglądać. Widziałem paru gierojów.

Umie się boksować. To widać. Nie mogę go trafić. Pewnie wyglądam przy nim jak kotek. Ciągłe bija mu brawo. Wszyscy są za nim. Wszyscy. Gdzie Hanka? Jak ja jej spojrzę w oczy? Spróbuję i ja na brawa zarobić.

On jest lepszy. Sędzia znowu nas rozdziela. Koszulę ma przepoconą pod pachami. Widać żółte plamy.

- Walczyć.

Dobrze. Jak trzeba, to trzeba. Spróbujemy. Zwód lewą, markowany cios. Powinien opuścić gardę. Jest. Teraz! Udało się. Dlaczego jest cicho na sali?

- Raz... dwa... trzy...

On leży na deskach. Ale głupio wygląda z tą odchyloną nogą. Wszystko mu widać. Nie wstydzi się? Co ten sędzia pokazuje? Aha, to jemu.

- Cztery... pięć...

Nikt nie bije brawa. Nawet komendant szkoły. Czy jestem tutaj sam? Przeciw wszystkim?

- Sześć... siedem...

Teraz zrywają się brawa. Znaczący - zwyciężyłem. Chyba koniec? Nie. On wstał. Szlag by to trafił! Muszę go położyć. Sędzia wchodzi między nas. Pokazuje Romanowi, że ma wytrzeć rękawice. Celowo to robi. Oni nas wszystkich nienawidzą. Utrudnia mi dojście. Ale położyłem Romana. Musiał mi czysto wyjść cios. Nie chciał zgodnie z umową - to ma. Zaraz to skończę. Muszę skończyć. Żeby tylko raz się nadstawił.

Nie mogę uderzyć. Ciągłe pcha się do zwarcia. I trzyma. A swołocz! Ugryzł mnie w ramię. Sędzia nie widzi. Już ja go osadzę. Żeby jeszcze raz...

Gong.

Stało się. Nie położyłem go. Coś mi mówi, że to koniec. Trzeba będzie walczyć jeszcze jedną rundę. Głupstwo. Tylko trzy minuty. Jestem w narożniku. Władek się uśmiecha. Podobno przed wojną trenował go Doroba. Władek jest z Warszawy. Kawał chłopca. Na sekundanta się zgodził, ale boksować nie chciał. Mądry. A do mnie mówił: „morda nie szklanka, nie stłucze się”. No trudno. Dałem się zrobić.

- Widzisz! W trzeciej go położysz. Masz kopa!

- Daj spokój! Byle dotrzeć do końca. Już nie mam siły. Niech tam on sobie wygrywa na punkty. Co to? Zależy mi? Była przecież umowa.

- Co ty z tą umową! Jak masz faceta na widelcu, to go kładź. Wynik idzie w świat. Będzie sensacja!

Komendant i szef sztabu patrzą teraz w mój narożnik. Wszyscy patrzą. Szef sztabu to przedwojenny zawodowy. Taki to się na wojsku zna. Uśmiechają się do mnie. Sala jest cicha. Tylko szum słychać. Jak w ulu. Romanowi przykładają flaszkę do nosa. Z amoniakiem. Nic ci, bracie, nie pomoże. Niech tylko się zaczniesz. Dlaczego ten gong się nie odzywa? Oko puchnie coraz bardziej. Prawie nie widzę.

- Co z okiem?

- Fatalnie ci rozkwaśił.

- Daj wody.

- Tylko nie pij. Popłucz usta i wypluj. Picie osłabia.

- Głupie gadanie. Chce mi się pić.

- Wypluj. A po gongu idź na niego. Słaby zupełnie. To już ramol. Położysz go w pierwszej minucie.

- Jaki z ciebie specjalista. Idź ty!

Żeby się ten gong odezwał. Jest. Bardziej czuję, niż słyszę. Idę na Romana. Szum się wzmacnia. Wszyscy wiedzą, że teraz się rozstrzygnie. Jest tylko on. Tylko on.

Uskoczył. Ma jeszcze siłę. Próbuję go trafić. Cios idzie w powietrze. Wygląda na to, że przyszedł do siebie. Amoniak pomógł. Niemożliwe. Wydaje mi się. Odskokczę i zaraz do przodu. Jest. Dostał. Cofa się. Muszę go wykończyć. Uskoczył w bok. Lecę w liny. Co to? Śmiech. Publiczność się śmieje.

Opanować się. Tak. Niech on atakuje. Wyraźnie się cofa. Ma pietra. To jasne. Po takim ciosie. W prawej mam kopa.

Trudno. Nie chce on - ja pójdę do przodu. Dobrze. Tylko jak? Teraz. Trochę beztładnie macham rękami. Musi to śmiesznie wyglądać. Jeszcze trochę do przodu. Prawym...

Co to jest? Ring kręci mi się pod nogami. Nie mogę wstać. Gdzie ja jestem? Błysk.

- Cztery... pięć... sześć...

Więc to ja leżę. Jak to się stało? I to na początku rundy. Trudno będzie przetrzymać do końca. Wstać... Nogi mam jak z waty. Podeprę się rękami...

Siedem... osiem...

Stoję. Trzeba trzymać gardę. Pójdę do zwarcia. Odpocznę.

- Walczyć!

Idzie na mnie jak buldog. Lewą zbija gardę. Błysk.

- Raz... dwa... trzy...

Co jest, do diabła? Znowu leżę? Wszystko się kręci. Sucho w ustach. Jakiś dziwny zapach. Krew leci mi z nosa.

- Cztery... pięć...

Muszę wstać. Muszę... Dobrze. Ile jeszcze do gongu? Ciężkie te rękawice. On ma przedwojenne, a moje...

- Walczyć!

Położę się na niego. Żeby tchu trochę złapać. Odpocząć. Odpocząć... Nic nie widzę. Znowu wali we mnie serią. Ręce mi opadają. Ale stoję. Spróbuję go trafić. Diabła tam! Cios pruje powietrze. Odskokzył.

Na sali ryk. Co oni krzyczą? „Zabij gnoja!!!!”. Ładnie, nie ma co. On mnie faktycznie zabije. Znowu coś wołają. To ten łysy facet przy ringu. Aż mu twarz posiniała. „Lu go w tę gwiazdkę!” To niby dlatego, że jestem oficerem. Walczę. Jeszcze walczę. Tak łatwo mu ze mną nie pójdzie. Usta mam pełne krwi.

Znowu ryk. „Hooof ruk!” To tak jak robotnicy. Przy dźwiganiu ciężarów. Błysk. Leżę. Wstać.

- Hooof ruuk!!!

Znowu leżę. Ale robię się przytomniejszy. Wraca mi świadomość. Przetrzymać do końca.

- Raz... dwa... trzy...

Odpocznę. Jeszcze ze cztery sekundy.

- Cztery... pięć... sześć...

Stoję.

- Hooof ruuk!!!

Znowu leżę. Koszulka cała jest zakrwawiona.

Wszystko rozumiem. Muszę go zabić. Inaczej to się nigdy nie skończy. Zabiję. Zanim odezwie się gong. W oczach robi mi się czerwono. Tak jak wtedy w Lechówce. Wykańczaliśmy pięciu granatowych. Cały posterunek. Komendanta posterunku dopadłem w stodole... Nocą. Biliśmy się w zapolu. Kawał chłopa. Myślałem, że mnie udusi, ale sobie postanowiłem, że go zabiję. Nie umierałem, tylko wolniutko nożem po nadgarstkach i w brzuch. Dobrze, że mu się mundur rozpiął. Przez sukno nie miałbym siły. Byłem już słaby.

- Cztery... pięć... sześć... siedem...

No, do roboty. Trzeba go zabić. Robię się coraz przytomniejszy. Od tego bicia. Ciosy zamiast ogłuszać - otrzeźwiły. Co ten sędzia pokazuje? Palce. Chce sprawdzić, czy policzę. Czy jestem przytomny. Spokojna głowa. Policzę.

- Cztery.

- Walczyć.

Tak. Trzeba walczyć i to prędko. Czerwono. Czerwono. Tylko spokojnie. Muszę go zabić. Muszę. Raz go uderzę. Ale wtedy już nie wstanie. Byle nie dać po sobie poznać, kiedy uderzę.

Wali mnie i wali. Ale to już na nic. Nie ma siły. Zasłaniam się lewą rękawicą. W prawej mam dla niego śmierć. Prawa jest jak wyrok. Robi mi się dobrze. Pewnie. To jest to uczucie. Kiedy się zabija. Jakoś dziwnie.

Publiczność wyje. Jakiś facet rzuca gazetę na ring. Idę wolno do przodu. A widzisz! W jego oczach jest strach. Już wie, że go zabiję. Złapałem oczami jego wzrok. Jest przerażony. Wszystko widzę wyraźnie. To zaraz nastąpi. Musi. On wie i ja. Zapędzam go do rogu. Jeden cios. W powietrze. Drugi...

W powietrze. Uskokzył na środek ringu. Znowu patrzy mi w oczy. To go zgubi. Mojego wzroku trzeba się bać. Jak mi czerwono. Jest tak przerażony, jak ten z Arbeitsamtu, com go rozwałił koło Plewina. Nawet podobny. Zresztą Roman przeszedł Oświęcim. Musi się bać tych, co zabijają.

Przestał boksować. Blady. Ucieka. Publiczność nic nie rozumie. Durnie. Tu się zaczęło zabijanie. Skąd oni mogą wiedzieć? Roman wie. Te dwa lata go nauczyły. Musiały.

Teraz. Odkrył się. Wszystkie siły wkładam w ten cios. Nawet się nie bronił. Jak na egzekucji. Roman klęka na środku ringu. Ręce ma opuszczone. Doskakuję do niego. Prawy hak. Powinien upaść do tyłu. Nie. Opiera się rękami o deski. Gwizdy takie, że można ogłuchnąć. Sędzia rzuca się na mnie. Odpycham łokciem. Roman klęczy. To prawidłowa pozycja. Jeszcze raz prawym. Koniec. Leży na wznak. Chyba zabity. Lekko mi. Ale się namęczył.

Powariowali. Na ring wbiegają jacyś faceci. Publiczność wyje. Rzucają we mnie, czym popadło. Teraz chyba dostałem kluczami? Tak. Ktoś rzucił we mnie kluczami od mieszkania.

Niosą Romana. Oczy ma otwarte. Matowe. Trudno. Tak było pisane. Dzisiaj jemu. Gwizdy. Ciągłe gwizdy. Uwaga... Leci butelka od piwa. Wyraźnie widzę biały fajansowy kapsel. Leci prosto na mnie. Żeby nie ci dranie, co trzymają mi ręce, tobym się zastonił. Coś trzeszczy...

*

Ktoś puka do drzwi. Kto? Może Jurek Milski.

- Proszę.

To pani Helena. Czego chce? Dobrą porę wybrała na wizyty. Wyglądam strasznie. Oczy podbite, warga rozcięta, korpus posiniaczony.

- Dobry wieczór, panie poruczniku.

Więc to już wieczór. Wróciła ze sklepu. Musi być ósma. Sama wszystkiego dogląda. W sklepie pracuje czterech ekspedientów. Trzeba pilnować. Inaczej rozkradną. Męża ma chorego. Jest na kuracji w Szwajcarii. Że też go puścili? Forsa. Wszystkie drzwi otwiera.

- Dobry wieczór.

- Jak pan się czuje?

Dlaczego weszła do pokoju? Właśnie dzisiaj? Nigdy tego nie robiła. Co było do załatwienia, omawialiśmy w korytarzu.

- Dziękuję. Już lepiej.

Początkowo chciała się mnie pozbyć. Objęła mieszkanie, ale ze mną. Ładny dodatek dla samotnej kobiety. Miała mi znaleźć inny pokój. Proszę bardzo. Rozumiem. Zawsze to mężatka. Nie wypada mieszkać z mężczyzną. Niby jest z synem. Bzdura. Dzieciak cztery lata. Ale pokoju musi szukać ona. Mam kwaterek wojskowy. Tu mi dano kwaterę. Jestem w prawie.

- Mizernie pan wygląda.

- Były powody.

- Żle o panu mówią w mieście.

- Takie to i miasto. Ciekawe kto?

- A ci, co interesują się sportem. Wie pan, jak pana nazywają?

- Ciekawe.

- Bandyta. Walczył pan nieprawidłowo?

- Nieprawidłowo... Duże słowo. Byłem nieprzytomny. Zresztą Karolak podobno żyje. Po co tyle krzyku?

- Swoją drogą, to kto by się po panu spodziewał. Takie chuchro.

Dziwnie jest ubrana. Niby w sukienkę, ale dekolt ma jakiś inny. Wszystko jest inne.

- Mogę usiąść koło pana?

- Proszę.

Dekolt jest rozchylony. Koło szyi widać piegi. Ale to nie razi. Piersi też jej widać. Zwariowała baba czy jak? Przecież to starsza facetka. Co najmniej dwanaście lat ma więcej ode mnie. Musi być po trzydziestce.

- Może przynieść panu coś do picia?

- Dziękuję. Mam wszystko. Przyniósł goniec z kantyny.

- To resztki obiadu?

- Nie smakował mi.

- Trudno powiedzieć, żeby was dobrze karmili.

- Jadłem gorzej.

- Mam pomysł. Skoro i tak jesteśmy razem, zjedźmy wspólnie kolację. Proszę się zgodzić, panie poruczniku.

Czego ona chce? Zawraca głowę, a ja ledwo zipię. Teraz jeszcze biorą mnie dreszcze. Kto to mówił, że starsze kobiety są najlepsze? Sierżant Skroczen. Świnia. Ja właściwie... Oczywiście... Z Beatą w Przemyślu to już było prawie to. Tylko się przestraszyła. Akurat ktoś łaził po schodach.

Przyrządza coś w kuchni. Dzieciak pewnie śpi. Drzwi uchylone. Kręci się koło kredensu. Szuka serwetek. Dźwięczą szklanki. Może to i dobrze? Faktycznie jestem głodny. Tylko jak jeść? Wargi mam potłuczone.

- Jestem.

Miała to przygotowane. Musiała. W dwie minuty tak się tacy nie nakryje. Ładnie wygląda. Apetycznie. Jak na wystawę.

- Przyniosłam też coś mocniejszego. Eierkoniak. Lubi pan? Dla rekonwalescentów zalecane.

- Nie piłem jeszcze. Ale dlaczego pani...

- Tsss... Dzisiaj ja dowodzę.

Co się ze mną dzieje? Cały się trzęsę. Może wróciła gorączka?

- Co panu? Ma pan temperaturę?

Czuję jej dłoń na czole. Chłodna i delikatna. Pachnie. Wiem, dlaczego suknia jest dziwna. Jest cała zapinana na guziki. Od góry do dołu. Nogę ma odkrytą. Na udzie widać niebieskie żyłki. Dlaczego zdjęła pończochy?

- Nie. Mierzyłem po południu. Było trzydzieści sześć, siedem.

- Proszę wypić. Rozgrzeje pana.

- Taka duża szklanka?

- Co to dla wojaka?

- A pani?

- Ja też.

Dziwnie mi. Boję się czy co? Piję wolno. Gęsty jest ten... eierkoniak. Ale dobry. Słodki. I mocny. Pachnie cynamonem. Nie. Goździkami. Smakuje.

- No?

- Dobrze.

- Zjemy coś?

Głupio się zachowuję. Jakbym nigdy nie był z kobietą. Co ona sobie pomyśli? Ładny oficer ze mnie. Przed wojną do porucznika, co mieszkał w naszej kamienicy, ciągle przychodziły dziewczyny. Zawsze inne. Umiał przygadywać.

- Nie. Jeszcze raz się napijemy. Pani też.

- Dobrze.

Patrzy na mnie badawczo. Rozlewa żółty płyn do szklaneczek. Milczymy. Ona pije. I ja. Cały czas patrzy na mnie.

- Polał się pan.

- Na leżąco trudno pić.

Rzeczywiście trochę likieru wylało mi się na piersi.

- Daj. Wytrę.

Mówi mi „ty”. Rozpina pidżamę. Delikatnie wyciera mi szyję. Dotyka piersi. Teraz gładzi po sutkach.

- Jaki pan posiniaczony. Całe żebra.

Znowu „pan”. Mówi chrapliwym głosem. Koło nosa robią się jej białe plamki. Odchyła bluzę coraz bardziej. Żeby tylko nie odsuwała kołdry. Wszystko zobaczy. Odsunęła. Widzi. Nie jest zaskoczona. Chce tego.

Co robić? Przecież okropnie wyglądam. Oczy podpuchnięte. Wargi też. Nawet całować nie mogę.

Pochyla się. Nagłym ruchem rozpina na sobie sukienkę. Jak bluzkę. Do pasa. Piersi ma wielkie. Cała jest wielka. Duża. Dojrzała. Nigdy nie widziałem dojrzałej kobiety. Sama tego chce.

Już nie mogę. Wszystko mi jedno. Szarpię za suknię. Guziki z trzaskiem się odrywają. Jest naga. Cała naga. I wielka.

- Wacław!

- Helena... ja...

Pochyla się nade mną. Piersi prawie dotykają mi twarzy. Kładzie się przy mnie.

- Tylko uważaj, Wacław...

Więc to tak wygląda? Na to czekałem dwadzieścia lat?

*

- Jedz. Nałóż sobie kiełbasy. Wiejska. Wczoraj baba przyniosła. Do sklepu. I sałatki spróbuj. Sama robiłam.

- Dziękuję.

- Szczęśliwy jesteś?

- A ty?

- Bardzo. Zobaczysz, będzie nam dobrze. Musisz się tylko do mnie przyzwyczaić.

A więc chce to ciągnąć. Co mi zależy? Zanim przyjedzie mąż, będę miał wygodę. Dobrze mieć swoją kobietę. Człowiek czuje się ważny. Miłe uczucie.

- Nalej likieru.

- Smakuje ci? To ja robiłam.

- Zdolna jesteś, ale wolę czystą.

Nieprawda. Smakuje mi. Czystej nie lubię. Ta jest słodka i dobra. Trzeba tak mówić. Pomyśli, że ze smarkaczem się zadaje.

- Wy, chłopcy, nie wiecie, co jest dobre. Właśnie. Zaraz inaczej mnie ceni. Muszę być dla niej ostry. Na filmie zawsze tak jest.

Głupia sprawa. Dwadzieścia lat i pierwsza kobieta. Fakt. Beaty w Przemysłu liczyć nie można. Mężczyzna musi być pewien siebie. Oschły.

- Chodź tutaj.

Patrzy na mnie zaciekawiona. Zaskoczyłem ją. Ale jest posłuszna.

- Coś ty? Zjedz najpierw.

- Nie gadaj, tylko chodź!

Jak sobie pomyślę, że znowu mnie obejmie, ściśnie bolące zebra... Ona to robi specjalnie. Jakby chciała mi zadawać ból. Wtedy oczy robią się jej nieprzytomne. Nawet w usta mnie całowała. Gryzła. Chociaż popuchnięte. Dziwna kobieta. Wszystko to dziwne.

- Już idę.

*

- Przy ludziach mów mi zawsze „pani”. Przy służącej też.

- A niby dlaczego?

Pewnie że będę tak mówił. Nawet wolę. Stara baba. Potrzebuję, żeby koledzy się śmiali. Wszyscy mają ładne dziewczyny. Hanka też jest ładna. A ona? Twarz ma brzydką. Jak Murzynka. Ale w sobie

jest piękna. Może każda kobieta, kiedy naga, jest piękna? To mnie podnieca, że taka duża. I biała. Ciało ma twarde.

- Głupie pytanie. Przecież jestem mężatką. Po co wszyscy mają wiedzieć.

- A co będzie, jak mąż przyjedzie?

- Wszystko się skończy.

Śmieszne. Nad łóżkiem w sypialni wisi jego portret. Brunet. Przystojny. Sportowiec. Podobno dobrze grał w tenisa. Na ścianach pełno jego zdjęć. Sam albo z Heleną. Na portrecie się uśmiecha. Jakby kpił. Ślubne zdjęcie. Helena jest w welonie. Nie. Jeżeli będziemy to robili, to zawsze u mnie. Głupie uczucie. Mąż patrzy na ciebie z portretu. I kpi.

- No dobrze. Rozstaniemy się. Skoro tak mnie kochasz.

Tak trzeba mówić. Spokojnie i cynicznie. Ona sobie pomyśli, że się maskuję. Swoją drogą będzie szkoda. Tak jest dobrze. Wygodnie.

- Nie wygłupiaj się! Do kochania masz Hanke.

- Wiesz o niej?

- Ja wszystko wiem.

- Żebyś wiedziała, że ją kocham.

- Komu chcesz to wmówić? Taką gęś? Ale kochaj siebie... Kochaj, mały bandyto.

- Przestań! Nie lubię takiego gadania. A może ty po prostu wstydzisz się? Dlatego przy ludziach nie chcesz być „na ty”. Niby racja. Z komunistycznym oficerem?

- W łóżku nie masz gwiazdek. Ani na pagonach, ani na czapce.

- Na czapce, Bogu dzięki, mamy jeszcze orły.

- Dobrześ powiedział: Bogu dzięki.

- Mogłabyś się nie wtrącać do nie swoich spraw.

- Czy ty naprawdę jesteś za nimi? Wierzysz, że to się utrzyma?

A jeśli nie wierzę, to co ja to obchodzi? Czy muszę jej mówić? A zresztą co miałem robić? Dalej siedzieć w lesie? Dość mam tego cholernego lasu. Uczyć się wreszcie trzeba. To nie okupacja. Zły czas dla partyzantki.

- Coś ci powiem, Hela. Schowaj twoje głupie gadanie dla siebie. Następnym razem dostaniesz!

- Może pasem? Widziałam, masz taki gruby.

Patrzy na mnie dziwnie. Głupia czy co? Nie lubię, jak ktoś przy mnie takie rzeczy opowiada. Co ja myślę, to moja sprawa.

- Może być i pasem. Jak sobie życzysz.

- Dobrze. Ale nie uwierzę, żebyś był taki.

- Jaki?

- Jak ci wszyscy. Jesteś przecież inteligentny chłopak. Przed wojną też byś był oficerem.

- Odpieprz się!

- Ale się wyrażasz! Rynsztok.

- To dlaczego mnie prowokujesz?

Ona ma rację. Nie wierzę w to wszystko. Chociaż... Są i dobre rzeczy.

Ale na przykład nasz komendant. Mówią, że nie ma matury. Oficer i bez matury. I na froncie nie był. Ani w partyzantce. Albo Starszak. Kapitan. Nawet mówić nie potrafi. Ciągłe powtarza „niestety”. Trzeba czy nie trzeba. Bredzi bez sensu.

- To pewnie i do lokalu ze mną nie pójdziesz?

- Mój pan lubi tańczyć? Często chodzisz do „Magnolii”?

Chodzę często. Ale nie tańczę. Udaję, że wolę pić. Nie umiem tańczyć. Trzeba się nauczyć. Władek ma miłą narzeczoną. Janka. Ojciec kolejarz. Maszynista. Wybudowali sobie przed wojną domek. Prości ludzie. Ale bardzo przyjemni. Byłem tam z Władkiem. Janka to ładna dziewczyna. Mają patefon. Oni z Władkiem tańczyli. Janka mnie też namawiała. Myślę, że się jej podobam. Tylko jego inaczej traktuje. Mnie jak chłopca. Ciągnęła do tańca. Chciała nauczyć. Pójdę tam kiedyś z Władkiem. Wolę być z Janką niż z Hanką.

- Lubię tańczyć czy nie, to moja rzecz. Popatrzę, jak ty tańczysz. Za taniec z komunistycznym porucznikiem mogliby cię wykląć w tym twoim Grajdołku.

- Jakiś ty głupi.

- Możliwe. Pogorszyło mi się.

- Pójdę z tobą, gdzie zechcesz. I nie bocz się. Patrz, jaka jestem... Zobacz...

Znowu się zaczniesz. Wolno rozpina guziki sukienki. Że też jej się chce tak ciągle ubierać i rozbierać.

*

- Postaw jajecznice na stole.

- Czy pan wstanie?

- Tak. To pani kazała podać śniadanie?

- Pani. Przed wyjściem do sklepu. Czy jeszcze coś trzeba? Kawa stoi tutaj. W dzbanku.

- Dziękuję. Możesz iść. Zaraz, jak ci na imię?

- Marta.

- No dobrze. Idź już.

Zatroszczyła się Helena. Nawet nie słyszałem, kiedy wyszła. Służącej na imię Marta. Pracuje dopiero trzy dni. Nie ma więcej niż siedemnaście lat. Folksdojczka. Jest sprawiedliwość. Musi służyć. Tylko dlaczego u Heleny? Tak było i będzie. Forsa. To jest najważniejsze.

Swoją drogą, Marta to dobry numer. Patrzy jak wilk. Oczy ma zimne i złe. Musiało się jej dobrze powodzić. Przyszła kryśka na Matyska. Chociaż... To jeszcze dziecko. Siedemnaście lat. Ile miała, jak się wojna zaczęła? Dwanaście. Co ona rozumiała? Starzy winni.

Dobra jajecznica. Na wędzonym boczku. Taką lubię. Bułki też świeże. Chrupią. Po nocy ma się apetyt. Przestały mnie boleć żebra. Wymasowała je Helena. To jasne. Kiedyś musi przestać. Ciekawe, jak twarz? Gdzie lustro? Aha... Tutaj. Ładna jest ta artystka. Rita Hayworth. Skąd ja mam to lustro? Nie wiem. Chyba w knajpie komuś zabrałem.

Nie najgorzej to wygląda. Ale oczy ciągle podbite. Zwłaszcza prawe kiepskie. Tak szybko nie przejdzie. A co mi tam! Trzeba jeść jajecznicę. Wystygnie. Mogę leżeć w chatupie. Albo mi jest źle? Mam opiekę. Niech tylko przyjdzie wieczór.

Dzwonek.

Kto to może być?

- Marta! Marta!... Otwórz drzwi!

Idzie. Ciekawe, kogo też niesie? Jurek Milski. Słyszę jego głos. Fajny chłopak. Warszawiak. Nie z samej Warszawy. Z Pruszkowa. Jego rodzice mają cukiernię. Nadziani. Jurkowi dobrze się powodzi. Przysyłają mu forszę.

- Serwus, stary!

- Cześć, Jurek. Nie na zajęciach?

- Pluton ma wyszkolenie bojowe. Cztery godziny. Urwałem się. Powiedziałem Gorzelniakowi, że idę do ciebie. Klawy facet. Puścił. Po czorta mu jestem potrzebny? Kontrolować, jak prowadzi wykład? No i przyszedłem. Zobaczyć, jak żyjesz.

- Napijesz się kawy? Świeża i prawdziwa.

- Dobrze się urządziłeś.

- Tak sobie. Pijesz czy nie?

- Daj.

- Marta, przynieś panu filiżankę!

- Po co? Sam sobie przyniosę.

Kapitan Gorzelniak. Podobno dostał Virtuti Militari. Za 39 rok. Wykłada wyszkolenie bojowe. Lubią go podchorążowie. Nigdy się nie denerwuje. Żeby człowiek tak umiał. Ja to zwłaszcza na katu nie panuję nad nerwami. Gorzelniak powinien być komendantem szkoły. Ten by czegoś nauczył.

- No już! Nalewaj.

- Co tam w batalionie? Mocno na mnie pluja?

- Tak sobie. Z umiarem.

- W gazetach też pewnie mnie obsmarowali?

- Niewiele brakowało. Felkman się nie zgodził. Wywalili podobno artykuł. Z błotem cię zmieszali. Ale Felkman cwany. Na szczęście przy twoim nazwisku podali stopień: porucznik. No i że reprezentowałeś Klub Oficerskiej Szkoły. Felkman zadziałał, że tajemnica wojskowa.

- To nic nie pisali?

- Tyle co nic. Zwykłe sprawozdanie. Że przegrałeś przez dyskwalifikację.

- No i klawo!

- Ale Felkman wściekły. W kasynie to aż pięścią walił w stół. Napalił się. Mówi, że z tobą porozmawia.

Co mi tam Felkman. Opieprzy, opieprzy i spokój. Swoją drogą - inteligentny facet. Na zastępcę komendanta szkoły nie mogli dać innego. Zwłaszcza jak komendant palant. Fajnie się z nim rozmawia. Ważne, że nie sika wciąż polityką. Z takim się człowiek dogada. Chociaż komunista. Bo Felkman chyba jest naprawdę.

- Jak myślisz? Wlepi koszarniaka?

- Jak amen w pacierzu.

- Przeżyjemy. A co nowego?

- Lelczak znikł.

- Ten kapitan od topografii?

- Właśnie.

- Niemożliwe! Chyba nie zdezerterował?

- Głupi! Lepiej nie pytać. Podobno w nocy po niego przyjechali. Kamień, woda.

Otóż to. Człowiek się poczuł za pewny. Wcale nie jest tak cacy. Chyba ze trzy razy wypełniałem ankietę. To się źle skończy.

- A może się zapił? Po knajpach szukali?

- Może. Powiem ci, Wacek, czuję smród.

- No to co robić?

- Pierwsza rzecz - morda w kubel. Za dużo dowcipkujesz. Takie dowcipy to niebezpieczna sprawa.

- Na flicie nie umiem się powstrzymać.

- Boś głupi.

- A pieprzę. Co mi tam. To niech mnie zamkną. Kryminał też dla ludzi.

- Żeby się twoje słowa w gówno obróciły.

Cholera. Po co się pchałem do wojska? Teraz mógłbym jechać na Ziemię Odzyskaną. Robić maturę. Potrzebne mi to jak wrzód na tyłku. I jak się teraz wydostać? Dureń ze mnie. Dureń.

- No więc, co robić?

- Właśnie. Diabli wiedzą. Uważać. W razie czego - trudno. Trzeba będzie coś wykombinować.

- Niech to szlag! Gorzej być nie może. Ale myślę, że to przejdzie bokiem. Zobaczysz.

- Wyjdzie ci bokiem.

- Jurek. Srać na wszystko. Wyślę parzygnata po ćwiartkę. Napijemy się. Wódka najlepsza na kłopoty.

- Ja jestem goły. Stary pisał, że wysła forszę, ale mu się nie spieszy.

- Mam moniaki. Marta! Marta!

Już idzie z kuchni. Wódka powinna nam dobrze zrobić.

Rozdział II

Podniósł głowę. Dopiero teraz widać łysinę. Pod światło nawet wyraźnie. Patrzy na mnie. Oczy ma czarne. Jakby wypukłe. Patrzy uważnie. I chyba życzliwie. Przed nim leżą papiery. Jakieś wycinki z gazet.

- Proszę, siadajcie.

To jest to samo krzesło. Poznaję. Kiedy byłem tutaj ostatni raz, rozdarłem bryczesy. Widać nawet gwoździak, o który się zaczepiły. Usiądę bokiem. Muszę uważać.

- Dziękuję.

- Wiecie, dlaczego was wezwałem?

- Domyślam się, obywatelu majorze.

Trudno. Trzeba będzie to przełknąć. Że też oni muszą ciągle tak pieprzyć. Niby Felkman to mądry facet. Bzdura. Jak tylko ktoś może się popisać swoją władzą - nie wytrzyma. Choćby najmądrzejszy. Jak Felkmana wzięto, to co mówić o innych.

- Zdajecie sobie sprawę, co narobiliście? Że to była wroga robota?

Z grubej rury strzela. Wynika z tego, że kolejarzowi nie wolno dać po mordzie.

- Na nas patrzy społeczeństwo. Na oficerów Ludowego Wojska specjalnie. Patrzą, oceniają... A wy...

To znaczy, że oficer ma na wszystko pozwalać. Nawet na to, żeby bodaj łachmaniarz go zaprawił. Co on wie, baran? Oczywiście. Nie trzeba było mi włożyć na ring. To fakt. Oficerowi nie wypada. Ale jak już włożyłem - to trudno.

- Tymczasem wy zachowujecie się jak bandyta. Jak bandzior, który w ringu morduje bezbronny przeciwnik. Klęczącego. Nieprzytomnego.

Nic nie rozumie. Nawet tłumaczyć nie warto. Polityczny. Nie wygląda na oficera. Mówi jak ksiądz. Dziwny jakiś. „Bandzior”. Do mnie. Ciekawe, czy był na meczu. Czy widział, jak Karolak rozmazywał mnie po ringu. Jak to jego społeczeństwo krzychało: zabij gnoja!

- No? Nic nie macie mi do powiedzenia?

Ciekawe, skąd wzięli ten dywan? Ostatnim razem dywanu nie było. Podobno wysyłali ciężarówkę. Na Zachód. Wyszabrowany. Na pewno. Ale ładny. Zaraz inaczej pokój wygląda. I ta szafka jest nowa. Biblioteczka. Książek mało. Przeważnie wiersze. Broniewski, Szenwald... Felkman zbiera, żeby mieć materiały na akademie. Do deklamacji.

- Pytam was, co macie na swoje usprawiedliwienie?

Jest nowy portret Stalina. Oczywiście. Zgadza się. Bierut, Żymirski i orzeł - nad biurkiem. Tak jak było. Stalin na głównej ścianie. Duży obraz. Inny niż wszędzie. U zastępcy komendanta szkoły musi być inny. Stalin idzie przez pole. Płaszcz ma narzucony na ramiona. Wiatr podwiewa poły. I pali fajkę. Ciekawe. Fotografia czy namalowane?

- Wydaje mi się, że mówię do was?

- Melduję, że nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

- Jak chcecie. Ale sprawa będzie oddana do raportu. Chciałem z wami pogadać, zanim się tym zajmie komendant szkoły.

- Przepraszam, czy obywatel major był na meczu?

- Na szczęście nie. Spaliłbym się ze wstydu.

Więc nie był. Ale głędzić - głędzi. Powiem mu. Może być smród przy raporcie. I po co ma mnie uważać za bandziora! Lubię Felkmana. Mimo wszystko.

- Obywatelu majorze. Ja musiałem tak zrobić.

- Ciekawe! Tyle walk bokserskich się odbywa i żaden zawodnik tego nie robi. Wy musieliście!

- Byłem nieprzytomny.

- Karolak też był nieprzytomny. Klęczał. A wy mimo to... Masakrowaliście człowieka.

- Ta walka była umówiona. Mieliśmy walczyć na niby.

- Nie rozumiem.

- Dochód był na odbudowę Warszawy. Karolak ma znane nazwisko. Ludzie idą na niego. Ale nikt nie chce z nim walczyć. Boją się.

- A wy się zgodziliście?

- I tak, i nie. Umówiłem się z nim. Walka miała być fingowana.

- Znacie Karolaka?

- Tak. Miał wygrać na punkty. Ale nie nokautować.

- No i co?

- Zapomniał się kolejarzyna.

- Poruczniku. Jak wy się wyrażacie?

- Przepraszam. Zapomniał o umowie i zaczął się popisywać.

- Nie wiedziałem o tym.

- Nikt nie wiedział. Poza mną i Karolakiem. No i Władek... To jest - porucznik Idzikowski też wiedział. Był moim sekundantem.

- Mówcie dalej.

- W trzeciej rundzie byłem osiem razy na deskach. Oczy miałem popodbijane. Wargi rozbite. Mało mnie nie zatłukł. Gentleman Karolak. Przedwojenny mistrz. A społeczeństwo mało nie sikało z radości. Że komunistycznego oficera biją. No to zepsułem im zabawę.

- Wystarczyło wam siły?

- Siły już nie miałem. Wygrać już z nim nie mogłem. No więc postanowiłem go zabić. Wie obywatel major. Jak to na wojnie. Albo on mnie, albo ja jego. Na siły się tego nie mierzy. Chwalić Boga udało się. Ja zabijałem.

- Człowieku! Przecież walczyliście wbrew przepisom!

- Przepraszam, obywatelu majorze. Jak się zabija, to przepisy nieważne. Może nie było tak jak trzeba, ale mam dwadzieścia lat. Swoje w życiu przeszedłem i widziałem. Nie będzie mnie Karolak robił w capa. Musiał dostać swoje i dostał. I lepiej niech mi się po wyjściu ze szpitala pod muszkę nie pcha. Teraz to już wszystko powiedziałem. Przepraszam, żałuję, że tak wyszło. Nie mogłem inaczej.

- Co wy mi tutaj chrzanicie! Zawsze można inaczej!

Chodzi po pokoju. Myśli. Zrozumiał. Nie może mi powiedzieć, że miałem rację. Fakt. Ale zrozumiał.

- Tak czy inaczej - trzeba będzie was przenieść. Za dużo szumu z waszego powodu.

Szkoda. Było mi tutaj dobrze. I z Heleną się zaczęło. Mogło być fajnie.

- Żałuję, obywatelu majorze. Ale skoro trzeba...

- Szkoła i tak będzie niedługo rozwiązana. Reorganizacja.

Rozwiązują szkołę. Coś się tutaj mota. Czuję to. Przez skórę. Nieczysta historia.

- A co powiedzielibyście na wyjazd do Moskwy? Na Akademię Sztabu Generalnego. Mamy dwa miejsca. Jedzie porucznik Kulik, a jako drugi możecie wy.

Kulik pochodzi z Kielecczyny. Był w tym ich PPR-ze. Rodzinę mu wystrzelali NSZ-etowcy. Za nim też chodzili, ale zwiął. Udało mu się. Musiał dobrze, komu trzeba, zalać sadła za skórę. Inaczej by się tak nie zawzięli.

Więc dlatego wysyła Felkman Kulika do Moskwy. Chce go ochronić. Ale dlaczego mnie? Coś mi grozi? Może dlatego, że mnie lubi? Możliwe. Do Moskwy? Nie. To nie dla mnie.

- Nie musicie zaraz odpowiadać. Zastanówcie się.

- Obywatelu majorze. Niestety nie mam zamiaru długo pozostawać w wojsku. Gdybym miał być zawodowym - to co innego.

- Trudno. Sami sobie kiedyś podziękujecie. Jak kto głupi, to aż miło. W każdym razie musicie teraz zniknąć na parę dni. Po co ludziom psuć krew? W międzyczasie zostanieie przeniesieni do innej jednostki.

- To może by teraz urlop, obywatelu majorze?

- Tyle znowu zasług nie macie, żeby was urlopem fetować. Prędzej bym wam koszarniaka dołożył. Zresztą to was i tak nie minie.

Szkoda. Parę dni urlopu by się przydało. Niedługo wróci siostra. Z Niemiec. Pisała. Trudno.

- Przeniesiemy was na stanowisko szefa poligonu.

Ale mnie uraczył. Kłops. Na awans dziesięć lat się nie doczekam. Szef poligonu. Co to za funkcja? Wybiłem się. Szkoda gadać. To już lepiej niech przeniosą. Nie ma czego żałować. A w ogóle, trzeba się urwać do cywila. Zrobić maturę. Pójść na studia.

- Nie myślcie, że chcę się was pozbyć. Mam na poligonie ważne zadanie.

Powiedz swojej babci. Ważne zadanie. Pewnie zające macać.

- To będzie zajęcie na tydzień. Jeżeli nie więcej.

- Słucham, obywatelu majorze.

- Niemcy zabrali grunta okolicznym chłopom. Pod poligon. Powiększali go w czasie okupacji. Trzeba to teraz sprawiedliwie pomierzyć i dać chłopom zaświadczenia. Dla Urzędu Ziemskiego.

- Dostaną odszkodowanie?

- Coś w tym rodzaju. Obok poligonu była wieś kolonistów niemieckich. Warnica. Teraz ich wysiedlono. Ich ziemię dadzą poszkodowanym. No i jak? Poradzicie sobie z tą sprawą?

- Tak jest, obywatelu majorze.

Splawił mnie. Będę się w mierniczego bawił. Szlag by to trafił.

- Tylko się nie zapijcie na śmierć!

Prawda. Popić będzie można. Chłopki pewnie postawią. Jak dobrze pójdzie, to się trochę podokazuje. Szkoda, że Jurek nie może jechać. Byłaby zabawa.

- Postaram się, obywatelu majorze.

- To wszystko. Możecie odejść.

- Obywatelu majorze, podporucznik Czarnuszewicz melduje swoje odejście.

*

- No i jak?

- Kiepsko. Mają mnie przenieść.

- Dokąd?

- Jeszcze nie wiadomo. Chodź, Jurek. Pójdziemy gdzieś na kawę.

- Teraz nie mogę. Za pół godziny wychodzę z plutonem na zajęcia. Muszę „bojowe” prowadzić.

- Ty?

- Ja. Jeszcze nie słyszałeś? Gorzelniaka zamknęli. Cholera wie, za co. Mówili, że należał do jakiejś organizacji.

- Wierzysz w takie pierdoły?

- Trzeba uważać, bracie. Może i lepiej, że cię przenoszą.

- Cholera wie. Felkman musiał coś wyczuć. No to cześć. Przyjdź po ćwiczeniach.

- Przyjdę. Cześć.

*

Gorąco. Zmachałem się. Piętnaście kilometrów. Czuje się w nogach. Dobrze byłoby napić się piwa. Nie. Najpierw poszukam sołtysa. Ładna wieś. Domy czyste. Ale pusto. Ludzie w polu. Do zachodu słońce z półtorej godziny. Może jakaś knajpa będzie otwarta. Wątpię. Wieś mała. Jednak muszę się napić. Cholera! Skąd to bajoro na drodze? Nie przejadę. Trzeba zejść z roweru. Chyba tutaj zanocuję. Nie będę wracał nocą do miasta. Okolice spokojna, ale nie warto kusić losu.

Jest jakiś facet. Wyszedł z chałupy. Zobaczył mnie. Staął. Jakby chciał się cofnąć. Muszę ominąć kałużę. Zabłocę buty.

- Panie! Gdzie mieszka sołtys?

- Wąsowski?

- Może być i Wąsowski. Ważne, żeby sołtys.

- Nie ma go. Wyjechał. Przed wieczorem nie wróci. Jest w mieście.

Kręci coś? Chyba nie. Może faktycznie wyjechał.

- Restauracja albo gospoda we wsi jest?

- U nas nie. Po sąsiedzku w Warnicy jest gościniec.

- Co?

- Restauracja znaczy. Będzie ze cztery kilometry.

- Kawał drogi. Może chociaż wody do picia dostanę?

- Czego nie? Niech pan zajdzie do chałupy. Tutaj.

- Poczekam u furtki. Jeszcze błota naniosę.

- Jak pan woli. Halina! Halina!

Muszę załatwić nocleg. Ale co zrobić bez sołtysa? Nie przyjmą. Trzeba było wcześniej przyjechać. Wcześniej... Dobrze, że w ogóle rower dostałem. Żeby nie Helena, tobym pieszo drałował. Kto by mi rowerem pożyczył? Helena umie wszystko załatwić. Ma głowę. I znajomości.

- Wołał mnie tata?

Ładna dziewczyna. Taka, jakie lubię. Blondynka. I włosy ma długie. Ale jeszcze dziecko. Nie ma więcej niż szesnaście lat. Może siedemnaście. Co najmniej trzy lata młodsza ode mnie. Dzieciak.

- Przynieś panu wojskowemu garnuszek wody.

Idzie tak jakoś dziwnie. Jakby miała spętane nogi. Ale to nawet jest miłe dla oka. Obejrzała się. Ładna. Świeża. Przyjemnie patrzeć.

- Proszę.

Taki sam garnuszek kupiła mi matka. Przed wojną. W kształcie śmiejącej się głowy. Żebym chętniej pił mleko.

- Dziękuję.

Chciało mi się pić. Woda chłodna, ale zalatuje żelazem. Widać z pompy.

- Może jeszcze przynieść?

Podobam się jej. To się wyczuwa. Patrzy ciekawie. „Daje błyski” - jak mówi Jurek.

- Dziękuję bardzo. Wystarczy.

Ma zgrabne nogi. Szczupłe i długie. Ale pantofle jakieś dziwne. Oni tu wszyscy takie noszą. Drewniaki. Tylko nosek ze skóry. Jej to nie szpeci. Uśmiecha się.

- Nie wiem, co robić. Sołtysa nie ma, a ja tu służbowo. W sprawie gruntów zabranych pod poligon.

Poruszyło go. Zrobił się usłużny. Dobrze, że powiedziałem o tym poligonie.

- Niech pan zajdzie do mieszkania, panie poruczniku.

I na stopniu już się poznał. Nie mówi „wojskowy”. Ileż on może mieć lat? Ponad pięćdziesiątkę.

- Nie będę robił kłopotu.

- Jaki tam kłopot! Prosimy bardzo. Gdzie pan będzie się pchał aż do Warnicy. Poczeka pan u nas. Tylko patrzeć, jak sołtys przyjedzie. Halina! Wołaj matkę. Niech coś zrobi na kolację.

Ciekawe. Zmienił się w jednej chwili. Wiem. I jemu zabrali ziemię. Będzie szukał protekcji.

- Dziękuję, ale ja naprawdę nie chcę fatygować...

- Nie ma fatygi. Jak to powiadają: gość w dom - Bóg w dom.

- A rower?

- Niech pan postawi na ganku. Nikt nie ukradnie.

W sieni jest mroczno. I chłodno. Pachnie zbożem i kurzym łąjnem. Kuchnia. Duża, ale jakaś inna. Prawie że nie wiejska. Piec wielki. Z kafelków. Białe z niebieskimi. Jak szachownica. Garnków na blasze nie ma. Schowane. Inaczej w tych stronach ludzie mieszkają. Inaczej też żyją.

- Prosimy do pokoju.

Miły chłodek. Ale zapach inny. Jakby jedlina z naftaliną. Podłoga wypastowana. Na czerwono. Niczym w mieście. Obrazy. Jest i gospodarz. W niemieckim mundurze. Z tamtej wojny. Obok niego jacyś dwaj faceci. Wąsy mają podkręcone. Jak dwa szydła. Furażerki okrągłe. Z bączkiem na czole.

- Patrzy pan na portret. To z wojska. Jeszcze za Wilusia. O, na tamtym jestem już w naszym mundurze.

Dziwny mundur. Ale czapka - rogatywka. Tylko jakaś wysoka.

- Jako hallerczyk tutaj jestem.

Znaczy, dobrze obliczyłem. Ma ponad pięćdziesiątkę.

- Może się pan czegoś napije? Tyle że akurat wyszła nam monopolówka. Jest trochę bimbru. Ale z żyta. My zwyczajni ludzie. Nie wiem, jak pan?

- Nawet wolę. Dawne czasy przypomina... Ale po co tyle subiekcji?

- Jaka subiekcja! Halina, przynieść karafkę i kieliszki.

- Jedynaczka?

- Niby tak, ale jest jeszcze dwóch chłopaków. Jeden w mieście. Do terminu poszedł. Najstarszy w Reichu. W Niemczech znaczy... Na roboty go wzięli.

- Miałem siostrę w Niemczech. Pisze, że wraca.

- Mój się nie spieszy. Jego rzecz. Gospodarkę nam Niemcy rozpaprali. Czym tu trójkę obdzielić? O, i żona przyszła...

Jest zaskoczona. To widać. Patrzy pytająco na męża. Zła.

- Pan porucznik przyjechał w sprawie gruntów zabranych pod poligon.

- Mam wystawiać zaświadczenia. Ile komu zabrali. Taka tam biurowa robota. Żeby była podstawa do przydziału poniemieckiej ziemi.

Aż się ukłoniła. Inaczej patrzy. Dziwni ci ludzie na wsi. Ziemia dla nich - wszystko. Przecież teraz mogą nabrać, ile chcą. Majątki parcelują. Całe Ziemie Odzyskane. Tylko brać i gospodarzyć.

- Co nam dasz na kolację, matka?

Pochyliła się. Coś mu szepce do ucha. On spogląda na nią. Pewna siebie. Rządzi.

- Nie oglądaj się, tylko leć! U sąsiada wczoraj bili świnie. Smażoną wątrobę pan lubi?

- Bardzo, ale naprawdę...

- Nie byłam przygotowana. Może, zanim co, podam wecki ze świniną.

- Dawaj, co masz.

- Czy mają wątrobę, to na pewno nie wiem. Mogli wziąć do wątrobianki. Ale pewnie nie. Rzeźnik ma przyjść jutro. Do wyrobów mięso musi ostygnąć.

Dziewczyna ciągle na mnie patrzy. Dobrze, że wzięłem battledress. I garnizonówkę. Zawsze ładniej niż w polówce. Nieźle wyglądam.

- Jest świnina.

Ciekawe, jak smakuje. Postawiła na stole otwarty stół. Zapachniało liściem bobkowym. Podobna do tej... świnnej tuszonki. To była fajna konserwa. Mówili, że amerykańska. Teraz już takiej nie dają. Szkoda. Chleb ładnie pachnie. Duży bochen. Wiejski chleb długo jest świeży-

- Panie poruczniku. Pańskie zdrowie!

- Na zdrowie. A panna Halina nie pije?

Przystłoniła usta fartuchem. Założyła czysty. W kwiatki. Śmieje się.

- To jeszcze śpik. Ma dopiero osiemnaście lat. Gdzie jej do wódki!

Młodziej wygląda. Jak dziewczynka. Szczupła jakaś w sobie. Piersi ma małe. Nie to co Helena. Ale jest miła. Czysta. Przyjemnie na nią patrzeć.

Niedobry ten bimber. Gdzie tam on z żyta. Jedzie burakami. Nie potrafią robić wódki. Najlepszy samogon piłem koło Przeworska. Z melasy. Nic nie było czuć. A może po prostu miałem dobry dzień?

Świnina smaczna. Trzeba oględnie nakładać na chleb. Jeszcze pomyślą, że wieprzowiny nie jadłem. Smakuje mi. Dobra.

- To pan z tej podchorążówki?

- Tak. Jestem wykładowcą. Czasowo oddelegowali mnie na poligon. Żeby te pomiary zrobić. No i żeby ludziom ziemi nadzielić. Ile trzeba.

Niech myśli, że jestem wykładowcą. Szef poligonu to żadna pozycja. Kto to sprawdzi?

- No to jeszcze po jednym.

- Dla mnie za szybkie tempo.

- Iii... trzeba się spieszyć, nim baba wróci.

Chyba już wróciła. W kuchni słychać szuranie garnków. Pewnie Halina jej pomaga. Wyszła z pokoju.

- Na zdrowie. Abyśmy...

Słaba wódka. Niesmaczna. On pije jak delicje. Baba go krótko trzyma. To widać. Gospodarka solidna. Goni go do roboty, a sama rządzi. Teraz sobie folguje. Pantoflarz. Nieczęsto ma okazję.

- Zapalić światło?

Robi się szaro. Dlaczego? Jeszcze nie tak późno. Zresztą - lato. Mimo to szybko się ściemnia.

- Pewnie będzie padać. Chmurzy się. Dobrze, że siano zwiezione.

Zanosi się na burzę. Muszę coś pokombinować z noclegiem.

- Pójdę chyba do sołtysa. Muszę zanoćować we wsi. Niech mi coś przydzielą. Przecież to jego sprawa.

- Mowy nie ma! Zanocuje pan porucznik u nas! W tym pokoju. Halina tu śpi, ale pójdzie do matki. Ja zanocuję w stodole.

- Ja mogę pójść do stodoły. Bardzo lubię spać na sianie.

- Nie wypada, żeby taki gość na sianie. Ja pójdę i nie ma gadania.

Może to i dobrze. Matka uśnie. Spróbuję z Haliną. Ale jak narobi rabanu? Młoda, głupia. To po świńsku. Najeść się, napić i potem córkę...

- Przyniosłam kiszek. Pan porucznik lubi? Jest kaszana i zemelka.

- Jeszcze nie jadłem tej... przepraszam... zemelki. Co to jest?

- To jest bułczanka. Kiszka, tylko znaczy się... zamiast kaszy jest bułka z krwią. I podrobami, rzecz jasna.

- Wątroby już nie było. Ale jest biała kiełbasa, wątrobianka i salceson.

Będzie obżarstwo. Chcą mnie ugościć. Zależy im. Niech się dzieje, co chce. Raz człowiek żyje.

- No to za zdrowie pani gospodyni. I za pomyślność tego domu. W pani ręce.

- Walerka. Weź sobie kieliszek.

- Nie mogę. Głowę mam słabą.

Kryguje się. Mizdrzy. Panienkę udaje. Prukwa. Mój Boże. Pewnie to i dla niej rozrywka. Co oni tu mają na wsi? Robota i robota. Ludzi nie poznasz. Ani świata.

- Po raz pierwszy. Zdrowie pani gospodyni.

Pije. Zakrywa ręką usta. Bierze chleb z talerza. Wącha.

- Prosimy nakładać. Czym chata bogata.

Zmierzcha się coraz bardziej. Duszno. Od bimbru? Nie. Będzie burza. Dobra kaszanka. Lepsza niż ta... zemelka. Kapusta też dobra. Odgrzewana. Smaczna. Gospodarz je łąpczywie. Może go żona głodzi? Nie. W starym się jedzenie szybko spala. Ale przekarmiać go nie przekarmia. To fakt. Już trzeci kawałek kaszanki nakłada. Ona je małymi kąskami. W rzeczy samej - biedna kobieta.

- Pan porucznik to chyba przedwojenny?

Kpi sobie? Nie. Patrzy normalnie. Rzeczywiście tak myśli. To jest przyjemne. Widocznie wyglądam jak przedwojenny. Ja naprawdę poważnie wyglądam. Wąsy mnie postarzają. Mundury też mam eleganckie. Nie takie jak Jurek, ale zawsze.

- Po czym pan poznaje?

- Powiadają, że w tej podchorążówce to przeważnie przedwojenni są za oficerów. Kadrowych - znaczy. Ci, co z oflagów przyjechali. Z Zachodu. Pan też ma taką bluzę...

Aha... Więc dlatego mnie bierze za przedwojennego.

- Nie. Przed wojną byłem tylko plutonowym podchorążym. Zaraz po maturze poszedłem do wojska. Awans dostałem później. A bluza to ze zrzutu. Anglicy nam zrzucali. Kiedy byłem w lesie.

I tak niczego nie sprawdzi. Ani matury, ani podchorążówki, ani zrzutu. Mogę trochę pobujać.

- Zaraz widać, że pan niedzisiejszy.

- Nie przesadzajmy. A panna Halina do nas nie przysiądzie?

- Mamy swoją robotę w kuchni. Już i ja przepraszam. Znosi się na burzę. Trzeba byłoby obrządzić. Wy tu sobie pogadajcie. I przegryzajcie, proszę.

- No to jeszcze jednego, na drugą nogę.

- Musisz wypić, Walerka, kiedy pan porucznik prosi. Twoje zdrowie, matka!

Jak to jest? Nie widziałem ludzi, oni mnie, a pijemy jak starzy znajomi. Coraz duszniej. Gorąco. Może od wódki. Nie jestem pijany. Zagrzmiało. Jeszcze daleko. Będzie burza. Będzie. Gospodyni z Haliną wybiegły na podwórze.

- To pan i w partyzantce był?

- Tak. Dwa lata.

Też nieprawda. Tak długo to nie trwało. Może rok.

- Ciężko było?

- Różnie.

- Patrz pan. A partyzantka jeszcze teraz chadza.

- Tutaj?

- A tutaj.

- Za czasów okupacji było u was cicho. Teraz się ruszyło?

- Panie, wtedy partyzantka była zabroniona. Gdzie by się partyzant utrzymał. Wkoło żandarmeria, gestapo... Zaraz by złapali. Jedno co było - to tajne gazetki. Sam dostawałem. Panie - przyłapią i kara śmierci. I jeszcze męczarnia!

- Ale nie złapali.

- Bogu dzięki! Przez głupotę się człowiek narażał. Co tam komu przyszło z czytania. Kaczmarka z naszej wsi chwycili, to chłop podobno zwariował, zanim go dobili Ale nic nie wydał.

- A teraz, powiadacie, jest partyzantka...

- Ano, tak mówią. Tak mówią, panie poruczniku.

*

Chyba już półtorej godziny minęło. Druga butelka? Druga. Zaczyna mnie mdlić. Trzeba uważać. Gospodarz zalany. Gada głośno. Nie dopuszcza do słowa. Tylko patrzeć, jak się wykończy. Dobrze. I mnie się chce spać. Jutro po bimbrze tęb człowiekowi pęknie. Może mają maślankę. Na katza najlepsza.

- Więc zabrali nam pod poligon cztery morgi ziemi.

- No to tyle dostaniecie poniemieckiej.

- Ha... ale tu jest cała sprawa...

Pryska śliną. Rękami macha. Oczy wybałuszyl.

- Widzi pan, panie poruczniku. We wsi teraz różne draństwo rządzi. Jeden drugiego popiera. Wzięli mu morgę, a on mówi: pięć. I dostanie, bo jeden drugiego popiera.

- Jeszcze ja muszę wszystko zatwierdzić.

- To! Właśnie to! Pan musi zatwierdzić. Jest taki kawałek po Heidingerze. Drań był... zachowaj Boże. Dorfführer. Ruski czołg go rozjechał. Rodzina zginęła od szrapnela. Co do jednego. Całą chałupę rozwaliło. Ale ziemia została.

- No więc?

- Właśnie. Heidinger miał część gospodarki zaraz za drogą. Jechał pan tamtędy. Ładne pole. Siedem morgów. Może niecałe osiem. W jednym kawałku. Rozumie pan porucznik. Szkoda dzielić. A to zaraz przy naszym...

Tu cię boli. Więc jednak wylazła z ciebie świnia. Myśli, że jestem pijany. Że ugniecie mnie jak ciasto.

A właściwie to co mi przeszkadza? Moje to Heidingerowe pole? Napiszę, że wzięli mu osiem morgów i osiem dostanie. Innym za darmo zaświadczenia będę wystawiał. Tu chociaż piłem, jadłem... Ale co świnia, to świnia.

- Więc sobie myślę, że jakby nawet miało coś kosztować, to my bardzo chętnie.

O, sukinsyn. Chce przekupić. Dobrą posadę dał mi Felkman. Jakby chciał człowiek zarobić, to kupę forsy by trafił. Inny tak by zrobił.

- Nie. Zaświadczenia nic nie kosztują. Mam je ze sobą. Tu w mapniku. Już podstemplowane. Jutro będę wypisywał. No nalej pan po jednym. I sobie też. Pełno.

Poczekaj, bracie. Nie ty mnie, a ja ciebie upiję. Już ma oczy błędne. Zapalił się do morgów.

- A czemu nie weźmie pan sobie coś z reformy? Przecież dają. Koło was rozparcelowali Wałowiczki. Duży majątek. I ziemia dobra.

- Ja nie głupi, panie poruczniku.

Aż się na stół położył. Coś palcem rysuje w powietrzu. Odsunął łokciem talerz.

- Kto chce, niech bierze. Ja nie głupi. Pańskie jest pańskie. Nie rusz, bo ręka uschnie. A Heidinger był wróg. Zabili go. Rodzinę też wybili. Sukcesorów nie ma. Hipoteka czysta. Za moje się należy. Niech więc będzie Heidingerowy kawałek. To jest ziemia, jakiej mi potrzeba. W tych ciężkich czasach.

Kobiety wróciły. Rozpadało się. Całe są zamoczone. Grzmi coraz częściej. Idzie burza. Robi mi się sucho w ustach. Halina spogląda na mnie. Wykręca włosy. Chcę jej. Już to czuję. Muszę ją mieć.

- Znaczy, że te osiem morgów to na posag dla panny Haliny?

Dlaczego to mówię? Robię to celowo. Chcę coś załatwić. Głos mam ochrypliwy. On patrzy na mnie uważnie.

- Więc jak? Nie chce pan, jak to mówią, „ręka rękę”?

- Nie. Wolę, żeby to był posag dla Halinki. Pomyślę przez noc, jak to załatwić.

Jest zły. Wyrzeźwiał. Odsunął krzesło od stołu.

- Walerka, Halina! Chodźcie tu ku nam. Posiedźcie trochę.

Stara jest zdziwiona. Patrzy pytająco. Kurczy się w sobie.

- Siądź, Halinka, koło pana porucznika.

Znowu pijemy. Jest raz ciemniej, raz jaśniej.

Co chwila błyska się za oknem. Grzmi. Coś mówimy. To oni mówią. Ja słucham. Halina jest blisko mnie. Chyba za blisko. Ale to ja się przysunąłem. Znowu zagrzmiało! Gdzieś obok. Co to? Zgasło światło.

- W czasie burzy, tak zawsze. Wyłączają prąd, żeby w transformator nie uderzyło. Masz świeczkę, Walerka?

- Pójdę poszukać.

Szuranie krzesła. Co ja robię? Czuję pod dłońią kolano Haliny. Delikatne. Nie odsunęła mojej ręki. Teraz udo. Szczupłe, chłodne. Gładzę. Wyżej. Jeszcze. Westchnęła cicho. Znowu błyskawica. Chyba miała otwarte usta. Tak mi się wydawało. I lekko odwróciła się do mnie. Wyrzęzona. Nie cofam ręki. To było mgnienie oka. Już dotykam ją całkiem. Jest sztywna i nieruchoma.

- No i co, Walerka?

- Nie mogę znaleźć... Wsadziłam gdzieś...

- Czekaj, pomogę ci. W szufladzie ją widziałem.

Specjalnie wyszedł. Jesteśmy sami z Haliną. Przyciągam ją do siebie. Ręce mi drżą. Całuję ją w usta. Szukam dekoltu. Czuję jej piersi. Małe, jędrne. Kładę rękę znowu na kolanach. Podnoszę spódnicę.

- Halina. Przyjdź do mnie... Dzisiaj.

- A matka?

- Nie bój się. Przyjdź.

- Dobrze. Ale teraz przestań. Weź rękę. Nie chcę.

*

Drzę. Nie mogę się doczekać. Dlaczego nie przychodzi? Już po burzy. Tylko deszcz pada. Słysząc, jak dzwoni na blaszanym dachu. To dobrze. Nie będzie słyszał. Zagłuszy kroki. Usta mam suche. Jak papier. Jestem tylko w gimnastycznej koszulce. W pokoju ucichło. Skrzypi łóżko. Kładą się spać. Przyjdzie. Na podwórzu szczeka pies. Stary łązi po dworze. Pijany. Ja nie. Może trochę. Na ścianie tyka zegar. Głośno. Ale dopiero teraz to słyszę. Ma wielkie mosiężne wahadło. Ciemno w pokoju. Dziwnie mi. Różowo. Wstrzymać oddech. Idzie? Nie.

Coś mi się wydaje, że nie przyjdzie. Robi ze mnie durnia? Przecież całą ją dotykałem. Godziła się. Przyjdzie. Czeka, aż matka zaśnie. Muszę zakaszleć. Niech wie, że ja nie śpię.

Zaskrzypiało łóżko. Boi się. Matka chyba śpi. Przecież piła. I zmęczona. Na wsi ludzie chodzą wcześniej spać. Krew mi pulsuje. Nie wytrzymam. Może się rozmyśliła? Coś mnie boli w brzuchu. Pójdę. Muszę.

Usiadłem. Ciemno. Ale wszystko widzę. Dziwne. Szumi mi w ustach. Jestem przy drzwiach. Otwieram. Lekko skrzypią. Nie oddychać. Nie oddychać.

Koszulka sięga mi do pasa. Ale nie wstydzę się. Ciągłe stoję w drzwiach. Czekam. Wejść.

Widzę dwa łóżka. Koło siebie. Duże, małżeńskie. Tutaj śpią ze starym. Halina siedzi na łóżku. Pewnie mnie widzi. Tak. To ona. Stara śpi. Może udaje? Oddycha równo. Jeżeli złapią? Będzie skandal. Każą się ożenić.

Co będzie, to będzie!

Idę wolno w kierunku łóżka. Wolno, ale pewnie. Skrzypi podłoga. Staję. Cicho. Stara śpi. Jestem przy Halinie. Dotykam jej twarzy. Włosów. Jeszcze wilgotne. Łapię za ramiączko koszuli. Wolno wstaje z łóżka. Ciągnę ją do siebie. Już stoi przy mnie. Milczy. Kładę rękę na plecy. Teraz na pośladki. Dobrze mi. Jak dobrze. Popycham do drzwi. Jest posłuszna. Idzie. Sztywna i przestraszona.

Jesteśmy u mnie. Jakoś bezpieczniej. Ona też się uspokoiła. Przecież to jej leżanka. Zdejmuje koszulę. Jest naga.

Kładę ją na pierzynie. Trzęsę się jak w febrze. Ona też.

- Uważaj. Jeszcze nigdy tego nie robiłam.

Wszystko już nieważne. Jest drobna. Można powiedzieć - chuda. Nie całuję jej. Jestem niepohamowany. Sprawiam jej ból. Chcę się powstrzymać. Nie mogę. Ona płacze. Za późno. Nie powstrzymam tego, co łapie mnie za gardło. Chcę krzyczeć. Chcę czy krzyczę? To ona krzyczy. Tak, ona!

- Puść! Puść mnie! Nie chcę! Nie!!!

Jeszcze tylko chwila. Moja chwila! Halina!!!

*

- To są zaświadczenia. Ziemia jest wymierzona i oceniona. Zaświadczenia podpisane i z pieczętą. Aha. Tutaj jeszcze zaświadczenie dla obywatela Rybaka. Na osiem morgów po Heidingerze. No to chyba byłoby wszystko.

Sołtys patrzy na mnie spode łba. Oczka ma chytre. Domyśla się? Nie. Wszyscy są zadowoleni.

- Ma być sprawiedliwie nadzielone. Tak jak żeśmy wymierzili. W Urzędzie Ziemskim już wiedzą.

- Dziękujemy. W razie czego, to co? Powiadomić jednostkę?

- Tak. Albo komendę garnizonu.

Jesteśmy u furtki. Niektórzy gospodarze tłoczą się na ganku. Po burzy świeżo i zielono.

- Do widzenia, panie Rybak.

- Do widzenia.

Nie podaje mi ręki. Co się stało? Widać stara coś słyszała. Zresztą musieli się domyślić.

- A gdzie panna Halina? Chciałem się pożegnać.

- W polu. Innym razem się pan pożegna. Jeżeli pan jeszcze tutaj przyjedzie. Czasy teraz niepewne.

Nie pozwolili jej zobaczyć się ze mną. Ale będę pamiętał. Jakby coś weszło do środka i zostało. Czy to tak wygląda miłość? Byłem dla niej pierwszy. Nie zapomni. Ja też.

- No to jeszcze raz... Do widzenia. Dziękuję za wszystko.

Zacisnął zęby. Splunął na trawnik. Odwraca się. Wolno odchodzi. Nie podał mi ręki.

*

Dużo dzisiaj ludzi w „Magnolii”. Jakby na moje pożegnanie. Głupstwo. Przecież sobota. Każdy się chce zabawić. Gorąco. Nie ma żadnych wentylatorów. W sali niebiesko od dymu.

Szkoda, że muszę wyjeżdżać. Może trzeba było poprosić Helenę? Bzdura. Nie mogę przecież być z nią przy Hance. Domyśliłaby się. Chociaż nie. To głupia gęś. Z Heleną pożegnam się w domu. Jak wrócę.

Wystroiła się Hanka. Ale wygląda głupio. Jest za tęga. Helena też jest tęga, ale podniecająca. Hanka nie. Patrzy na mnie rozanielonym wzrokiem. Kocha, a nawet za pierś nie pozwoliła się złapać. Chowa na noc poślubną. Krowa.

- Zamówimy coś do picia?

Jurek trzyma fason. Starzy przystali mu forszę. Widać, że warszawiak. Taki umie się zachować. Hanka patrzy na niego jak w obraz.

- Co radzisz? Rządź, stary. Ja płacę. Przecież to moje pożegnanie.

- Płacimy „po pałam” - to raz. A po drugie, zamawiamy czystą i kieliszek wermutu. Zobaczysz, jaka bomba.

- Trzeba coś na przekąskę.

- Panie ober...

Kelner zna Jurka. Uśmiecha się. Lubią go tutaj. Na mnie nawet nie spojrzął. Kibic. Pamięta jeszcze moją walkę. Nie mogą zapomnieć Karolaka. Podobno rzucił boks.

- Słucham, panie poruczniku.

- Generale. Pół litra z kropką i trzy porcje schabu w galarecie. Potem zastanowimy się, co dalej.

Skrzypek w orkiestrze też zauważył Jurka. Daje mu znaki porozumiewawcze. Nachylił się do akordeonisty. Coś mówią.

- Zobaczysz. Będzie „La Cumparsita”. Wiedzą, co grać!

Jurek wytresował wszystkie orkiestry w mieście. Jak tylko wchodzi, zaraz mu grają. Oblatany w świecie. A ja nawet nie wiem, jak się nazywają kawałki do tańca. Zmieniają rytm. Orkiestra gra tango. Dla Jurka. Pochyla się do Hanki.

- Królowa pozwoli?

Czyją ona właściwie jest narzeczoną? Jurek obciąga mundur. Całuje ją w rękę. Tańczą. On dziwnie wygląda. Lekko pochylony. Jak niedźwiedź. Ale tańczy z gracją. Nikt tak nie tańczy jak on. Wszystkie baby na niego patrzą. Umie czarować. Spogląda na Hankę tak, jakby chciał się jej oświadczyć. Ciekawe. Nic mnie to nie denerwuje. Właściwie tobym się cieszył, gdyby mi ją odbił.

Kto to pcha się do naszego stolika? Kapitan Urgacz. To jest pistolet. Mundur leży na nim, jak ulał. Wstawiony. Nawet mocno. Ale trzyma się zawsze. Tylko wargi ma sine. I czoło spocone. Przedwojenni oficerowie umieli wypić. Lotnicy z Anglii podobno też. Po takim nie poznasz.

- Czołem, poruczniku.

Dobry wieczór. Chce pan do nas na chwileczkę?

- Tylko na momencik. Podobno wyjeżdżacie? Przenoszą was?

- Jutro. Na dowódcę kompanii podoficerskiej.

- Gratuluję. Udało się wam prysnąć.

Jest pijany. Odbija mu się. Chce się opanować.

- Wy to, poruczniku... robicie bez głowy...

O co mu chodzi? Zwariował czy jak?

- Tak nie można... Robicie to bez głowy... Jesteście za młodzi, żeby... żeby...

Znowu mu się odbiło. Aha... Teraz rozumiem. On myśli, że my się bawimy w konspirację. I nie umiemy. O, ty palancie! Głupi albo prowokuje. Cholera go wie. Ale trafił na swego. Dam mu popalić. Nie lubiłem go zresztą. Teraz mogę sobie pozwolić. Jutro i tak wyjeżdżam. Zawsze nosa zadzierał. Nabijał się, kiedy w kasynie nóż wzięłem do lewej ręki. Najadłem się wstydu przez chama.

Coś mnie dławi. Spokojnie. Trzeba mu odpowiedzieć. Ale bez nerwów. Będę się przy tym uśmiechał. Uprzejmie. Nikt nie pozna, co mówię.

- Czy może się pan trochę do mnie pochylić?

Robi tajemniczą minę. Rozgląda się po sali.

Czuję już, jak mu jedzie z gęby.

- Słucham.

- Odpieprz się ode mnie, ty palancie z trzema gwiazdkami!

O mało nie spadł z krzesła. Zatkano go. Oczy wybałuszył. Chyba ryknę śmiechem. Wygląda jak karp wyjęty z wody. Stracił całą powagę i fason.

- Co wyście powiedzieli?

- To, co słyszałeś, królu.

Mówię zupełnie jak Jurek. Wolno i cynicznie. Warszawski fason. Udało się. Zgłupiał.

- Ja to oddam na sąd koleżeński. To jest sprawa honoru oficerskiego.

- No i dobra. Zawsze o honorze gadaliście, a potem pierdziałeś w obozie. Jakbym ci wolności nie przyniósł, to pierdziałbyś do tej pory.

- Cham, fornal!

- No i dobra. Dziękuję, królu, za rozmowę, bo właśnie moje towarzystwo wraca.

Wyprostował się. Sztywno stuknął obcasami.

- Zobaczymy się.

- Dobra! Na razie spływaj, staruszkule!

Mało go apopleksja nie trafiła. Guzik się, bracie, zobaczymy. W poniedziałek mnie tutaj nie będzie. A i ty zapomnisz. Będzie się zresztą wstydził przyznać. I będzie się bał. Głędził coś o konspiracji. Dureń.

- Co chciał Urgacz?

- Siadajcie, dziatki. Nie tańczcie tyle, bo się przeziębicie. Przyszedł się pożegnać. Miły człowiek.

- Wacuś, zatańczymy następny taniec?

- Tańcz z Jurkiem. Nie mam dzisiaj ochoty. Śpiący jestem.

- Ty zawsze tak. Jurek, ty też jesteś śpiący?

*

Późno. Będzie około drugiej. Wynudziłem się. Szkoda, że nie umiem tańczyć. Lepiej wrócić do domu. Helena czeka. To nasza ostatnia noc. I jutro niedziela. Możemy pospać.

Pójdę tylko do ubikacji i wychodzimy. Natańczyli się już. Na stolikach pobjawisko.

Znowu szopa. Grają „Czerwone maki”. Wszyscy zmiatają z parkietu. Wiadomo. „Tego się nie tańczy”.

W ubikacji brudno. Zaduch. Trudno wytrzymać. Pisuar zatkany. Ktoś narzygał. Poczekam, aż ten drał się załatwi. Jeszcze jakiś facet czeka. To chyba koledzy. Pijani. Śpiewają. Większy się odwrócił. Zapina spodnie. Spogląda na mnie. Uważnie. Co go tak zaciekawiło?

- Krzysiek! Jak Boga kocham! To ten, co Karolaka zgnoił!

Teraz i drugi odwraca się raptownie. Stanie się coś. Widzę to w ich oczach. Są złe. I nachalne.

- Faktycznie. Kto by pomyślał, że go dzisiaj spotkamy. Ale święto!

Nie mogę czekać. Wyjść też nie mogę. Za późno. To już się zaczęło. Jestem zdecydowany. W nich zamysł jeszcze dojrzeje. Są zbyt pewni. Myślą, że mają czas. Ja jeszcze nic nie powiedziałem. Oni na to czekają. Na moje słowa. Czas jest mój.

Udało się. Błyskawicznie złapałem niższego oburącz za włosy. Ręce miał jeszcze przy rozporoku. Z całej siły pociągnąłem głowę ku dołowi. Walę prawym kolaniem w twarz. Czuję, jak nos trzeszczy. Złamałem mu podstawę. Może i szczękę. Krwawi mocno. Upada na ziemię. Wyższy jest zdziwiony. W oczach już ma lęk. Popycham go oburącz w piersi. Dwa razy. Raz za razem. To dobry chwyt. Kto nie przygotowany, musi stracić równowagę. Tak. Leci całym ciałem do tyłu. Wali głową w kafelki. Obsuwa się koło pisuaru. Głowę ma odkrytą. Zamach. Ciemnieje mi w oczach. Ból w prawej pięści. Jemu z ust leje się krew. Czegoś podobnego nie widziałem. Z warg tryskają małe strumyczki. Jak fontanna.

Długo to trwało? Dziesięć sekund. Nie wstaną tak prędko. Może nie żyją? Coś łapie mnie za gardło. Żyją. Ulga. Większy jęczy, a drugi tapla się po obsikanej posadzce. Nic im nie będzie. Jeszcze raz się udało. Tak jest. Najważniejsze, żeby pierwszy uderzyć.

*

Wreszcie dom. Ręka puchnie jak diabli. Roztrzaskała się na zębach. Nie szkodzi. Helena opatry. Poznała mnie posiniaczonego, to i pożegna opatrunkiem. Dobrze mi. Zrobię jej gorącą noc. Chcę jej. Bardzo. Dziwna kobieta. Usidliła mnie czy co? Czekaj. Światło jest w oknie.

Cholera. Zapomniałem kluczy. Zostawiłem w polowym mundurze. Nie szkodzi. Ona otworzy. Będzie w szlafroku. Wezmę ją już w korytarzu.

Dzwonek. Idzie. Drzwi otwarte na oścież.

To on. Nie mogę słowa powiedzieć. Jej mąż. Od razu go poznałem. Z portretu. Patrzy na mnie i uśmiecha się. Tak jak tam. Na portrecie. Kpi. Przyjechał. Dlaczego? Nic nie pisał. Wchodzi. Bez słowa. On też nic nie mówi. Otwieram drzwi do pokoju. Wszystko się kończy. Lepiej, żebym go nie widział. Jutro przecież jadę. Za oknem dnieje.

Rozdział III

- Niestety. Nie mamy już tego pokoju. Owszem, był wolny, chcieliśmy wynająć... Z przyjemnością. Ale dostałam wiadomość, że siostra przyjeżdża. Z Koronowa. To jest w Bydgoskiem. Wie pan porucznik...

- Szkoda. Prawdę powiedziawszy, to się cieszyłem. Miałbym dwa kroki do szkoły.

- Pan chodzi do szkoły?

- Na wieczorowe kursy. Do liceum. Po służbie. Wie pani, jak to jest. Na wojnie nie było czasu myśleć o nauce. Teraz trzeba nadgonić.

Małecki dał mi ten adres. Dziwne spotkanie. Był moim wychowankiem w Szkole Oficerskiej. Po promocji tutaj dostał skierowanie. Dobrze, że mam tu kogoś znajomego. Ale akurat Małecki?

Nieciekawy facet. Pewnie chce, żebym jak najszybciej się od niego wyprowadził. Jasne. Zaprosił mnie na nocleg. Honorowy. Ale to za długo trwa. Prawie tydzień.

- Bardzo żałuję, panie poruczniku.

Sympatyczna paniusia. Jak to teraz mówią - inicjatywa prywatna. Mają stragan na targowisku. Z materiałami włókienniczymi. Duża forsa. Bogaci. Fakt.

Do pokoju wchodzi jej mąż. Chyba tak. Wygląda na młodszego od niej. Potężne chłopisko. Z przodu brak mu jednego zęba. Uśmiecha się. Miły.

- Heniek, pan porucznik przyszedł w sprawie pokoju.

- Czarnuszewicz. Bardzo mi przyjemnie.

- Sroczyński. Szkoda, ale pokój już zajęty. Szwagierka przyjeżdża. Rozumie pan... Teraz już nie ma miejsca. W tym pokoju my śpimy, a tutaj jest jadalnia. Przejściowa. Więc gdzie? Zresztą, sam by się pan krępował.

- No i przecież my z jadalni też musimy korzystać.

Co by tu wykombinować? Żeby chociaż na parę dni się zahaczyć. Potem coś znajdę.

- Gdyby to państwu nie przeszkadzało, to może na parę dni... Wieczorem jestem w szkole, cały dzień w koszarach, właściwie to tylko tyle co się przespać. Myślę, że przez tydzień, dwa znajdę coś innego...

- Co ty na to, Staszka?

- Ty zawsze do mnie. Trzeba panu pójść na rękę...

- Bo widzi pan, panie poruczniku, ja jestem były wojskowy. Plutonowy. Przed wojną służyłem w KOP-ie. Prawdę powiedzieć, nie bardzo się do tego przyznaję. Mówię, że byłem w CKM-ach. Na KOP teraz krzywo patrzą, a jeszcze ja... Rozumie pan, inicjatywa prywatna. Ale powiem panu - KOP to było wojsko!

- Daj spokój z tym swoim gadaniem! Niech pan przynosi bagaże, panie poruczniku. Póki się sobie nie znudzimy, możemy mieszkać razem.

- Dziękuję serdecznie. Naprawdę bardzo dziękuję.

Z czego właściwie się cieszę? Pokój przejściowy. Krępujący. Do spania kanapa. Wąska. Ich szafa z rzeczami. Ciągłe będą łazić. To pewne Muszą zresztą. Do kuchni, na korytarz... Wszystko przez ten pokój. To nic. Ważne, że w ogóle coś mam. I do szkoły blisko. Cieszę się. Trzeba tak pokombinować, żeby za rok zdać maturę. Muszę. Dobrze, że przygotowałem się z matematyki. Bzdura. Sam bym nic nie zrobił. Wszystko Wawrzyniak. Kapitan. Stary kawaler. Ale w matmie obkuty. Przygotował mnie. Powiedział, że mogę zdawać małą maturę. Kiepsko będzie tylko z chemią i fizyką.

- O której pan przyjdzie?

- O szóstej. Teraz mam zajęcia w koszarach.

Szkoda, że nie znam łaciny. Poszedłbym do ogólniaka. Z językiem też kłopot... Jakoś tam będzie... Trochę znam niemiecki... Muszę... Maturę muszę zrobić!

*

- Pan w jakiej sprawie?

Dziwne, ale się boję. Mam tremę. Tyle lat nie byłem w szkole. Wyjdę. Nie. Czas zacząć się uczyć.

- Zostałem przeniesiony służbowo do Walicza. Chciałem kontynuować naukę.

- Do jakiego gimnazjum pan przedtem uczęszczał?

Jak go zaczarować? Gotów nie przyjąć. Wygląda sympatycznie. Starszy facet. Troszeczkę jakby się jąkał.

- Ja właściwie... Dopiero zdałem egzamin.

- Przepraszam, jaki egzamin?

- Ponieważ przed wojną ukończyłem jedną klasę gimnazjum, więc teraz przygotowywałem się...

- Na kursach?

- Nie. We własnym zakresie. Kolega mi pomagał. Przedwojenny oficer. Przerabiałem z nim matematykę. I w ogóle przedmioty ścisłe.

- No i co?

- I we Wrocławiu zdawałem egzamin do pierwszej licealnej.

- Z jakim wynikiem?

- Pozytywnym. Przyjęli mnie.

Patrzy na mnie ironicznie, ale bez złości. Po ojcowsku.

- Ma pan oczywiście jakieś zaświadczenie?

Teraz się zacznie. Wszystko wyjdzie na wierzch. Szkoda. Myślałem, że się uda.

- Nie. Po prostu mnie przyjęli. Niestety, zaraz po egzaminie, to znaczy po dwóch tygodniach, zostałem przeniesiony służbowo. Właśnie tutaj. Po dwóch tygodniach nauki nikt nie da zaświadczenia.

- Więc mamy pana przyjąć na własne życzenie. Do klasy dowolnie przez pana wskazanej. Bez żadnego świstka. O ile się nie mylę, tak to pan sobie wyobraża?

Ma facet rację. Musi być porządek. Wypadałoby iść do drugiej klasy. Dojrzały, dwudziestoletni mężczyzna - w drugiej klasie. W dodatku z wąsami. Koledzy mogą mi mówić - wujku. Nie. Nic z tego. Zagalopowałem się.

- Cóż, panie dyrektorze. Rzeczywiście sprawa jest nie do załatwienia.

Powiem mu prawdę. Teraz już i tak wszystko jedno.

- Tylko że ja nie bardzo miałem gdzie i od kogo dostawać te zaświadczenia. Wojsko, partyzantka. Powiem panu, jak jest...

Mówić? Będzie potem kpił między znajomymi. Jacy to teraz są oficerowie. Trudno. Zaryzykuję.

- Ja nie zdawałem tego egzaminu. Tylko się do niego przygotowałem. Właśnie teraz mieli go robić. Dla kilku oficerów z tamtej jednostki. Cóż... przenieśli mnie. Z matematyki naprawdę jestem przygotowany. Polski, historia też... może z chemii i fizyki jestem słabszy, tobym nadgonił. Ale zaświadczenia nie mam. Rozumiem. Trudno.

Wstał zza biurka. Niski. Chodzi po gabinecie.

- Wie pan co? Przyjmę pana.

Serce podchodzi mi do gardła. Pocałowałbym go w rękę. Jestem mu wdzięczny. Bardzo wdzięczny.

- Tylko z zastrzeżeniem. Jak pan nie da sobie rady, to cofniemy pana do klasy czwartej. A teraz idź już do sekretarki załatwić formalności. Proszę wybaczyć, ale od tej pory będę pana „tykał”. Wszystkim swoim uczniom mówię „ty”.

*

Do końca zajęć jeszcze pół godziny. Ziąb przenika przez płaszcz. Mój nie wygląda najlepiej, ale jest ciepły. Ruski. Siwy. I długi. Za kolana.

Słońce zachodzi. Na fabrykę pada cień. Jest niesamowita. Pusta. Szyby powybijane. Nic się w niej nie dzieje. Pod ścianą puszek i blachy. Niemcy wywieźli maszyny. Może była nieczynna przed wojną? Wiele fabryk w Waliczu zamykano. Było bezrobocie.

Nikt tutaj nie zagląda. Tylko ja. Dziedziniec płaski, wybetonowany. Przychodzę z plutonem na musztrę. Wojska nikt nie wyrzuci. Dobry punkt. Blisko koszar i cicho. Szybciej się wraca.

To ważne. Muszę zdążyć do szkoły. Nie lubię się spóźniać. Jestem szczęśliwy. Nareszcie coś robię. I wcale nie jestem najgorszy w klasie. Dam sobie radę. I koledzy w moim wieku. Dziewczyny. Pierwszy raz jestem w koedukacyjnej klasie. Nasze gimnazjum przed wojną było męskie.

- Platoon... Krok defiladowy, na tempa pojedynczo... ćwicz!!!

Chodzą teraz po podwórku jak bociany. Każdy w inną stronę. W zachodzącym słońcu widać tylko sylwetki. Machają rękami i nogami. Jak pajace. Smutno.

Boże! Co te chłopaki tutaj robią? Wszyscy ze wsi. Z Kieleckiego. Tam robota w polu. Kopania. Przydaliby się w domu. Nie. Muszą być tutaj. I to ja im rozkazuję. Czy ja też jestem idiotą? Mnie się boją? Tak? I słuchają. Głupia rzecz.

Może dać im przerwę na papierosa? Nie. Rozzuchwałą się. Przestaną szanować. Wiedzą, że na przerwę za szybko.

Czym ja będę, jak wyjdę z wojska? Wyjdę? Pewnie. Niech tylko zdam maturę. Pójdę na studia. Do Krakowa. Czy dam sobie radę? Jak zdam maturę, to i tam sobie poradzę.

- Kapral Grabowski, do mnie!

- Kapral Grabowski melduje się na rozkaz.

- Zebrać pluton. Ćwiczyć zmianę kierunków w szyku rozwiniętym.

- Rozkaz!

Jeszcze dwadzieścia minut. Może od razu jechać do szkoły. Grabowski zaprowadzi pluton. Lubi iść na czele. Bez oficera. Nie. Muszę sprawdzić, jak ustawią broń w zbrojowni. Nie dopilnujesz - zrobią chlew. Zresztą - zdążę. Tyle tylko, że nie będzie czasu na jedzenie. Głupstwo. Zjem po szkole.

*

Na korytarzu pusto. W salach żołnierskich też. Tylko służbowy podoficer siedzi przy stoliku. Niedziela. Wojsko na przepustkach. Światło na korytarzu ciemne. Słabe żarówki. Cicho i sennie. Ponure miejsce. Podobno koszary wybudowano jeszcze za cara. Dla rosyjskiego wojska. Mury grube i stare. Schody na

dziedziniec mają stopnie wklęsłe i wyszlifowane. Ilu oficerów przede mną po nich chodziło? A ilu żołnierzy?

Dochodzi szósta. Rajewski już powinien przyjść. Dawno. Przedłużył mi służbę. Nowego zawsze rolują. Chciałem iść do kina. Nie będę się dzisiaj uczył. Może tylko trochę przed snem. Przerobię sobie arytmetykę handlową.

Wygłupia się Klapacz. Mnie jednemu dał dwóję z klasówki. „Wszyscy zrzynali, odpisywali... Tylko jeden pan Czarnuszewicz - solidna firma. Widać, że pracował samodzielnie”. I mnie jednemu dał dwóję.

Zjawił się wreszcie Rajewski. Służbowy przy stoliku wstaje. Chce się meldować. Rajewski macha ręką. Salutuje. Idzie w moim kierunku.

- Nie gniewaj się, stary! Byłem na przyjęciu. U znajomych. Nie wypadło się urywać. Zresztą zagadaliśmy się. Wiedziałem, że ty jesteś i mogę być spokojny. Wszystko musi klapować...

- No! Nie bierz mnie pod włos. Nie miałem nic pilnego do załatwienia. Niedziela, nikogo nie znam... Spokojna głowa. Kiedyś sobie odbiję.

- Dobra! Na mnie możesz liczyć!

- Powiedz prawdę, dlaczego się spóźniłeś? Miałeś babę?

Rajewski jest dziwkarz. Żadnej nie przepuści. Czasem z takimi szmatami się afiszuje, że wstyd patrzeć. Byle baba, a on już nieprzytomny. Zaraz... Jak to się mówi .na takiego faceta? Już wiem - erotoman.

- Żebyś wiedział, że miałem! Ciebie nie można wykantować. Wszystko zauważysz...

Jest zadowolony. Casanova za pięćdziesiąt złotych. Chociaż nie. Jest przystojny. Tylko niski. I mundur jakoś inaczej nosi. Nie to, co u przedwojennych oficerów. Napatrzyłem się przecież. Elegancja Rajewskiego jest krzykliwa. Jak coś błyszczy, on zaraz sobie ponaszywa. Ale baretek medali ma kupę. Dwa Krzyże Walecznych dostał. Oni mają dużo odznaczeń. Przeszli front. Mieli okazję krzyży nałapać.

- Wielka była... powiadam ci... jak wieża. Wyższa ode mnie o całą głowę.

Rajewski lubi wysokie dziewczyny. To śmieszne. Sam kurdupel, a na widok gidii robi się nieprzytomny.

- Ja tam lubię wysokie baby. Są dziwne. Kiedy zobaczą niskiego chłopca, zaraz się gubią... A wszystkie są przeważnie chude. I mają małe piersi. To je krępuje. Nie doprosisz się takiej, żeby zdjęła biustonosz. Trzeba siłą. Ale dół pokazują bez oporu.

- Niemożliwe?

- Tak. Wysokie mają przeważnie zgrabne nogi. Długie. I w ogóle, tam mają wszystko najlepsze. Toteż chętnie pokazują. Nie certolą się.

- No dobra. Będziesz miał czas myśleć przez całą noc. I o chudych, i o grubych. Chyba dzisiaj będzie spokój.

- Kto jest inspekcyjnym?

- Kalinowski.

- Eee... będzie spał. Traktorem go z koszar nie wyciągniesz.

- No to... trzymaj się!

Co właściwie robić z wieczorem? Pogoda kiepska. Niby nie pada, ale wieje zimny wiatr. Szybko się ściemnia. Dziedziniec. Przyjemnie odetchnąć świeżym powietrzem. W koszarach smród. Choćbyś nie wiem jak wietrzył - zawsze czuć. I to wszędzie. W każdym tak samo.

Świeci się w świetlicy pułkowej. Taka to i świetlica. Żołnierze mówią na nią - ogiernia. Tylko zabawy taneczne się odbywają. Dla szeregowych. My mamy oficerską w kasynie.

Opowiadał mi Rajewski, że kiedyś żołnierz w tańcu załatwił dziewczynę. Podobno tylko przesunęli się pod ścianę. Nie wierzę. Jak można w tańcu? Przy wszystkich?

Najgorzej to zacząć. Ze mną teraz coś się dzieje. Chociaż nie. Kiedy? Służba i nauka. W klasie są dziewczyny. Prawda. Ale po lekcjach każda śpieszy się do domu. Noc. I mieszkam koło szkoły. Nie mam okazji odprowadzić.

Żeby miał kolegę, to razem można by się gdzieś wyrwać. Szkoda, że nie ma Jurka. Samemu głupio. Krępuję się.

Pójdę jednak do domu. Pouczę się. Tak będzie najlepiej. Wartownik w bramie wyprężył się. Salutuję. Ulica. Tylko przed bramą jaskrawo świeci lampa. Latarnia na ulicy ledwo oświetla chodnik. Gazowa. W bocznej uliczce. Dlatego zostawili. Wszędzie w mieście są elektryczne.

Iść przez park, czy też naokoło? Do rynku? Przez park bliżej. Trochę głupio. Ciemno. Co to? Robię się bojący? Właśnie że pójdę. Człowiek zaczyna kapcaniec. Czego się bać. Mam pistolet. Niech się mnie boją.

Trzeba tylko uważać, żeby nie zbłądzić. Ciemno. W parku żadna latarnia się nie pali. Rozbijają żarówki. Tylko jedna się świeci. Ta przy ulicy. Ale i to klosz ma stłuczony. Tak. Tą alejką pójdę. Wyjdę koło teatru.

Kto to? Niemożliwe! Danka! Tak, to ona... Robi mi się ciepło koło serca. Co za szczęście! Że też właśnie ona. Idzie szybko i jakby nerwowo. Oczywiście. Niby dopiero po szóstej, ale w parku niebezpiecznie.

- Danka!

Spojrzała w moim kierunku. Zawahała się. Jakby chciała uciekać. Teraz mnie poznała. Uspokoila się. Uśmiecha się.

- Wacek! Co tu robisz?

- Skończyłem służbę. A ty? Randkę miałaś?

Znowu się zmieszala. Przykro mi. Może rzeczywiście miała randkę. Byli razem w parku. Całowali się. Coś kurczy się we mnie. Jakby się zapadało. Dlaczego?

- Nie żartuj. Byłam u ciotki. Wracalam przez park, bo bliżej. Ale teraz strach. Ciemno zupełnie.

Kłamie. Jednak chcę uwierzyć. Zależy mi na tym. Właśnie na Dance mi zależy.

W szkole siedzę koło niej. W zeszłym tygodniu się przesiadłem. Nie protestowała. Dlatego mi dobrze w szkole, bo siedzę koło niej... Blisko...

Jest świetną polonistką. I w księgowości też mi pomaga. Ona lubi być ze mną. To się czuje. Tego nie można nazwać, ale tak jest. Od czasu kiedy się do niej przysiadłem, koledzy zostawili ją w spokoju. Tak jakby uznali, że jest moja. Nie przystawiają się.

- Można cię odprowadzić?

- No nareszcie się domyśliłeś. Ale wyjdźmy z parku. Szybko, proszę cię...

Teraz nawet wolałbym iść parkiem. Chcę ją pocałować. Dziwne. Dlaczego ona chce wyjść? Pewnie jej amant tam został. Może się pokłócili? Bywa i tak. Mówią, że Danka ma narzeczonego. Możliwe. Przecież to poważna dziewczyna. Jest mi źle... Ale i dobrze jednocześnie. Przecież jestem przy niej. Blisko.

- Jak sobie życzysz, królowo.

Lubię używać tego słowa „królowo”. Tak mówię jak Jurek. To robi wrażenie.

- Może wpadniemy na kawę? Przecież jeszcze nie tak późno. Nie ma ósmej.

Cholera! Mam mało pieniędzy. Żeby tylko na kawę wystarczyło. A jeżeli wieczorem biorą drożej? Niepotrzebnie się wyrwałem. Wystarczyło ją odprowadzić. Innym razem bym się przygotował. Głupia sprawa. Oficer bez pieniędzy. Nie ma co.

Strzały. Jeden. Drugi. Trzeci. Teraz seria. Krótka. To w parku. Niedaleko. Co to się dzieje? Ucichło.

Dlaczego trzymam pistolet w dłoni? Nawet nie wiem, kiedy go wyjąłem. Zrobiłem to odruchowo. Danka patrzy przerażona. Jest sztywna. Co się z nią dzieje?

- Dobrze, że nie szliśmy parkiem. Ciekawe, co się stało. Pewnie pijani. Strzelali na wiwat. Lepiej od takich z daleka. Idziemy. Może rzeczywiście znajdziemy wolne miejsce w kawiarni.

- Wiesz... Nie mam ochoty. Odprowadź mnie do domu. Innym razem napijemy się kawy.

Co z nią? Całkiem się zmieniła. Może mi się wydaje? Ciekawe, kto to strzelał? Ktoś od nas? Wątpię. Pewnie milicja. Trzeba zapiąć kaburę. Kto to widział łączyć ze spluwą na brzuchu.

*

Dlaczego oni tak dziwnie na mnie patrzą? Czuję wokół siebie wrogość. Co się stało? Może mi się wydaje? Nie. Ale o co im chodzi?

Danka w milczeniu rozkłada książki na ławce. Za chwilę do klasy wejdzie Wroński. Miał dzisiaj pytać. Ale to jeszcze ze dwie minuty. Zresztą on lubi się spóźniać. Stary belfer.

Co mam robić? Danka unika mojego wzroku. Długie proste włosy spadają jej na twarz. Podniosła głowę. Twarz ma jak ptak.

Jej wzrok jest zimny. Obcy. Nigdy jej takiej nie widziałem. Wczoraj była inna. Pozwoliła głaskać swoją dłoń. Włożyłem jej rękę do kieszeni mojego szynela. Śmiała się. Wszystko było inaczej. Dobrze. Dlaczego więc teraz...?

- Unikacie mnie. Co się stało?

- Nic. Wydaje ci się. Jesteś przewrażliwiony.

- Nie. Słuchaj, Danko. Zaraz wejdzie Wroński. Ale na to wystarczy mi minuta. Powiedz! Dlaczego tak na mnie patrzycie? I ty także. Co się stało?

- Iwony Wacławskiej brata zabrało w nocy UB.

- Nie rozumiem. Za co?

- Mówią, że był z tymi, co zastrzelili Zenka Karcza.

- Jakiego znowu Karcza?

- To nasz dawny kolega. Chodził do tej budy. Jeszcze w zeszłym roku. Potem wstąpił do UB.

- Gdzie go zastrzelili?

- Wczoraj wieczorem. W parku.

Skrzyp drzwi. Wchodzi Wroński.

- Dobry wieczór państwu.

Zacznie się towaroznawstwo. Teraz wiem. Nienawidzą mnie za brata Iwony. Wczoraj zastrzelili tego faceta? W parku... Więc to były te strzały.

- Jednego z nich złapali na miejscu. No i potem wszystkich wyspał.

- Wszystkich?

Zbladła. Jest aż zielona.

- Nie wiem.

- Kto go złapał?

- Od was z pułku. Żołnierze. Wracali z przepustki.

Rozdział IV

- Obywatelu pułkownika, proszę o zwolnienie mnie z wyjazdu.

- Czy wy zwariowaliście, Czarnuszewicz?

Z przyjemnością rąbnąłbym go w mordę. Specjalnie mnie wysyła. Żeby zrobić na złość. Szkoda, że wyjechał Radkowski. Ruski, chociaż słabo mówił po polsku, ale ludzi rozumiał. I na froncie podobno był jak należy. Swój człowiek. Zresztą i teraz tak samo. Wszystko można było z nim załatwić. Był lubiany. Dali takiego jak ten. Pan Pawko. Wielki mi pułkownik. Nieślubny syn Einsteina.

- Obywatelu pułkownika. Mam właśnie egzaminy na koniec roku. W liceum. Jeżeli nie zdam teraz, to mnie nie przepuszczą do następnej klasy. Nie będę mógł zdawać matury.

- Słuchajcie, czy tu jest uniwersytet, czy pułk?

- Obywatelu pułkownika, jeżeli wyjadę w następnej kolejce, za dwa tygodnie, to nic się nie zmieni. Mogę przecież jeździć w niedzielę na akcje propagandowe. A te dwa tygodnie to dla mnie naprawdę ważne... Wszystkie egzaminy zdam...

- Wiecie, co mnie to wszystko obchodzi? Nic.

- Obywatelu pułkownika. Jest rozkaz marszałka w sprawie uzupełnienia wiedzy w zakresie matury. To dotyczy wszystkich oficerów.

Ruszyło go. Aż podskoczył za biurkiem. Morda mu poczerwieniała. Jak wieprzkowi. Świński blondyn. Podobno przedwojenny plutonowy.

- Jak to rozumiecie?

- Dosłownie. Że muszę zdać maturę. Rozkaz mnie też dotyczy. Specjalnie mnie. Bo nie mam matury.

Rozparł się wygodnie w fotelu. Wie, że jest mocniejszy. Zna smak władzy. On zawsze będzie górą. Zrobi, co zechce. Dobrze wie o tym...

- Obywatelu poruczniku. Jesteście młodzi i bardzo dobrze, że uzupełniacie wykształcenie. Ale pół roku nie robi wam różnicy. Możecie poczekać. A wasz wyjazd jest konieczny. Rozumiecie? To są wybory! Pierwsze wybory w Polsce Ludowej. Mamy do was zaufanie. Jesteście wykształceni. Na dowódców grup ochronno-propagandowych wyznaczamy najlepszych oficerów. Traktujcie więc wasz wyjazd jako wyróżnienie. Rozkaz wyjazdu odbierzecie w kancelarii pułku. Pieniądze dla siebie i plutonu u płatnika. Wyjazd jutro szesnasta zero zero. Odmaszerować.

*

- Czego tak skapcianałeś?

- Daj spokój, Heniek...

Trzy dni temu wypiliśmy „brudzia”. Śmieszna sprawa. Akurat pchali z żoną wózek z towarem. Spotkałem ich koło domu. Zeskoczyłem z roweru i pomogłem. Może to nie wypada oficerowi. Ale im było rzeczywiście ciężko. No i boczna ulica. Heniek się wzruszył. Takich - mówił - oficerów nawet w KOP-ie nie było. No a potem zaczęła się pijatyka. Po powrocie do domu.

- Nie wygłupiaj się, tylko mów.

- O czwartej wyjeżdżam. Dostałem rozkaz wyjazdu. Na dwa tygodnie.

- To źle. Przecież masz szkołę? Co zrobisz?

- Właśnie. Wszystko przepadło. Nic nie da się załatwić. Kompletny klops.

Heniek się zmartwił. Rzeczywiście. To porządny człowiek.

- Wacek, nie przejmuj się. Jest rada!

- Coś ty! Jaka tu może być rada?

- Spić się! Przecież pijanego nie puszczą. A jak ktoś za ciebie pojedzie, to i zostanie.

To jest niegłupie. Proste, a skuteczne. Że też na to nie wpadłem.

- Mogą mnie zamknąć.

- A mogą. I na pewno zamkną. Ale przecież nie na dwa tygodnie. Oficerów przeważnie zamykają aż do wytrzeźwienia. Jedno tylko jest kiepskie. Mogą cię z wojska wyrzucić.

- Niech wyrzucają. Nie zależy mi.

- No to do roboty! Mamuśka! Idę po pół litra spirytusu. Ty skocz po syfon i zagrzejcie kiełbasy. Zwalniamy Wacka z wyjazdu na wybory. Za półtorej godziny ma być w trupa pijany.

*

Dlaczego dzisiaj tyle ludzi u płatnika. Wiem. Biorą pensję. Ustawili się w długiej kolejce. Dobrze. Będzie kino. Widownia jest.

W kancelarii mrok. A może to tylko tak mi się wydaje? Nie. Jest ciemno. Mury stare. Światło ledwo przenika przez okno. Słońce chyba nigdy tu nie dochodzi.

Dziwne uczucie. Jestem pijany, a wszystko rozumiem. To nawet przyjemnie. Być pijanym i udawać pijanego. Więcej, niż się jest w rzeczywistości. Zaczynam tracić świadomość. Dużo wypiliśmy. Teraz mnie bierze. Tracę świadomość. Tylko najpierw muszę narozrabiać.

Patrz na mnie. Są zaskoczeni. Nie. Zatroskani. Przecież to równe chłopaki. Szkoda, że z żadnym się nie zaprzyjaźniłem.

Dowódcy pułku nie ma. Lepiej. Mógłby być skandal. Zatoczyłem się. Udaję? Nie. Rzeczywiście jestem pijany. Jakaś wilgotna szmata tkwi w mózgu. Nie pozwala myśleć. Coś się dzieje z oczami. Jakby ktoś wcisnął mi płytkę... Tak. Na wysokości czoła mam płytkę. Ona przedziela czaszkę.

Już ich wadzę coraz słabiej. Mdli mnie. To od papierosów. Nakopili, aż sino w kancelarii... Nie... Błękitnie jest. Ale śmierdzi. Kwaśno.

Muszę rozrabiać. Przecież po to przyszedłem. Tylko z głową. Żeby się potem nie przyczepili. I żeby kolegów nie obrazić.

- Przepraszam, proszę mnie przepuścić!

- Czarnuszewicz, nie wygłupiaj się!

Kto to? To chyba ten z drugiej kompanii. Nazwiska nie pamiętam. Mówią, że był w korpusie kadetów przed wojną.

- Przepuścić mnie! Służba. Służba, panowie oficerowie! Idziemy walczyć z czarną reakcją. Miejsce dla bohaterów służby czynnej! Spoza gór i rzek wyszliśmy na brzeg...

Zaczęło się. Kolejka rozleciała się w jednej sekundzie. Mile chłopaki. Wyraźnie chcąc mi po moc. Zatuszować sprawę. Jest Rajewski... I ten... Jak on się nazywa...

- Panie płatnik, płacić! Pół litra i piwo!

Teraz wszyscy ryczą ze śmiechu. Płatnik wstaje zza stołu. Jest wściekły. Zamyka blaszaną szafę. Głowę ma długą i przezroczystą. Jak on się nazywa? Aha... Zając.

- Pif paf! Wszystko co z lasu: pif paf!

Teraz mi łapią ręce. Udało się! Mdli mnie jak diabli. Jestem już na podwórzu. Tak. Świeże powietrze paraliżuje płuca. Zupełnie sucho... Nie. Jasne... Usta mam pełne śliny...

*

- Od razu czułem, że coś tutaj nie w porządku.

- Było tak, jak panu opowiedziałem. Mógł mnie przecież wystać za dwa tygodnie.

Prycza w celi jest szeroka. Deski grube i nie heblowane. W rogu zydelek. Widziałem takie na wsi. Do dojenia krów. Tylko że ten ma wyższe nogi. Chce mi się straszliwie pić. Jeszcze jestem pijany. Już wszystko rozumiem, ale czuję osad w głowie. Dużo wypięm. Złamało mnie.

- Zmiana będzie dopiero za trzy tygodnie.

- Co za różnica?

- Oczywiście. Dlaczego pan z tym do mnie nie przyszedł?

- A skąd mogłem wiedzieć, że pan może coś załatwić? Jak by nie było, to przecież dowódca pułku...

- Nasza firma ma duże możliwości.

Sympatyczny facet. Inteligentny. Dziwne, że do tej pory go nie spotykałem. Nie. Raz go widziałem. Myślałem, że jest ze sztabu dywizji. Przyjemnie się z nim rozmawia. Tylko ten ból głowy. Łeb mało mi nie pęknie.

- Przepraszam, czy pan porucznik zna wiersz Tuwima „Śląsk śpiewa”?

- Znam. Jeszcze ze szkoły... Dlaczego pan pyta?

- Bo właśnie w głowie mi Śląsk śpiewa. Huczą młoty i żużel mam w ustach.

Śmieje się. Już mi nic nie grozi. Czuję to. Wyłgałem się z wyjazdu. Heniek miał rację.

- Posłać żołnierza po piwo?

- Właściwie to chyba musi pan dbać o aresztantów. Co będzie, jeżeli tu z pragnienia wykituję?

- Racja, ale pan, panie kolego, już nie jest aresztowany. Idziemy. Proszę zabrać pas, pistolet. Zaraz zawołam profosa. Niech wszystko przygotuje. Pójdziemy razem na to piwo. Prawdę powiedziawszy, to i ja wczoraj zapiłem.

Niemożliwe. Wypuszczą mnie i kropka? Z nikim nie uzgadnia? Więc on tak może? Dobra funkcja.

- A wczorajszej draki nie trzeba będzie odsiedzieć?

- Przecież robił to pan celowo. Znaczący - siła wyższa!

- Eee... coś chyba trzeba będzie odkiblować?

- Myślę, że tak. Ale to już w normalnym trybie. Bez mojego pośrednictwa. Pawko pewnie panu dołoży. Wszystko, co będzie miał do dyspozycji. Według garnizonowego cennika. Zdaje mi się, że dwa tygodnie aresztu domowego może dosunąć?

- Chyba tak...

- No to tyle pan dostanie.

- Ale do budy będę mógł chodzić?

Profos niesie moje bambetle. Straszny facet. Czoło kończy mu się nad brwiami. Krępy. Zakatarzony. Dziurki w nosie ma jakieś zielone.

- Pewnie. Szkoła to tak jak służba. No, ale chodźmy na to piwo. Wszystkie rzeczy są?

- Tak jest, obywatelu poruczniku. Wydać aresztowanemu?

- Co się głupio pytacie? Powiedziałem, że przynieść, to chyba po to, aby wydać!

- Tak jest!

- Możecie odejść.

Z celi widać korytarz. Po przeciwnej stronie drzwi. Wielki zamek. Skobel. I otwór wizjera. Profos wychodzi z celi tyłem. Boi się porucznika. Nawet nie kwitowałem odbioru depozytu.

- I jeszcze jedno powiem panu. Pawki ja też nie lubię. O, jego tobym chętnie wsadził do pierdła! Może jeszcze się kiedyś spotkamy.

- Dlaczego?

- Bo jest burek. A pana zaczynam lubić.

Fajny facet. Nie sadzi się.

- No to spotkajmy się kiedyś. Gorzałka we dwóch zawsze lepsza.

- Z przyjemnością. Z mądrym przyjemnie się gada.

Pewnie, że chętnie z nim się zobaczę. Co też ludzie nie nagadają. Gdyby wierzyć w to, co o nim plotą, to musiałyby być drań. A fajny facet. Czego się go czepiają?

*

Znowu mi się to przytrafiło. Wystarczy, że szybciej poruszę nogami i zaraz unoszę się w górę. Jak ptak. Tylko trzeba rozłożyć ręce. Łatwiej kierować lotem. Że też nikt przede mną na to nie wpadł. A może tylko ja mam dar latania?

Dobrze się lata. Dzisiaj specjalnie. Ciepło. I kolorowo. Błękitnie. Muszę kiedyś to latanie pokazać w koszarach. Ale co będzie, jak tam się nie uda? Czasem przecież się wznoszę nie wyżej niż dwa metry. Ledwo, ledwo się unoszę i zaraz opadam.

Ale dzisiaj mam dobry dzień. Wysoko się wzbiłem. Lepiej się opuszczę. Nigdy nie byłem w tym domu. Nie? Musiałem tu kiedyś być. Inaczej nie kładłbym się do łóżka.

Śliczna kołdra. Złota. Jest Romek. I Hanka. Więc już przyjechała z Niemiec? Przecież to moja siostra. Dlaczego się kładzie koło mnie w łóżku? Romek też.

Nie mogę ich powstrzymać. Romek jest podobny do dziewczyny. Kiedy on przyjechał? W Przemyślu leżał koło mnie na pryczy. Potem go przenieśli do Krakowa. Na policzkach miał delikatny aksamitny zarost. Więc znowu leży koło mnie?

Dlaczego on się rozbiera? Hanka też? Hanka ma ogromne piersi. Chce mnie. Przecież nie mogę tego robić z siostrą. Wzlecieć. Jestem ciężki. Nie. To Halinka mnie obejmuje. Trzyma. Romek bierze moją dłoń i kładzie sobie na brzuch. Gładzę go. Znowu? Hanka tuli się coraz mocniej.

Duszę się. Oboje mnie obejmują. Romek dotyka ręką... Znowu... Błysk... Dobrze...

Ciemno. Niech to szlag trafi! Co za kretyńskie sny! Może ja jestem nienormalny?

- Panie Wacku, nie może pan spać?

To gospodyni. Zauważyła światło. No pewnie.

- Pić mi się chce. Coś słonego zjadłem.

- W czajniku jest przegotowana woda...

- Dziękuję. Proszę spać... Poradzę sobie.

- A która to godzina?

- Pół do drugiej...

Przekręcam kontakt. Prześcieradło mam w rękach. Cholera. Co się ze mną dzieje? Muszę coś zrobić. Przecież to niemożliwe. Trzecia noc. Nigdy mi się to nie zdarzało. Łać do pościeli jak dzieciak. Niby niezupełnie tak, ale to na jedno wychodzi.

Coś się ze mną dzieje. Fakt. Nigdy tego nie robiłem. Może pójść do doktora? Wstyd. Chyba do cywilnego. Wojskowy by rozgadał.

Właściwie to nawet nie wiem, na czym polegają choroby weneryczne. Ale to na pewno nie to. To jest nienormalne. Ale chyba nie choroba weneryczna. Nie pójdę do doktora. Lepiej się nie przyznawać. Może samo przejdzie?

*

Kto to zgasił światło? Genek. Zwariował czy co? Przecież to nie wypada. Pewnie myśli, że robi nastrój.

- Nie wygłupiajcie się! Zapalcie lampę!

Szum w saloniku. Nikt się nie kwapi do zapalenia. Może tak jest dobrze? Danka jest przy mnie. Usiedliśmy tu przed chwilą. W kącie. Szeroka kanapka. Staromodna. Głupio mówię. Po prostu - stylowa.

Ładnie Brzezińscy urządzili sobie mieszkanie. Nadziani faceci. Kto podłapie ich Ulkę, będzie miał ciepłych teściów.

- Danka...

- Co?

- Zapalić światło?

Dlaczego to mówię? Przecież to idiotyzm. Wszyscy chcą, żeby było ciemno. Pewnie nieraz już takie prywatki robili. I Danka na nich była. Coś ściska mnie w gardle.

- Źle ci tak? Nie psuj im frajdy. Patrz, jacy zajęci.

Rzeczywiście. W saloniku się uspokoiło. Nikt nie protestuje. Do sąsiedniego pokoju drzwi otwarte. Dwie pary przemknęły się koło okna. Właściwie teraz młodzi mają dobrze. Ja muszę harować w koszarach i potem w szkole. Oni tylko się uczą. Mają czas na takie zabawy. Ktoś zaśłania kotary. Całkiem ciemno.

- Danka...

- No?

Mówi do mnie szeptem. Wokoło też słychać tylko ciche, przytłumione głosy. Jesteśmy sami w mieszkaniu. Chyba ze dwadzieścioro z budy. Brzezińscy wyjechali. Podobno na tydzień. Do Zakopanego. Mieszkanie zostawili Ulce.

- Przysuń się do mnie...

- A ty nie możesz?

- Mogę...

Jestem przy niej. Czuję jej włosy. Boże! Jak ja ją kocham! Teraz to rozumiem. W te wszystkie wieczory, kiedy siedziałem koło niej w ławce, wiedziałem to samo. Tylko nie umiałem tego nazwać. Tak. To jest właśnie miłość? Tak to wygląda. Ona musi być moją żoną. Żoną? A dlaczego nie? Przecież kiedyś muszę się ożenić. I zrobię to! Właśnie z nią. Zaraz jej to powiem.

- Słuchaj, mała...

Skąd mi się wzięło to słowo? Nigdy tak nie mówiłem. Obejmuję ją. Ona się nie broni. Może trochę. Ale lekko. Mam jej głowę na ramieniu.

- Słuchaj i nie przeszkadzaj mi. Dobrze?

- Dobrze.

- Kocham cię.

Szarpnęła się. Ale trzymam ją mocno. Jest spokojna.

- Kocham. I to tak naprawdę. Ty zresztą też mnie kochasz. Nie tłumacz się. Wiem. Widziałem, jak na mnie zawsze patrzałaś w szkole. Czułaś to samo. I to jest właśnie miłość.

- Chcecie jeszcze sznapsa?

Cholera. To Genek Prałat. Znalazł sobie moment.

- Nie. Daj nam spokój. Mam coś do powiedzenia Dance.

Dziwnie brzmi mój głos. Jest ochryply. Genek kiwa się koło półki z kwiatami. Wstawiony.

- Pssst... Coś wam powiem. Ja znam dobrze ten kramik. W rogu korytarza na prawo. Pssst... Tam są drzwi. Pokój służącej. Pusty. Tam zasuwajcie. Ja wam mówię. Pełna samotność. Bomba!

- Daj spokój, Genek. Chcemy porozmawiać...

- Już idę. A wy nie łamcie się. Danką! Przecież macie się ku sobie? Pssst...

- Mamy, mamy... Idź już...

- Pardon! Już mnie nie ma.

Mało się nie przewrócił o fotel. W rogu saloniku zabłysła zapałka. Ktoś zapala papierosa. Na moment widziałem dwie obłe, obnażone nogi. To Wiśka i Jurek. Leżą na tapczanie. Tak, to oni. Byli tam przecież.

- Poszedł już...

- Ano poszedł. No i co, panie poruczniku?

- Nie wygłupiaj się.

Prysł nastrój. Przyciągam ją bliżej do siebie. Obejmuję. Gładzę jej włosy. Znowu jest dobrze.

- Teraz ci powiem resztę. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy się pobrać. Będiesz moją żoną. W maju matura. Zdemobilizuję się. Pojedziemy do Warszawy. Na studia. Będę studiował i pójdę do pracy. To proste...

- Wszystko już ułożyłeś?

Kpi sobie. Może mi się tylko wydaje?

- Teraz mi to wpadło do głowy. Nic sobie nie układałem.

- A mnie zapytałeś o zdanie?

- Właśnie teraz pytam.

Cisza. Nic nie mówi. Milczy. Bardzo mi na niej zależy. To aż boli. Ona musi być moja. Dlaczego milczy?

- Kocham cię, Wacław!

Wszystko tańczy. Wszystko. Ona mnie kocha. Naprawdę. Sama to powiedziała. Właśnie ona. Ona pierwsza. Pierwsza w moim życiu. Kocha mnie.

Mam ją w ramionach. Całuję. Dobrze mi. Jestem szczęśliwy. Ma miłe delikatne wargi. Z ust jej leciutko czuć tytoniem. Ale to nie razi. Ona drży. Ja też. Zgniotę ją chyba w ramionach. Lekko mnie odepchnęła.

- Słuchaj. Ja miałam narzeczonego.

- No to co? Teraz ja nim jestem!

- Żyłam z nim...

Coś mi się zważyło na głowę. Żyła z nim. Będę skowyczeć. Oszukała mnie. Dlaczego właśnie ona. Dlaczego?

- Znałam go od dwóch lat... Wtedy jeszcze ciebie tutaj nie było...

- No właśnie...

Co „właśnie”? Głupio gadam. Ale rzeczywiście... Przecież ja też nie byłem święty. Czego ja od niej chcę? Dureń.

- Poza Jankiem nie miałam nikogo...

Janek mu na imię. Czy to ważne? Co mnie to obchodzi? Co?

- Danuś, teraz wszystko zaczyna się od nowa. Nasza miłość... Ty, ja... Wszystko!

- Obejmij mnie. Już nie masz żalu?

- Danka, coś ty?...

- Chodź, pójdziemy do tego pokoiku.

- Chcesz?...

- Po co pytasz? Chodź!

W skroniach mi łomoce. Jesteśmy na korytarzu. Żeby tylko pokój był pusty. To są drzwi do ubikacji. Zamknięte. Ktoś tam siedzi. Danka idzie za mną. Czuję jej obecność. Stojak z płaszczami. Wyciągam rękę. Łoskot. Przewróciła się laska. Nie. Parasol. Stoję. Serce podskoczyło do gardła.

Idziemy znowu. Tak. To tutaj. Otwieram drzwi. Jesteśmy w pokoiku. Dziwny zaduch. Mdły. Dawno nie wietrzone. Takie izdebki przeważnie są bez okna. Ta chyba też. Skrzyp. Danka zamyka drzwi. Podchodzi do mnie. Jest przy mnie. Przyciskam ją do siebie. Czuje mnie całego.

Teraz popycham ją na łóżko. Narzuta jest wełniana. Muszę uważać, żeby nie zabrudzić.

Leżę przy niej. Jestem szczęśliwy. Pojutrze wyjeżdżam na wybory. Dwa tygodnie mnie nie będzie. Ale ona jest już moja. Moja. Zaraz to się stanie. Wiemy o tym oboje. To będzie zupełnie inaczej niż dotychczas. Ona mnie kocha. Ja ją. Kochamy się. Kochamy...

Podnoszę jej spódnicę. Czuję wełniane majtki. Takie na zimę zakładała moja matka. U dziewcząt nie widziałem. Pewnie też noszą. Ściągam. Mam dziwne dreszcze. Ona też.

Teraz już odsłoniłem ją całą. Nie widzę, ale czuję. Jestem taki szczęśliwy. Teraz mógłbym już tylko umrzeć.

- Chcesz?

- Tak...

Gryzie mnie. W oczach robi się czerwono. Sucho. Nabrać w płuca powietrza. Jak najwięcej. Chyba będę krzyczeć. Teraz... Ona wyprężyła się... Oboje jesteśmy sztywni... Jacyś twardzi... Czas się zatrzymał... Wszystko na moment zamarło. Świat czeka... Tak czeka... Jeszcze... Jeszcze chwila... Stało się. Już!!

- Jesteś więc moją żoną, kochanie...

Wtuliła się we mnie. Ona jeszcze nie... Teraz...

Zwiotczała.

Dyszemy szczęśliwi.

- Przyjdę jutro do ciebie do domu.

- Jak chcesz. Przyjdź.

*

To tutaj. Mówiła mi, że mieszka na parterze. Stara kamienica. Rudera. W sieni ciemno. Czuć mydlinami. Pewnie w suterenie jest pralnia. Ściany brudne i odrapane. Ciekawe, czy rodzice Danki mieszkali tutaj przed wojną? Możliwe. Jej stary jest listonoszem. Na poczcie nigdy dużo nie zarabiali.

Jest tabliczka na drzwiach. W. K. Lesińscy. Trafiłem. Dzwonek. Nie działa. Zapukam. Jeszcze raz. Słychać kroki. Jeżeli będzie sama, to... Lepiej nie. Może przyjść któreś ze starych.

Nie. Ojciec na pewno w pracy. Ale matka. Nie ma co robić sobie smaku. To idzie Danką. Jej kroki. Poznaję. Chcę ją widzieć. Oddychać koło niej...

Odsuwa jakiś zatrzask przy drzwiach. Skrzyp. Jest. Ona.

- Dzień dobry, Danko.

- Dzień dobry.

Czy mi się wydaje? Mówi jakoś oschle. Może niezadowolona, że przyszedłem. Wydaje mi się. W korytarzu jest mroczno. Ale Dankę widzę. Jak w słońcu. Ma bluzkę uszytą z flaneli. Śmieszna jakaś. W kwiatki. Różowa. Na wsi takie noszą. Ale Dance dodaje uroku.

- Jak widzisz - przyszedłem. Nie gniewasz się?

- Czekałam na ciebie.

- Mama w domu?

- Nie. Jestem sama.

Czuję jakieś niebezpieczeństwo. Dziwne uczucie. Miałem to w lesie. Coś złego się stanie. I ona zachowuje się dziwnie.

- Pozwolisz zdjąć płaszcz?

- Oczywiście. Powieś na wieszaku.

Pas z pistoletem zakładam na mundur. Machinalnie. Kiedy mam takie przeczucia, wolę mieć pistolet przy sobie. Głupi jestem. Opętało mnie czy jak?

- Siadaj.

- Dziękuję.

Biednie tutaj. Pokój szary, smutny. Koło okna maszyna do szycia. Matka Danki dorabia krawiectwem. I szafa dziwnie ustawiona. W poprzek pokoju. Pod ścianą otomana. Nawet niezbyt czysto. Na podłodze skrawki materiału. Widać matka niedawno skończyła pracę.

- Zimno dzisiaj na dworze. Będzie z piętnaście stopni.

- Chyba tak.

- Mama wyszła po zakupy?

- Nie. Do ciotki. Miała jakąś sprawę.

Do kuchni nie ma drzwi. Wisi zasłona. Tam ktoś jest. Czuję to. Ktoś jest. I wie o mnie. Coś się będzie działo. Za chwilę. Przesuwam lekko kaburę z pistoletem do przodu. Idiota. I tak nie będę tutaj strzelał. Kto jest w kuchni?

- Wacek, chciałam ci powiedzieć, że wszystko, co mówiłam wczoraj, nie ma sensu. To pomyłka.

- Co?

- Po prostu nie kocham cię. Nigdy nie kochałam. Wiesz, jak to przy wódce. Różne rzeczy człowiek gada... Plecie głupstwa.

- Danko! Co ty mówisz? Jak możesz? To niemożliwe!

Odwróciła gwałtownie głowę. Jakby narastała w niej złość. Zmieniła się na twarzy.

- Co niemożliwe? Mam narzeczonego, którego kocham. Włazłeś w nasze uczucie jak prosię do ogródka. Będę jego żoną. Jego! Czy nie możesz tego zrozumieć? Zaraz po maturze. Rozmawiałam o tym dzisiaj rano z rodzicami.

Chce mi się płakać. Nie wypada. Tylko nie to. Muszę się opanować. Zasłona w kuchni się poruszyła... Tam ktoś jest. Z całą pewnością.

- Przepraszam. Nie wiedziałem, że zdarza ci się mówić przy wódce takie głupstwa. Ja myślałem inaczej. Dla mnie to nie były żarty...

Po co ja to mówię? Co to załatwi? Nie wierzę, żeby ona mówiła prawdę. Nie wierzę.

- A kochać to cię będę, królowo, zawsze... Bo ty mnie też kochasz. I kiedy zdamy maturę, to będziesz moją żoną. Na to daję ci oficcerskie słowo honoru!

- Idź już, Wacek. Błagam cię, idź!

Uwieram się jak lunatyk. Czuję, że ktoś na mnie patrzy. Na karku czuję obcy wzrok.

- Do widzenia, Danka.

- Zegnaj, Wacek.

- Do widzenia.

Drzwi są już zamknięte. Głupie uczucie. Zamknęły się za moim szczęściem. Po schodach idzie jakaś kobieta. Dźwiga wiaderko z węglem. Podarty kożuszek ma rozpięty na piersiach. Upadło jej polanko drzewa. Podniosła. Pewnie na podpałkę.

W kuchni ktoś był. Musiał być. Poczekał na niego.

*

Zimno. Całkiem przemarzłem. Nic dziwnego. Minęły trzy godziny. Będę czekać chociażby do jutra. A może mi się wydawało. Nie. W kuchni ktoś był.

Idzie. Wychodzi z tej sieni. To musi być on. Czuję to. Pali papierosa. Rozgląda się czujnie.

Tak ubierały się u nas chłopaki z lasu. Oficerki. Bryczesy z grubego sukna. Kurtka z futrzanym kołnierzem. Na głowie granatowa kominiarka.

Zauważył mnie. Stał. Jakby się sprężył. Prawą rękę trzyma w kieszeni kurtki. Tak. On jest z lasu.

Idę wolno w jego kierunku. Włożyłem rękę do kieszeni szynela. Demonstracyjnie. Niech myśli, że mam tam gnata. Prawą wyjmuję z paczki papierosa. Kładę do ust. Popycham przedramieniem kaburę z pistoletem do przodu. Tak. Teraz jest dobrze. Jestem spokojny. Wiem. Jestem od niego lepszy. Zawsze zabiję go, kiedy zechcę. To się czuje.

Przyjrę mu się z bliska. Ile on może mieć lat? Najwyżej dwadzieścia dwa.

- Czy mogę przypalić?

- Proszę.

W jego oczach jest zimna nienawiść. Pewnie odbiła się w moich jak w lustrze. Spokojnie, mały. Ja mam pewność. Spotkamy się jeszcze. Dzisiaj nie nasz dzień. Na pewno się spotkamy.

Rozdział V

Jesteśmy na miejscu. Tu zaczyna się moja władza. Mam mocne zaświadczenie. Mogę zatrzymać i aresztować wszystkich wojskowych do stopnia generała włącznie. Milicjantów i funkcjonariuszy UB też. Można powiedzieć - pan na Kępie i Brodziszach. Dwie gminy i dwa okręgi wyborcze. Wszyscy muszą mnie słuchać.

No... jest jeszcze ten facet z UB. Zaraz... jak mu na imię? Herbert. Oficjalnie jest moim łącznikiem. To tylko tak się mówi. Będzie mi patrzył na palce. Ale miły facet. Wesoły. Wielki chłop. Nie chciałbym od takiego dostać w mordę.

- Kapral Grabowski do mnie!

Pluton gramoli się z samochodów. Dwie ciężarówki. ZIS-y. Odkryte. Przewiało chłopaków. Mróz i wiatr. Jeszcze wczoraj była plucha, a dzisiaj śnieg. Skrzypi pod butami. Napadało nocą.

- Obywatelu poruczniku, kapral Grabowski melduje się na rozkaz.

- Spocznij. Nie róbcie szopy na drodze. Tu nie koszary. Tutaj to tak jak front.

Front? Nie. Raczej partyzantka. I ja jestem dowódcą oddziału. Cholera! W czasie okupacji to byłby numer. A teraz...

- Jak rozlokujemy pluton?

- Obywatelu poruczniku, kwatery już są. Jedna drużyna w szkole, trzy u gospodarzy. Po chałupach. Inaczej nie można. Zimno jak diabli. Zresztą kwatery wyznaczył sołtys.

- A ja?

- Tu na przeciwko. W tej dużej chacie. Chałupa ładnie wygląda. Można się będzie urządzić.

- Każcie żołnierzowi zanieść tam moje bambetle. Plecak jest w szoferce. Pójdę przywitać się z gospodarzami.

- Tak jest!

Wysoki płot. Rzadko się taki widuje. Jakież dziwaki mieszkają czy co? Furtka otwarta? Otwarta. Psy szczekają. Chyba dwa. Zgadza się. Wilczury. Duże. Spuszczone z łańcucha. Jak się który rzuci na mnie - zastrzelę.

Boją się. Szczekają, ale blisko nie podchodzą. Mówią, że pies czuje proch. I wrona. Pewnie tak.

- Niech będzie pochwalony...

Ten sposób witania został mi jeszcze z partyzantki. Na wsi najlepiej się „pochwalonym” witać. Chłop ma większe zaufanie.

- Na wieki wieków...

Zamożny gospodarz. Taki z bambrów, jak to mówią, starej daty. Buty solidne, filcowe. Przyzwoity serdak. Czuje się dostatek.

- Jak pan wszedł, panie poruczniku? Przecież psy spuszczone.

- Spuszczone. Ale nie skakały do mnie. Trochę tylko szczekały.

- Nie do wiary. Przecież one obcego by rozdarły.

- Widać polski oficer dla nich nie obcy. Zresztą pies wyczuje, kto się go boi, a kto nie.

- Mówią tak, mówią... Pan porucznik pewnie w sprawie kwatery, Sadowski naznaczył...

- Właśnie. Chciałem się przywitać i przedstawić. Podporucznik Czarnuszewicz Wacław.

- Ja się nazywam Walkowiak. Józef. Bo jest jeszcze drugi w Brodzieszach. Andrzej. Ale to nawet nie rodzina.

- Zaraz żołnierz przyniesie mój plecak. Ja jeszcze muszę wpaść do gminy. Z wójtem trzeba pogadać.

- A to go pan nie zastanie.

- Wyjechał?

- Tak. Do powiatu. Teraz przez te wybory to jakby się powściekali.

Zagalopował się staruszek. Aż się przestraszył. Oczy wybałuszył. Śmieszny dziadzio. Nie lubi widać władzy ludowej. Trzeba to jakoś rozładować, bo w portki narobi. Myśli, że go zamknę.

- Ano, co prawda, to prawda. Ganiają ludzi wewte i wewte.

- Pan porucznik się nie obraził, że ja...

- Co też pan...

- Może to i lepiej, że wójta nie ma. On nic nie załatwi. Bojący. Jego brat miał folkslistę za Niemca. Teraz pan wójt spodniami trzęsie. I on tam nie ma czystego sumienia. Znają ich, Nowaków, ludzie, niejedno by mówić...

- Różni się podorywali do władzy.

- Najlepiej, jak pan pójdzie do sekretarza gminy. To przedwojenny człowiek. Bez niego w gminie nic nie załatwi. To jest głowa.

- Będzie teraz w gminie?

- O tej godzinie? Co też pan! Pewnie u Pobiera. Grają w karty. Jak zawsze.

- Niby kto gra?

- Pozner, ksiądz i kierownik tartaku. O! Tam się pieniądze po stole przewalają.

- Kto to jest ten Pozner?

- Sklepowy. Ma kolonialkę, ale i byłem czasem zahandluje. O tam! W tym piętrowym budynku. Chciałby pan mieć te pieniądze, co Pozner.

- Dobrze już, dobrze... Wieczorem przyjdę na nocleg.

- Do jedzenia coś przygotować?

- Proszę sobie nie robić kłopotu. My mamy swój furaz. Jak to się teraz mówi - „pajok”. No to na razie. Niech mnie pan na wszelki wypadek odprowadzi teraz do furtki. Po co miałbym psa skrzywdzić. I na wieczór też niech je pan wiąże.

Na drodze pusto. Tylko samochody stoją. Jest też Grabowski i Piekarz. Goniec osobisty. Przed wojną oficer miał ordynansa.

- No jak tam, Grabowski?

- Wojsko poszło na kwatery, obywatelu poruczniku.

- A kolacja?

- Wszystko załatwione. Gospodynie zadeklarowały się ugościć wojaków. Gratis.

- Pamiętajcie, że na utrzymanie wojska są pieniądze. Jutro pogadam z gospodarzami. Zapłaci się, ile trzeba.

- Tak jest!

- Zabierzcie kierowców ciężarówek na kolację, a potem niech wracają do jednostki. Ja pójde poszukać sekretarza gminy. Jutro niedziela. Musimy przygotować w Brodzieszach wiec przedwyborczy. Przyjadą przedstawiciele Bloku Demokratycznego.

- Czy posterunki wystawić?

- Pytacie jak dziecko. Wojsko to nie straż pożarna. Pierwsza drużyna alarmowa. Jesteście moim zastępcą i wiecie, co do was należy! Tu jest front.

- Tak jest!

- A tego z UB gdzie ulokowaliście?

- Nigdzie. Przecież on...

- Słusznie. Niech się sam martwi. W razie czego przy czwartej drużynie.

- Obywatelu poruczniku, on kazał zanieść swoją walizkę na pocztę. Mówił, że zna naczelnika...

- Jego sprawa. W razie czego jestem w tym piętrowym domu. Tam, koło kościoła. Widzicie?

- Tak jest!

- No, to do roboty!

Sprytny chłopak ten Grabowski. Właściwie to nie chłopak. Na pewno starszy ode mnie. Wojsko to wojsko. Ten jest starszy, kto ma gwiazdki.

Chociaż nie. Teraz na mnie i z gwiazdkami nie ma mocnych. Tylko Żymirski mógłby mnie postawić na baczność. Fajnie!

Co mi to wszystko daje? Nic. Dwa dni temu bym się cieszył. Myślałbym o Dance. A teraz? Nie ma co lamentować. I Danką musi być moja. Dlaczego ona tak...? Bała się narzeczonego. To jakiś bandzior. Pewnie zobaczyła u niego spluwę i zlekła się o mnie. Myślała, że mnie ukatrupi. Wolnego. Na spluwę jest spluwa. Bandziorów się nie boję. Bandziorem jestem ja sam.

Wszystko się ułoży. Tylko wrócę do budy. Znowu usiądzie Danką koło mnie. Do matury prawie pół roku. Może nie przerobią zbyt wiele materiału. Na początku roku zawsze jest trochę objiania. Mam książki z „matmy” i arytmetyki handlowej. Trochę poczytam.

Śnieg skrzypi pod nogami. Szybko się ściemnia. Tylko patrzeć i pozapalają światła w chałupach.

Pusto na drodze. Pewnie nie tylko dlatego, że mróz. To nasz przyjazd ich tak zmroził. Mówili mi w pułku, że tutaj są sami PSL-owcy. Herbert też tak mówił.

Co mi tam! Ja z PSL-em nie wojuję. W wojsku nie ma polityki. Zresztą... jak tylko zdam maturę, brykam do cywila.

Jestem na miejscu. Sklep zamknięty. Trzeba zapukać do drzwi. Obok.

- Dobry wieczór.

To chyba jest służąca. Pewnie. Zaniedbana. Z przodu brak jej kilku zębów. Wyniszczona pracą. Może nie dojada. Wiadomo, jak to traktują służbę na wsi. Zwłaszcza takie „Poznery”. Czyści popielnik w piecu. Będzie robić kolację. Właściwie to jestem głodny.

- Szukam sekretarza gminy.

- Eeejk... pana eeejk... Wójcika?

Prawie niemowa. A w każdym razie niezupełnie normalna. Taką najgorzej wykorzystują. Niechby sobie ją nasz polityczny zobaczył. Żeby taką obronić, to nie ma polityków.

- Ano właśnie, panienko. Pana Wójcika.

Uśmiechnęła się. Jej dziąsła wyglądają wstrętne. Widać tylko kikuty zgniłych pniaków. Obtarła ręce o fartuch. Chyba nikt do niej tak nie mówił.

- Eeeejk... Na górze... Po schodach...

Trzeba wiać. Gotowa się we mnie zakochać. Są schody. Strome. Poręcz. To dobrze. Przez szparę drzwi u dołu widać światło. Pukam.

- Proszę.

Jestem w pokoju. Pełno dymu od papierosów. Żarówka mimo to świeci dość jasno. To chyba kantor przy sklepie. Jakieś papiery. Pudła tekturowe. Duży stół. Cerata w czerwone kwadraciki. Nie. W różowe.

Rzeczywiście. Jest ich czterech. Ten naprzeciw to ksiądz. Trudno się pomylić. Ale który z nich jest sekretarz? Widać, że przerwali grę. Karty leżą na stole.

- Przepraszam, jestem dowódcą grupy ochronno-propagandowej. Szukam sekretarza gminy. Pana Wójcika.

- To ja.

Tak też i myślałam. Ten siwy z łysiną to pewnie kierownik tartaku. Ten koło szafki - to Pozner. Gębę ma wredną. Obrzmiałą i czerwoną. Takiego to tylko na demokratyczny plakat. Jako karła reakcji.

- Podporucznik Czarnuszewicz jestem. Mam sprawę do pana. Mogę prosić na chwilę?

- Sprawę... Do mnie?

- Właściwie to do wójta, ale słyszałem, że wyjechał.

- Dobrze pan słyszał. A ja nie władza. Bez wójta nic nie mogę załatwić. Nie mam prawa.

- Przepraszam, ale sprawa jest pilna.

- Na wsi nie ma pilnych spraw. Zwłaszcza o tej porze.

To ksiądz się odezwał. Chce mi pomóc. Nawet sympatycznie wygląda. Szczupły, siwy... Oczy błyszczą mu zza okularów... Jakby figlarnie, ale i mądrze.

- Niech pan wierzy księdzu mimo swoich poglądów. Ksiądz jest na parafii od dwóch lat. O ile się nie mylę, to dwa lata temu karnie dobrodzieja tutaj przenieśli?

Kierownik tartaku też robi wrażenie niegłupiego faceta. Niby księdzu docina, ale po przyjacielsku.

- Przepraszam, muszę jutro zorganizować wiec przedwyborczy. Pan Wójcik jest mi koniecznie potrzebny.

- Wójcik nic nie zrobi. To mogę tylko ja.

- Ksiądz?

- Zapowiem z ambony. O tej porze latać po chałupach? Wykluczone. Innego sposobu nie widzę. Zresztą choćby był inny, to ten jest najlepszy. Będzie pan miał jutro frekwencję, o jakiej pan nie marzył.

Ładnie się wyraża. Frekwencja. Nie słyszałem jeszcze takiego wyrazu. To chyba znaczy obecność na zebraniu. Muszę sobie zapamiętać.

- Pod warunkiem jednak, że nie zabierze nam pan od stolika imć pana sekretarza. Bo tutaj jest on nam rzeczywiście potrzebny. Pokerek w trójkę to nie jest pokerek.

- Niestety, ale ja na dzisiaj i tak wysiadam. Nie idzie mi karta. Pasuję, mogę najwyżej pokibicować.

- Panie Wójcik! Co pan!

- Niestety. Słowo się rzekło!

- A może pan porucznik zagra?

Nie mogę z nimi siadać do stołu. Mam przy sobie państwowe pieniądze. Obrobią mi tyłek. Nie. Nie dam się wrobić.

- Niestety, nie znam tej gry.

- Oficer nie zna pokera? To teraz tak jest w wojsku? U nas przed wojną...

- Niech pan da spokój, panie Groszewski!

Odezwał się Pozner. Rzadko mówi, ale przecież umie.

- Nauczymy pana. Gra jest prosta jak pacierz.

Ciągnął na siłę. Chcą mnie obrobić. Im nie chodzi o moje pieniądze. Chcą mnie widzieć zgranego. Jak całuję w stół. Zmartwionego chłopka roztropka w oficerskim mundurze. Niby mili, a świnię.

- Eee, to trudna gra ten... jak mu tam...

- ...Poker. Myli się pan. To amerykańska gra. Genialna w swojej prostocie.

- Spokojnie, kierowniku. Zaraz wszystkie gry wypiszemy porucznikowi na kartce. Otóż najniższa gra to jest para.

- Jaka? Król i dama?

- Logiczne, ale nieprecyzyjne. Para to dwa króle, dwie damy, dwa asy... Piszemy na kartce: para.

Kpią sobie. Chamy. Ale jeszcze nie rano. Trzeba udawać głupka. Niech piszą na kartce. Już ja im tyłek obrobię. Zobaczmy, kto kogo nauczy. Swoich pieniędzy mam dwa tysiące. Wypadnie półtora na mnie z „pajoku”. Można zagrać. Już mi całą litanię wypisali. Zrobi was ta kartka na szaro.

- A full to jest, proszę pana, trójka i para.

- To jest wysoka gra?

- Dość wysoka.

- Znaczy - można już wygrać?

Czy nie za ostro się zgrywam? Mogą się potapać. Nie. Tak się zapalili, że świata nie widzą.

- Zależy od układu i spotkania. Piszemy: full.

Wierzą, barany, że nie umiem grać. Dam im popęd. Ale piszą na tej kartce. Śpieszą się do mojej forsy. No, pomaleńku. Jeszcze jej nie liczycie.

- Najwyższa gra to jest poker.

- Jak się ją gra?

- To jest strit w kolorze. Znaczą kolor, ale po kolei. Dziesiątka, walet, dama, król i as.

- A jak zamiast dziesiątki będzie tylko siódemka?

- To będzie tylko kolor.

Chce mi się ryczeć ze śmiechu. Wierzą krety. Niby inteligentni, a tak się dają wrobić. Myślą, że złapali cyca. Dam ja wam kartkę. Jeszcze do tego nie mam szczęścia w miłości. Będzie zabawa.

- Rozumie pan, panie poruczniku?

- No... niby tak. To jest proste. Zresztą... mogę sobie początkowo pomagać kartką?

- Ależ oczywiście. Jak pan chce.

No i udzielił mi proboszczunio nauki. Niby przyjemniaczek, a o miłości bliźniego zapomniał.

- Panie Pozner, ale kartka lubi pływać.

- Ładnie to dobrodziej powiedział. Pan da pół litra. Mój rachunek. Pan pije, panie poruczniku?

- Właściwie to mało. Od czasu do czasu...

- No to właśnie jest ten czas.

- I parę koreczków z tej kiełbaski co wczoraj...

- Jadł ksiądz kiełbasę w piątek? A fe!

- Ale udzieliłem sobie wpięrw dyspensy.

Więc na dodatek chcą mnie jeszcze upić. No to wolnego. Jednego sobie wypiję. To mi nawet dobrze zrobi. Potem zobaczymy.

Pozner wyszedł z kantorku. Widać chowa gdzieś wódkę. Jasne. Przecież nie ma koncesji. Ale wojskowego się nie boi. Kierownik chce mnie zagadać.

- Panowie na długo do Brodziesz?

- Proszę mi wybaczyć, ale to tajemnica wojskowa.

- A co? Dostał pan szkołę? Trafiła kosa na kamień.

Oj, trafiła. Zobaczycie, gagatki.

Przyszedł Pozner. Ma w ręku butelkę i talerz z kiełbasą. Kiełbasa wygląda apetycznie. Swojska. Powoli stawia wszystko na stole. Obok małe szklaneczki. Wejdzie w nie po pięćdziesiąt gramów. Nie więcej.

Groszewski wziął butelkę do ręki. Rozlewa z uwagą wódkę. Wolno i systematycznie.

- No... to na zdrowie! Za pomyślność pana porucznika!

- Dziękuję, ale chyba trzeba zacząć od toastu na cześć fundatora.

Zimna wódka. Dobra. I kiełbasa smaczna. Ale przecież nie o picie chodzi. Oni czekają na coś innego.

- No, to zaczynamy. Kto rozdaje?

- Najstarsza.

Bierzemy z talii kolejno karty. Ksiądz wyciągnął króla. My młodsze. On rozdaje. Kładę koło siebie kartkę z wykazem gier. W nich jakby wstąpił nowy duch.

- Po dwadzieścia i otwarciu.

Zaczynają ostro. Ale to nic. Dopłacam. Biorę karty. Nieźle. Dwa asy i para siódemek.

- Otwieram w ciemno za sześćdziesiąt.

- Co znaczy „w ciemno”?

- Nie oglądam kart, tylko otwieram.

- Aha...

- Wszyscy doszli?

- Tak. Tylko że ja w ciemno przebijam. Za sto osiemdziesiąt. Żeby interes szedł.

To przebił ksiądz. Chcą mnie złamać od początku. Zdenerwować. Przestraszyć. Trzeba ich utrzymać w tym przeświadczeniu. Przekładam nerwowo karty. Ksiądz się uśmiecha.

- Wszyscy są?

- Ja dopłacam.

- Jestem.

Kierownik dopłacił i Pozner.

- To i ja zapłacę.

- A na widno?

To znowu ksiądz. Goni grę.

- Ja zdrów.

- Ja też.

- To i ja.

Trzeba z nich robić balona. Nic nie mają. To widać.

- Co znaczy „na widno”?

- Po obejrzeniu kart może pan jeszcze przebić stawkę.

- Ile?

- Ile pan chce. Jednak nie więcej niż trzykrotnie.

- No to ja w takim razie przebiję. Pięćset czterdzieści.

Spojrzeni na mnie uważnie. Połapali się? Chyba nie. Robię minę matoła.

- To tyle wypada, prawda?

- Tyle.

Dopłacili. Kupujemy karty. Wszyscy po trzy. Dobrze. Nic nie mają. Ja biorę jedną. Nie filuję. Patrę w karty, jakbym grał w sześćdziesiąt sześć. Demonstracyjnie sprawdzam na kartce. W kartach mam ubogo. Nic mi nie doszło. Ale i oni chyba nic nie mają. Groszewski jest pierwszy.

- Czekamy.

Nic nie ma. Teraz Pozner. Widać po jego gębie, że nic mu nie doszło. Ksiądz nic nie ma, ale jeżeli ja poczekam, to on zablufuje. To pewne. Pula duża, a poza tym będzie się chciał popisać. Jeszcze tylko raz spoglądam w kartkę. W górne rejony. Tam gdzie objaśnienia parek.

- To i ja zaczekam. Znaczy się, że wszyscy czekamy. No i co teraz będzie?

- Chwileczkę! Jeszcze ja jestem, panie poruczniku...

Ksiądz złapał przynętę. Będzie blefował. Robi ważną minę. Aż mnie śmieszy z tą swoją „pokerową” twarzą.

- Aha... Rzeczywiście, przepraszam...

- Zagramy tysiąc pięćset złotych. Żeby było równo.

Groszewski i Pozner spasowali. W puli prawie trzy moje miesięczne pensje. Zaraz zobaczę, jeżeli będzie mnie namawiał do spasowania, to znaczy, że nie dokupił trójki.

- To co ja mam teraz zrobić?

- Jak pan uważa! Jeżeli chce mnie pan sprawdzić, musi pan dopłacić półtora tysiąca. Ale jak pan ma słabą kartę, to może się pan wycofać.

- To wtedy kto wygra?

- Ja, bo ja zagrywałem!

- To ja dodam. Też zagram! Ale tylko tyle, ile jeszcze mam. Dwa tysiące. Można?

Zmieszał się księżulo. Pierwsza pula i od razu taka bomba. Zupełnie zbaraniał.

- Dodam. Co pan ma?

Tego właśnie chciałem. Zgubił się. Nie powinien dodawać takiej sumy. Prawidłowe byłoby ostre przebicie.

- A tamci panowie nie muszą dodawać? Przecież ja wszystkim pokazuję karty.

Groszewski śmieje się nerwowo. Pozner jest zły. Irytuje go moja gadanina.

- Niby logiczne, ale wystarczy, jak jeden sprawdza. My już nie bierzemy udziału w tej grze.

Wyrzucam parę asów na stół i zaraz resztę kart.

- Dwójka asów.

Robię przy tym najgłupszą minę, na jaką mnie stać.

- Ja mam dwie pary. Króle i walety, ale pan też ma dwie. Tu jest jeszcze para siódemek,

- To kto wygrał?

- Oczywiście pan. Liczą się starsze pary.

- To biorę wszystko? Na dwie pary?

Uśmiechają się kwaśno. Ale tak jak panowie do chłopka. Rany Boskie! Z pięć patyków wygrałem za pierwszym razem. Dobry początek. Teraz mogę już pobalować.

- Oczywiście. Zostawia pan tylko ślad.

- Jaki ślad?

- Dwadzieścia złotych. Zresztą teraz rundki, to i tak obowiązuje otwarcie.

Znowu otwierają w ciemno. Ale już ostrożniej przebijają. Do tej gry nie wchodzi. Zaskakuje ich to. Mówię, że nie i kropka.

- Ja nie wchodzi. Czy mogę tak? Bo nie mam ani parki.

Błąd. Powinienem mówić: dwójki. To bardziej przekonujące.

- Ależ oczywiście.

Zaczynają się denerwować. Nie dziwię się. I mnie by szlag trafił na takiego wiecznie pytającego się głupka. Na pewno poczekają. Zechcą robić pulę. Jakbym zgadł. Wszyscy czekają. Dobra.

- No... poruczniku, jak pan chce z nami grać, to musi pan teraz dopłacić.

To ksiądz. Pilnuje, żebyśmy wszedł do gry. Pilno mu odegrać swoje pieniądze.

- Ile?

- Dwieście czterdzieści.

- Tak dużo?

Śmieją się. Mają zabawę. Nawet Pozner udaje Einsteina.

- Tyle wypada.

- No to dobrze. Zapłacę.

Trzeba ich jeszcze bardziej wytrącić z równowagi. I uśpić czujność. Wtedy zaczną robić głupstwa.

Pozner rozdaje karty. Biorę wszystkie od razu do ręki. Wójcik chce mi zaglądnąć przez ramię. Nie pokazuję. Widziałem, co mam. Trójka waletów, dziesiątka i as. Dobrze jest. Nie otwieram. Spoglądam tylko na kartkę leżącą na stole. Patrzę na dole spisu. Niech myślą, że kupuję do koloru. Jeżeli nikt nie otworzy, to klops. Szkoda karty.

Otworzył Groszewski. Wysoko. Z puli. Dobrze. Przebijam dwukrotnie. Są zaskoczeni. Dochodzą. Groszewski podbija.

- Żeby było równo. Trzykrotne przebicie.

Wszyscy dochodzą. Pozner i ksiądz kupują po trzy karty. Ja z Groszewskim po dwie. Podpiera się? Może. Patrę w karty. Mam szczęście. Dwie ósemki. Full. Robię zawiedzioną minę. Jeszcze raz patrzę na kartkę. Z niechęcią rzucam karty na stół.

Pozner nie zagrywa. Ja też czekam. Ksiądz zagrywa za tysiąc pięćset. Rozumiem. Jeżeli Groszewski podbije, to znaczy, że chcą mnie wypędzić. Straszą. Czuję, że ksiądz nic nie ma. Fakt. Dobrze przewidywałem. Groszewski przebija cztery tysiące pięćset. Pozner nie dodaje.

Teraz ich załatwię. Groszewski nie ma nic. To widać. Trzęsą mu się ręce. Co to za gracz? Tacy grali przed wojną w oficerskich kasynach? Już go widzę. Chyba z długów nie wyłaził. Nie ma pojęcia o grze.

No Wacuś! Jak ten numer ci nie wyjdzie, to leżysz. Już i tak gram częściowo za państwowe pieniądze. Ale musi wyjść.

- Dopłacam tyle, ile pan powiedział. Ile to?

Zbladł. Nie spodziewał się tego.

- Cztery i pół.

- To ja to dopłacam. I jeszcze stawiam trzy tysiące.

- Dodaję.

I to przewidywałem. Dodał machinalnie. Ale na co liczy?

- Mam trójkę i dwójkę.

Specjalnie staram się niefachowo wyrażać.

- Pana starsze.

- A co pan miał?

- To moja sprawa. Ja sprawdzałem. Nie muszę pokazywać.

- Przepraszam.

Jest niegrzeczny. To dobrze. Wyprowadziłem ich z równowagi. Wstydzą się, że nowicjusz ich tak kosi. Wójcik przysiadł się bliżej mnie. Chyba nie będzie im dawał znaków? Nie. Grają jak nogi, ale uczciwie. Na wszelki wypadek trzeba jednak uważać.

*

To już chyba minęło trzy godziny. Tak. Wygrałem ze dwadzieścia tysięcy. Kupa forsy. Jak przy tym zostanę, to kupię sobie motocykl. Kartka pomogła. Zupełnie ich ogłupiłem. To były jatki. Dali się nabrać. Tylko Pozniera właściwie nie dopadłem. Czujny łobuz. Najwyżej dwa tysiące do mnie przegrał. Chyba już nie będę miał z nim spotkania. Ksiądz zapowiedział „rundki”. Niby że jutro ma ranną mszę. Diabła tam! Splukany. Wstydzi się powiedzieć, że zabrakło mu pieniędzy.

Mam pełne kieszenie forsy. Wszędzie upycham. Do spodni, do bocznej kieszeni munduru.

Groszewski rozdaje. Rany Boskie!!! Cztery asy z ręki. Nie kantują? Chyba nie. Gdzie im do takich sztuczek. Na pewno nie.

A to co? Pozner aż się zaczerwienił. Widać bogato ma w kartach. Aha... czeka na kolor. Trzeba na wszelki wypadek otworzyć.

Ksiądz i Groszewski weszli. Pozner przebił. To i ja. Trzykrotnie. Czekasz, kupczyku, na fart? Zobaczmy, jak będzie kupował. Pozner przebija. To i ja jeszcze raz. Pozner dodaje. Już nie patrzę na kartkę. Ta gra jest ostatnia. Kto kogo. Na noże. Dorwałem się wreszcie do drania. Za tę szczerbatą służącą. Może Pan Bóg poszczęści.

Ksiądz i Groszewski nie weszli. No, panie Pozner! Tylko my dwaj zostaliśmy na placu.

Groszewski wziął talię kart do ręki.

- Ile dać?

- Jedną.

Kupuje do koloru. Tylko poker może mnie załatwić. Ano albo rybka, albo pipka. Może blefuje z czwórką. Też dobrze. Wyższej, niż moja, nie ma.

Gęba mu się zaczerwieniła. Dokupił. Aż westchnął. Tak. Kupował do koloru. Jeżeli będzie zbyt pewnie przebijał, to trzeba uciekać. Może mieć pokera.

Dodaję machinalnie. Nie hossuję zbyt mocno. Tak. Pozner ma kolor. To się wyczuwa po przebicjach. Jest pewny, ale czasem się waha. Przy pokerze szedłby na całego. Nie zastanawiałby się. Włożyłem już do puli wszystko, co do tej pory wygrałem. Ostatnie przebicie Pozniera.

- Dodaję.

Na stole stos pieniędzy. Dym aż dusi. Jest sino w pokoju. Groszewski nerwowo przełyka ślinę. Grdyka rusza mu się jak u gęsi, którą tuczą kluskami. Jestem pewien zwycięstwa.

- Kolor kierowy.

Wyciąga łapę po pieniądzu. A jednak miałem dzisiaj szczęście. Wszystko przewidziałem.

- Wolnego, królu. Cztery asy.

Pozner jest błądliwy jak ściana. Nie cofa ręki. Teraz drugą bierze moje karty. Ogląda. Jakby nie wierzył. Ostatnie przebicie było dwanaście tysięcy. To już nie żarty.

Rozgląda się po pokoju. Gębę ma całkiem głupią. To jest frajda. Zgniotłem gnidę.

- Ma czwórkę.

Wygląda komicznie. Ciągłe nie wierzy.

- Ano czwórkę, panie Pozner.

Ksiądz ma wyraźną satysfakcję. Widać nie lubi Pozniera. No. pewnie. Takiego burka? Cieszy go wpadka sklepikarza. W sumie ograłem ich na prawie pięćdziesiąt tysięcy złotych. To już nie gra. To rzeź niewiniątek. Na dwutygodniowe wyżywienie plutonu dostałem trochę lepiej niż połowę wygranej. Jestem nadziany! Nie ma co!

Jeszcze rozdają karty. Gry jednak już nie ma. Co miało być, stało się przed chwilą. Oczyszczałem wszystkich dokładnie.

Groszewski bierze butelkę do ręki. Podnosi. Patrzy pod światło, jakby chciał sprawdzić, ile zostało. Nalewa.

- Jeszcze na strzemiennego zostało.

Pijemy. Smakuje mi. Jestem rześki. Lekki.

Wesoły. Chcę się śmiać. Chowam kartkę do kieszeni.

Ksiądz pokazuje palcem na odkrytą dłoń.

- Tu mi włosy wyrosną, jeżeli pan nie umiał grać w pokera.

Za późno na to wpadłeś, staruszk. Teraz już nic ci to nie pomoże.

- Nauczyłem się od panów. Widać jestem pojętny.

- Baj, baj... Ja już wiem swoje.

- Aha... przepraszam, że przypominam. O wiecu będzie ksiądz oczywiście pamiętał?

- Słowo się rzekło. Na każdym kazaniu powiem. To będzie chyba w Domu Ludowym, panie Wójcik?

- No pewnie. Najlepiej o czwartej. Ludzie są już po obrządku. Każdy chętnie przyjdzie.

- Zróbmy o pół do piątej. Będzie już po nieszpórach. Inaczej ludzie na nieszpór nie przyjdą. A tak zaraz po nabożeństwie - hajda na wiec!

- Dobrze, niech tak będzie.

Żegnam się. Wychodzimy na drogę. Oni idą w przeciwnym kierunku. Jeszcze raz podajemy sobie ręce.

- Dziękuję za naukę.

- I my za towarzystwo.

Na parterze u Poznera zapaliło się światło. Nie będzie miał spokojnego snu.

Idę ścieżką. Śnieg skrzypi pod nogami. Bierze mróz. Jest z piętnaście stopni.

Co to? Koło płotu ktoś stoi. Za krzakami. Wyjmuję rewolwer.

- Schowajcie pukawkę, poruczniku. Czekałem na was.

To Herbert.

- Mam wiadomość. Podobno chodzi tu w okolicy duża banda.

*

Pełna sala ludzi. Ubrani odświętnie. Mężczyźni palą papierosy. Dym gryzie w oczy. Na przedzie ustawione ławki. Siedzą na nich przeważnie kobiety i dzieci. Także kilku starszych gospodarzy. Jest też i mój. U sufitu lampa. Jedna. Ściany brudne. Jakies girlandy z bibuły. Po zabawie. Ale to chyba z zeszłego roku. Bibuła szara i wypłowiała. Większość mężczyzn stoi w końcu sali. Tam światło prawie nie dochodzi. Widać żarzące się ogniki papierosów.

My siedzimy przy stole. Obok stołu mównica. Gdzie oni ją znaleźli? Bledo wyglądają ci przedstawiciele Bloku Demokratycznego. Nie poznasz - z miasta czy ze wsi. Obok mnie siedzi blondyn. Dziwny. Jakby nie miał rzes. Nie zdjął jesionki.

Zobaczymy, jak sobie poradzą. Wieś trudna do propagandy. Jest i przyszły poseł. Kijak się nazywa. Ten to chyba bamber. Kręci się przy stole. Udaje. Ważny. Jego dzień dzisiaj.

Ja występuję tutaj jako przedstawiciel wojska. „Wojsko z ludem - lud z wojskiem”. Wszystko cacy-cacy, ale bandy chodzą.

Muszę uważać, żeby się na nie nie nadziać. Ładnie bym wyglądał ze swoimi rekrutami. Popędziliby nam kota. Przecież oni na pewno mają siłę ogniową batalionu. Co drugi broń maszynową. Po wojnie oddziały nachapały się broni. Herbert mówił, że idą z Lubelskiego. Chcą się przedrzeć na Zachód. Wojska ani milicji specjalnie nie zaczepiają. Może tam są jacyś koledzy?

Trzeba ich gonić, ale tak, żeby nie złapać. Jak się człowiek zna na partyzantce, to nie sztuka. Na pewno zmieniają miejsce postoju nocą. Trzeba więc markować atak wieczorem. Kiedy wyjdą ze wsi. Z kwater. Herbert będzie widział, że gonię, a nie narażę plutonu.

Chyba się zaczęło. Pan poseł przemawia? Nie. Zagaja. Otworzył zebranie. Udziela głosu PPR-owcowi. Jakoś cicho mówi. W końcu sali pewnie go nie słyszać. O co mu właściwie chodzi?

Nie mogę się skupić. Ktoś na mnie patrzy. Czuję na sobie czyjeś oczy. Nie. Nie tych na sali. Ktoś patrzy specjalnie. Co on mówi? Boże jedyny! Znowu w koło Macieju. Reforma rolna. Upaństwowienie przemysłu. Ile razy można tego słyszeć. Wygaduje na dziedziców. Może sobie gadać. Tych tutaj to nie ciekawi. To przeważnie bogaci gospodarze. Reforma ich nie dotyczy. Dziedziców też tutaj nie było.

Blondyn dłubie zapałką w uchu. Znudzony. Nie podoba mu się przemówienie. Patrzy lekceważąco. Widać nie pierwszozna dla niego.

Ludzie na sali milczą. Niby słuchają, ale jest w tym wrogość. Dobrze, że Grabowski jest koło sali. Na dworze. Chyba trzecia drużyna jest dzisiaj alarmowa? Tak. Człowiek pewniej się czuje. Milicja też przyjechała.

Teraz mówi o Ziemiach Odzyskanych. Ale się rozpędził. Nawet statki w Szczecinie buduje. Szkoda, że o szabrownikach nie mówi. Wszystko kradną.

Ksiądz dotrzymał słowa. Na wszystkich nabożeństwach ogłaszał. I ludzie przyszli. Jak się to mówi? Frekwencja. Jest frekwencja. Przyszła.

Blondyn pochyła się ku mnie. Coś szepce.

- Zapalicie, poruczniku?

- Dziękuję. Nie palę. Czasem tak... Dla parady.

- Widzicie, jak się ten rozgadał?

Co on się mnie czepia? Znalazł sobie kolegę buras. Nie chcę, żeby ludzie widzieli, że ja z partyjniakami trzymam. Jestem tutaj jako przedstawiciel wojska. Liniowy.

Zdaje mi się, że ten na mównicy będzie kończył. Na kazaniu zawsze wyczuwałem, kiedy ksiądz zbliżał się do „amen”. Jakoś tak wolniej mówił i głośno. Ten też tak zaczyna.

No i właśnie. Przemówienie się skończyło. Cholera! Skąd się na takiej wiosce wzięła ta mównica? Na pewno jeszcze sprzed wojny. Wybudowali sobie Dom Ludowy to i pogadać lubili. Tutaj dużo było ludowców. Jak to na nich mówili przed wojną? - Witosy.

Coraz większy zaduch. Nakopcili, aż sino. Tyle że ciepłej. Ale śmierdzi. Sprawdziły się słowa baby, co sprząta salę. - Przyjdą ludzie, nabzdą i będzie ciepło. Nie ma co palić w piecach.

No i nabzdzi.

Kijak znowu wstaje. Podnosi rękę. Słowo daję, ten dudek myśli, że od Bieruta ważniejszy.

- Udzielam głosu przedstawicielowi PPS, towarzyszowi Broniarkowi.

Więc to mój blondynek... Wstaje, zbiera jakieś kartki ze stołu... Pewnie dla dodania sobie powagi. Przecież czytać z nich nie będzie. Kto by chciał słuchać czytanego. Czytać to ludzie mogą sobie sami. Są gazety.

Widać, że pewnie się czuje. Oblatany. Taki to nieraz na wiecu przemawiał.

- Towarzysze i towarzyszki...

Ktoś kichnął. Gdzieś z tyłu sali. Śmiech. Wrogi śmiech.

- Na zdrowie!

Kto to mówi? Gruby głos. Bas. Dolatuje z prawej strony. Od okna. Zaraz... Ja znam tego faceta w tyrolskim kapeluszu... Gdzie ja go widziałem? Tak!!! To on wychodził od Danki!

Niemożliwe. Mylę się. Skąd tutaj? Ciemno. Przywidziało mi się. Pewnie ktoś ze wsi... Przypadkowo go widziałem...

Blondyn ciągle mówi. Jakoś tak dziwnie. Jakby się wyuczył przemówienia na pamięć.

Gdzie jemu, dajmy na to, do takiego Felkmana. Nawet porównać nie można. Felkman umiał przemawiać.

Znowu kichnięcie. Śmiech. Bezczelny.

- Sto lat!!!

To bas spod okna. Sala rechoce. Wstaje Kijak.

- Obywatele. Proszę o spokój. To nie cyrk, tylko zebranie. Proszę nie przerywać.

Robi się ciszej. Ludzie mówią, ale półgłosem. Słuchają, ale nie ma powagi w tym słuchaniu. W końcu sali szum coraz większy. Blondynkowi wystąpiły czerwone plamy na twarzy. Poprawia sobie dłonią włosy. Patrzy na kartki. Znowu zebrał się w sobie. Wysunął prawą rękę przed siebie.

- Nie będą nami więcej rządzić panowie w kozuchach!!!

Robi się zamieszanie. Z drugiego rzędu ławek wyskakuje jakiś stary gospodarz. W kozuchu,

- A co?! Kupowałeś mi ten kozuch? Bedzies mi go, gnojku, wymawiał? Ja go przed Miemcami schowałem, kiej kazali zdawać!!!

- Tak!!! Co on chrzani!!! Widzisz go, dobrodzieja! Ludzi obraża!!! Chłopów!!! Łyk miejski!

Robi się rwetes. Ktoś rzucił kapciuch z tytoniem na stół. Machorka rozsypała się po blacie. W końcu sali odezwały się gwizdy. Żle.

Widzę, że otwartą się drzwi wejściowe. Tak. To Grabowski. Chyba z jakimś milicjantem. Grabowski ma na piersiach pepeszkę. Błyszczący, chociaż światło jest kiepskie. Groźnie wygląda. Trochę się uspokoiło.

Dlaczego wstają? Gdzie idę? Może to widok Grabowskiego na mnie podziałał? Pewnie. Przecież musimy coś zrobić. Jak by nie było - my wojsko. Ci za stołem zupełnie są skołowani. Blondynek stoi na mównicy bezradny. Nie pozwolą mu mówić. Fakt. Może być draka.

Jestem już na mównicy.

- Proszę o spokój, obywatele! Proszę o spokój.

Mówię jak na dziedzińcu koszar. Uciszyło się. Więc mam przemawiać? Cholera! Po co się w to wkopałem!

- Jest takie powiedzenie: - Wojsko z ludem, lud z wojskiem. A dlaczego tak jest? Bo to jest wojsko ludowe. Kto w tym wojsku, co ze mną do Brodziesz przyjechało, pełni służbę? Synowie chłopscy! Pewnie - mogli teraz siedzieć w domu. Przywieźć ojcu furmankę drzewa z lasu albo wymłócić kopę zboża. Oni są przeważnie z kieleckich wsi. Ale przyjechali tutaj. Żeby pilnować porządku w pierwszych w Polsce po wojnie ludowych wyborach.

Co ja wygaduję!? Boże jedyny! Same głupstwa plotę! Ale idzie mi gładko. Słuchają mnie.

- I dlatego nikt tu na wiecu nie będzie gwizdał ani robił bałaganu. Po to są tutaj wasi synowie, chłopscy synowie, żeby był porządek chłopski, a nie pański!!!

Jest już zupełnie cicho. Sala jest pełna napięcia. Całkiem niezłe mi idzie. Ciągle mówię. Ale co dalej. Nic mi nie przychodzi do głowy? Skończyć? Nie, to byłoby za krótko. Mogą pomyśleć, że oficer i nie umiem przemawiać. Tak jak ci tam... Zaraz... Czytałem coś w tej broszurze, co nam wydawali w koszarach. Szkoda, że tak „po łebkach”. Przydałoby się teraz. Zrobili w niej Mikołajczyka na szaro. Nie wiadomo tylko, czy wszystko, co pisali, to prawda. Guzik mnie obchodzi. Ale po co ja się w to mieszam?

- Wygadują poniekąd na PSL, że to, że sio... że niedobrzy Polacy. Ja tam na PSL-owców złamanego słowa nie powiem.

W tych z Bloku mało szlag nie trafił. Kijak aż się poderwał z krzesła. Na sali odezwały się nieśmiałe oklaski.

- Ja wiem, że ludzie z PSL-u chcą dobra Polski, żeby była ludowa i sprawiedliwa. Tego chcecie wy tu, w Brodzieszach, i my wszyscy.

Sala bije brawo. Przy stole coś szepczą sobie jeden do drugiego. Blondynek patrzy wściekłym wzrokiem.

- Ale to, co chcecie wy tutaj, chłopcy, to jeszcze nie wszystko. Pan prezes Mikołajczyk też mówi, że jest chłopem.

- Bo jest!!!

To z końca sali. Ale pojedynczy głos. Nieważne.

- Tylko że jego syn chodzi na taki uniwersytet w Anglii, gdzie opłata za miesiąc nauki wynosi 400 dolarów.

Diabli wiedzą, ile tam naprawdę płaci. Nic pamiętam już dokładnie, co o tym pisali. Nieważne szczegóły. Na dokładność się w takim przypadku nie patrzy.

- No i jak, obywatelu? Czy wy za waszego dzieciaka możecie płacić tyle pieniędzy? Przecie i wy chłop? A może nie jesteście chłopem... A może ja nie rozumiem czegoś? Chodźcie tutaj na środek sali i wytłumaczcie nam wszystkim. Czemu jeden chłop może sobie pozwolić na kształcenie syna w Anglii, a drugi nie...

Mam ich wszystkich za sobą. Jest szmer na sali, ale jakiś inny. Przychylny. Ludzie potakują głowami.

- Jest w Biblii takie miejsce. Pamiętam dobrze, bo parę razy czytałem. Podobała mi się mądrość tego miejsca. Chcieli Żydzi wybudować wieżę do nieba. Babel się nazywała. Powiedzieli, że mogą więcej od samego Pana Boga. No to Pan Bóg się rozgniewał i pomieszał im języki. Wtedy taki się bałagan zrobił, że nie było mowy o zakończeniu budowy. Tak jest i teraz. Wszyscy chcemy budować nową Polskę. Tylko się nam języki pomieszały. Każdy chce po swojemu. Na swoją modę. W Bloku Demokratycznym ludzie się już porozumieli. Wiedzą, że w jedności robotnika i chłopa siła. Wy róbcie, jak chcecie! Burzcie zamiast budować. Rozwalajcie! Rujnujcie! I tak nie dacie rady! Polskę i tak wybudują ci, co znaleźli wspólny język. Ale to nie będziecie wy! Wy będziecie z tymi, co mówią inną mową. Ale to nie będzie język ani polski, ani chłopski.

Alem się podniecił. Schodzę teraz z mównicy. Słysząc brawa. Nie wiem, czy ich przekonałem. Zresztą wcale mi na tym nie zależy. Niech tylko widzą, mądrale, jak się robi propagandę. Oni myślą, że my w wojsku to tylko potrafimy „Padnij-powstań”. Mogliby się jeszcze czegoś od nas nauczyć.

- Zamykam dzisiejszy wiec. Kto chce jeszcze jakichś wyjaśnień, prosimy do nas po zebraniu.

To Kijak zakończył przedwyborcze nabożeństwo. Patrzą na mnie z uznaniem. Ale nie będę z nimi wiele gadał. Trzeba zobaczyć, co z plutonem.

Ludzie pchają się do wyjścia. Blondynek podchodzi do mnie.

- Nie wiecie, gdzie jest nasz szofer?

- Pewnie w chałupie. Poszedł się ogrzać. Zimno jak diabli. Nie wytrzymałby w Willisie.

Zachowuje się jak kot, co napaskudził. Przez gardło mu nie chce przejść wyjaśnienie. Ani pochwała dla mnie. Udaje, że wszystko jest w porządku. Może naprawdę tak myśli? Ot... każdy wygłosił swoje przemówienie i dobra... Ładnie by wyglądali, żeby nie ja. Kijak czegoś chce ode mnie.

- W przyszłą niedzielę będzie wiec w Kępie. Myślę, że będziecie?

- Od tego tutaj jestem.

Cwany. Spodobało mu się. Chce się i w przyszłą niedzielę ubezpieczyć. Nie ma głupich. Słowa nie powiem. Może nawet nie będę siadał przy głównym stole.

- Dziękujemy za obstawę i do zobaczenia za tydzień.

Nawet słowa o mojej gadce. A może coś naknociłem? No to co? Nie jestem polityczno-wychowawczym. Mogę nie umieć przemawiać. Następnym razem - morda w kubeł. Właściwie, to mógłby ktoś pomyśleć, że ze mnie wielki komunista.

- No... to dobranoc.

Żegnam się z wszystkimi. Kolejno. Ten z PPS-u ma wilgotną, lepłą dłoń.

Przed salą stoją jeszcze grupki ludzi. Rozmawiają. Większość poszła już do domu. Mróz chwyta coraz większy. Na drodze słychać skrzyp. To śnieg. Pod butami idących. Podchodzi do mnie Grabowski.

- Obywatel porucznik?

- Ja. Co, nie poznajecie?

- Ciemno. Nie mogłem poznać od razu. Zanosilo się na drakę, co? Żeby nie pan porucznik, to kto wie, jak by było. Potrafi pan bajerować.

- Co mogło być?

- Mogli zaszlachtować towarzyszy. Bo to dla nich nowość? Zaczyna się dyskusją, a kończy na cmentarzu.

Kto to idzie? Herbert. Był na wiecu? Chyba tak.

- Gratuluję, poruczniku. Kto by pomyślał, że macie takie gadane. Potraficie trajlować. Niech to szlag trafi! Żebym to ja tak umiał!

- To co?

- Przeniósłbym się do aparatu partyjnego. Zawsze spokojniejsza robota. Wiecie co? Chodźmy do naczelnika poczty. Mam tam pół litra do rozbicia. Jeszcze żeśmy ze sobą nie pili. Warto uczcić dzisiejszy wiec. Nie spodziewałem się tego po was. Słowo honoru!

Rozdział VI

- Dobry wieczór, panie poruczniku.

- Dobry wieczór.

Ksiądz. Ma ładne futro. Ciekawe, jak się nazywa ta skórka na kołnierzu? Błyszczą jak pomoczona. Albo nasmarowana smalcem. Zmarzył proboszczunio. Twarz ma całkiem czerwoną.

- Dokąd to dobrodziej o tej porze?

- Na plebanię. Pora na kolację.

- Nie podziękowałem jeszcze księdzu za pomoc.

- Nie ma za co, drobiazg...

- Było pełno ludzi na wiecu. Tym z powiatu, rzecz jasna, nie mówiłem, że z ambony załatwiałem przez księdza frekwencję.

Przydało się słówko. Zawsze to ładnie, kiedy się wtrąci obcy wyraz. Ksiądz się śmieje.

- Pewnie by umarli z wrażenia.

Teraz śmiejemy się obaj. Jest miły. Bezpośredni. Przyjemnie z takim obcować.

- Dobrodziej z pokerka wraca?

- Apaga satanas! Nałożyłem sobie pokutę. Tydzień nie biorę kart do ręki. Ale, ale... A dlaczego pan nie zagląda na plebanię? Nie wolno wam czy jak?

- Co też ksiądz?... Czasu mało. Wczoraj miałem ten cholerny wiec. Dzisiaj katza... Zapiliśmy wczoraj u naczelnika poczty.

- Niech pan uważa. Podobno nie można przy nim wszystkiego mówić.

- Może mi skoczyć... przepraszam za wyrażenie. UB nie ma nic do wojska.

Teraz rozumiem, dlaczego Herbert u niego kwateruje. Swój do swego. A na oko przyjemny facet. I gadał niegłupio. Faktycznie może za dużo wczoraj pieprzyłem. Cholera! Człowiek ma niewyparzoną gębę. Te dowcipy o Ruskich też były niepotrzebne...

- Kierownik tartaku pytał o pana.

- Groszewski?

- Tak. Polubiliśmy pana. Dla nas to, nie obrażając - atrakcja. Wie pan, jak to jest. Ciągłe człowiek tu siedzi. Wieś zabita deskami. Przyjemnie z kimś obcym a inteligentnym porozmawiać.

- Eee... Strzela ksiądz z grubej rury.

Jest mi przyjemnie. Przecież taki ksiądz musi być po maturze. Co ja mówię! On jest po seminarium, a to przecież tak jak wyższe studia. A jednak chce ze mną pogadać.

Robi się zimno. Bierze mnie od nóg. Szczypie. Kiepskie mam buty. Nie wziętem oficerek. Szkoda niszczyć. Zresztą w prawym sztywnik nawalił. Wchodzi do środka. Za zapiętek. Głupio wygląda. Muszę dać do naprawy.

- Zamarzniemy tutaj, panie poruczniku. Jeszcze raz zapraszam. Proszę do mnie na plebanię. Jest pan mile widziany. A nalewka zawsze się znajdzie. Aha! Jeszcze jedno! Pan Groszewski będzie piekł gęś.

- Sam?

- Tak. To jego specjalność. Damy panu znać, kiedy. Będzie okazja do pogawędki.

- Dziękuję, chętnie skorzystam z zaproszenia.

- I skoro już się spotkaliśmy, to muszę panu jeszcze coś zakomunikować.

Wyraźnie spoważniał. Nachylił się do mnie. Mówi szeptem.

- Komendant Terlikowski...

- Ten z milicji?

- Tak... Więc Terlikowski pozamykał dzisiaj rano pięciu sołtysów. Z okolicznych wiosek. Powiedział, że za reakcję. Jaka tam może być u chłopków reakcja?! Nie wtrącam się w sprawy polityczne, ale to są moi parafianie. Skoro wybory mają przebiegać demokratycznie, to takie aresztowania nic dobrego nie dadzą.

- Pewnie. O sukinsyn! Już ja z nim pogadam!!!

- A ma pan jakiś wpływ na milicję?

- W tyłku mu się zagotuje. Przepraszam za wojskowe wyrażenie.

- No... To do zobaczenia!

*

- Kto tam?

- Dowódca grupy Ochronno-Propagandowej.

W drzwiach uchyla się kłapa od wizjera.

Wstawili sobie judasza? Ho, ho! Komfort. Ktoś mnie ogląda. Długo to trwa. Boją się wieczorem. I oni wiedzą o bandzie. Bandy na milicję cięte.

- Zaraz zawołam komendanta.

- No wreszcie!

Słychać kotłowanie. Ktoś idzie po schodach. Cisza. Znowu uchylają klapę wizjera. Jak to długo jeszcze potrwa? Zamarznę na kość. Mieli nam dać uszanki. Skończyło się na gadaniu. Nikt nie wyfasował. Prawda, że w uszance człowiek wygląda jak Ruski, ale ciepło. Nauszniki przy połówce tego nie załatwią.

- Kto tam?

- Ile razy mam powtarzać? Dowódca grupy Ochronno-Propagandowej.

Szczęk odsuwanej zasuwki. Teraz zdejmują sztabę. Do diabła. Cała barykada. Mają pierdla. Przecież i na nas mogą napaść, a kto by się tak barykadował. Cykoryjny naród.

Wreszcie. Drzwi się uchylają.

- Dobry wieczór. Porucznik Czarnuszewicz.

Wyciągam rękę. Witam się.

- Sierżant Terlikowski. Komendant posterunku.

Mikry facet. Niski, stary... Prawie karzeł. Ma na sobie barchanową koszulę. Mundur rozpięty i na to jeszcze serdak. Za paskiem od spodni pistolet. Chyba vis? Tak.

- Zimno jak diabli. Myślałem, że chcecie mnie zamrozić. Przyszedłem, żeby z wami ustalić na noc hasła.

- Co?

- Hasła. Na wypadek jakbyście natknęli się w nocy na nasze warty. Chociaż pewnie nie wychodzicie nocą z posterunku.

- No... niewielu nas... Mają jutro przysłać ORMO-wców.

Trzyma mnie na korytarzu. Tu mnie chce załatwić? Oficera? Myśli, że jest najważniejszy w tym swoim kurniku? Trzeba go wziąć do galopu.

- Gdzie macie kancelarię?

- Ma pan do mnie jakiś interes?

- Po pierwsze nie „pan”, a tylko obywatel, a po drugie zapnijcie sobie rozporek, kiedy stoicie przed oficerem.

Mało się nie uduślił ze wściekłości. No pewnie. Ma chyba z pięćdziesiąt lat, a tu go młodziak sztorcuje...

- Proszę tutaj na prawo... Wy, Kowalczyk, chodźcie też...

- Zostańcie, szeregowy. Interes mam tylko do was, komendancie. Lepiej, żeby wasi ludzie nie słuchali. A zresztą, jak chcecie.

- Zostańcie.

Jesteśmy już w „gabiniecie”. Ciasnota. Pod ścianą kozetka. Rozgrzebany koc. W rogu żelazny piecyk. Patelnia. Brudna. Resztki jajecznic. Garnek na podłodze. Po diabła ten worek ze zbożem koło półki! Nad stołem portrety Bieruta i Żymirskiego. Orzeł. Jakies papiery na stole. Obsadka i kałamarnica.

- Podobno zaarrestowaliście rano pięciu sołtysów?

- Tak. A bo co?

- Zaraz ich wypuścicie.

Nabzdyczył się. Oczy wyłażą mu na wierzch. Zaraz go usadzę.

- To jest moja sprawa. Tłumaczyć się będę tylko przed Komendą Powiatową. Wojsko nie ma nic u mnie do gadania.

Teraz go złamię. Tylko spokojnie. To robi wrażenie.

- Tak wam się wydaje?... Niemożliwe...

- Co mi się ma wydawać. Wiem swoje.

Jeszcze się trzyma. Ale tyle jego podskakiwania. No, wypuścimy z ciebie powietrze, dziadku.

- Jak u was z czytaniem? Do szkoły było pod górkę? Trudno. Może jednak przeczytacie. O... ten papierek.

- Jaki papierek?

- A o ten... Widzicie? Bielutki, nie zabrudzony... Jest pieczętka. Okrągła, prawda? No więc ważna. Jest i moje nazwisko. A tu moja legitymacja. Oficerska. Ostrożnie z rączkami, bo macie brudne jak święta ziemia. Fe... sierżancie. W wojsku byście już dostali trzy dni koszarniaka... No jak? Dajecie sobie radę z drukowanym? Może wam głośno przeczytać?

Czyta. Szybko. Widać, że się łamie.

- Ale to mnie nie dotyczy...

- Słabo czytacie, Terlikowski. Słabiusieńko. Tam niżej jest i o milicji, i o Urzędzie Bezpieczeństwa. Pokazać wam paluszkami gdzie? O tu. Jest?

- Jest.

Zupełnie zbaraniał. Nie spodziewał się, że wojsko może mieć takie uprawnienia.

- No więc widzicie, mój królu.

Fajnie brzmi to „królu”. Znieważa, a młodszy stopniem nie może się obrazić.

- Nie chcę przy podwładnych podrywać waszego autorytetu. Wiem, że zależy wam na frekwencji w pierdłu...

Zgłupiał. Założył się, że nie wie, co to jest frekwencja.

- ...ale zaraz wypuścicie wszystkich sołtysów. Ja wychodzę i przyjdę za godzinę. Pudło ma być puste.

- Ale obywatelu poruczniku, to reakcja! Zwłaszcza ten z Sikornika.

- Co zwłaszcza?

- Tam w każdej chałupie karabin. Sami bandyci i kłusownicy.

- To jest sprawa na później. Teraz najważniejsze są wybory. Za godzinę wszyscy mają być w drodze do domu. Chyba wszystko jasne?

- Obywatelu poruczniku...

Czy on zwariował? Chce mnie uprosić, żeby tamci siedzieli w kryminale?

- Królu mój... Jeżeli za godzinę nie wykonacie rozkazu, sami będziecie siedzieć w pudle. A jutro zrobicie wycieczkę do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa. Pod konwojem, rzecz jasna. No to byłoby wszystko. Za godzinę wrócę. Ustalimy hasła. Wykonać.

Władza. To jest piękne. Człowiek się czuje jak Bóg.

*

- Moje uszanowanie, panie Walkowiak. Nawiało dzisiaj, co? Śniegu po kolana. Nie można przejść drogą.

- Ale za to mróz zelżał.

- Ano tak. Zelżał. Przyjemnie dzisiaj. Prawdziwa zima.

- Pan porucznik od rana na nogach?

- Trzeba zobaczyć, jak tam na kwaterach. Wie pan, jak to z żołnierzami.

Wesoło dzisiaj. I mnie wesoło. Rześko. Dobry dzień się zapowiada.

- Jest gość do pana porucznika.

- Do mnie? Skąd?

- Ze wsi. Ma sprawę.

- Gdzie jest?

- W kuchni. Czeką. Zaraz mu powiem, że pan już przyszedł.

Trzeba się trochę ogarnąć. Ooo! W pokoju posprzątane. Nawet leżankę gospodyni pościeliła. Dobrze. Głupio załatwiać sprawy w bałaganie. I rzeczy z plecaka poukładała. Szczęście, że rano się ogoliłem. Niby nie mam zbyt dużej brody, ale zawsze... Trzeba przynajmniej co drugi dzień się golić. Kiepską mam brzytwę. A drogerzysta mówił, że lepsza niż „Solingen”. Chyba w jego portkach. Może nie potrafię ostrzyć? Możliwe. Nie mam dobrego pasa. Ale w pokoju ładnie. Naprawdę dzisiaj wszystko jest inne. Przyjemne i białe.

Pukanie. To ten facet.

- Proszę.

- Niech będzie pochwalony...

- Na wieki wieków...

Ale się wybrał. Do oficera z „pochwalonym”. Trochę przesadził. Niech mu będzie. Co mi to przeszkadza?

- Przyszedłem do pana porucznika w sprawie sprawiedliwości.

Co to za facet? Na oko, taki sobie chłopek. Ubrany biednie. Cholewy butów aż zielone ze starości. Oczy dziwne. Niesamowite. Czerwone i podkrążone. Bruzdy na twarzy. Wygląda jak półtora nieszczęścia.

- Mówcie jasno. O co wam chodzi? Ja tu przecież nie jestem od sprawiedliwości. Od tego jest sąd, milicja...

- Byłem na zebraniu. Słyszałem, jak pan mówił. Pan jest ludzki człowiek. Pan to załatwi.

No proszę. Kmiotkowie się poznali.

- Ale o co chodzi? Mówcie. Może rzeczywiście będę mógł coś poradzić.

- Otóż to. Porządny człowiek nie może pozwolić, żeby takie ścierwo chodziło po świecie...

- Kto? Gadajcie jasno!

- Kosiński. Kosiński Edward. Przez niego i przez jego ojca piętnastu ludzi wymordowali w Oświęcimiu. Ścierwa jedno. Staremu, to żeby na grób napluli, ale młody jeszcze jest. Żyje.

- A co ze starym?

- Ruskie go rozwalili. Zaraz jak weszli. A Edek uciekł. Spod lufy.

- I nie wiadomo, gdzie jest?

- Co nie wiadomo? W domu siedzi! Teraz jak wojsko przyszło, to nie. Ucieka. Boi się. W nocy tylko przychodzi. Ale tak? Bimba sobie w biały dzień. Kto go ruszy? Przecież to Terlikowskiego zięć.

- Ooo! Ładne rzeczy mi mówicie.

- Ludzi Niemcom zapredawali. Chodzili z hakenkrojcami. Nie było gorszych swołoczy. Wszyscy się ich bali. Od Krodaka trzech ludzi poszło do obozu. Brezczka zatłukli. W Selbschutzu, w mieście. Młodego Młeczaka Kosiński, ten stary, zastrzelił na drodze koło lasu. Bo furę gałęzi chciał wywieźć.

- Kosińscy byli folksdojczami?

- Ojciec miał folkslistę. Edek był jeszcze za młody. Ale uważał się za szkopa. Teraz się z Terliczanką ożenił i znowu dobry.

- Trzeba było zameldować na milicji.

- Co pan? Terlikowskiemu?

- No to w Urzędzie Bezpieczeństwa.

- Byliśmy. Powiedzieli, że go zamkną. Kamień woda. Do dzisiaj.

- No dobrze. Załatwimy to. Niech poszkodowani napiszą...

- Poszkodowani nie żyją...

- No ale przecież jest ktoś z rodziny?

- Pewnie. Ja się domagam sprawiedliwości za ojca.

- Niech każdy napisze, co i jak było, podpisze i wieczorem mi tutaj przyniesie.

- Panie poruczniku, kiedy to ludzie nie wiedzą, jak pisać, żeby było dobrze.
 - Pal licha! Niech wszyscy przyjdą tutaj. Razem spisujemy.
 - Z samego pisanego nic nie wyjdzie.
 - Muszę mieć podkładkę na piśmie. Wtedy go zamknę.
 - Bogu dzięki. Przyjdzie i na tego piekielnika kreska. Dziękujemy, panie poruczniku.
- Trzeba będzie tego fokstrota zamknąć. Od razu mi się Terlikowski nie podobał. „Reakcję” zamykał.
- No więc... czekam wieczorem. Tak koło szóstej. Tylko punktualnie. Potem będę zajęty.
 - Dobrze. Będziemy. Z każdej rodziny, gdzie byli pomordowani, ktoś przyjdzie.

Wychodzi, jakby nie wiadomo jaki interes ubił. Kiedy w człowieku krzywda siedzi, to miejsca sobie nie może znaleźć. A czy Danka mnie skrzywdziła? Głupstwo. Ona będzie i tak moja. A swoją drogą, jak człowiek przez te sprawy o wszystkim zapomina. Nawet nie mam czasu o niej pomyśleć. E tam... Wróć i wszystko będzie dobrze. Ten facet z zebrania był tylko podobny do jej narzeczonego. Skąd mi do głowy przyszło, że to on?

*

- Herbert...

Po ostatniej wódce, jesteśmy już na „ty”.

- ...przenoszę wojsko do Kępy. Dostaję tutaj siedzibę. W jednostce mówili, żeby oddział był w stałym ruchu. Zresztą mamy tam wiec w niedzielę.
- Dobrze. Ja na dwa dni wyjeżdżam. Muszę być w Powiatówce. Telefonowali.
- Twoja sprawa.
- Słuchaj, Wacek. A co było z tymi sołtysami?
- Co miało być? Pozamykał ich drań bez powodu, to kazałem wypuścić. Nie będzie mi buras robił burdelu przed wyborami. Ja odpowiadam za okręgi wyborcze. A co, skarżył się do ciebie?
- Do powiatówki. Nie denerwuj się. Chciałem ci powiedzieć, że miałeś rację. Też go opieprzyli. Taki stary bęcwał nie wie, co robi.

Gadaj sobie zdrów. Wszyscy jesteście po jednych pieniądzach. Terlikowski niby wielki komendant, a zięcia ma fokstrota.

- No to do widzenia, Wacek.

Znalazł się przyjaciel. Niepotrzebnie piłem z nim brudzia. Będzie się teraz spoufalał.

- Załatwić ci furmankę?
- Nie trzeba. Pojadę autobusem. Gdyby była sanna, to jeszcze, ale stajało... Lepiej autobusem.
- Jak wolisz... Cześć!

Może trzeba było go odprowadzić? E tam! Nie jestem jego niańką. Zresztą idzie Grabowski. Muszę z nim pogadać. Sprawę tego Kosińskiego też trzeba omówić.

- Grabowski!
- Melduję się na rozkaz.
- Dajcie spokój. Mówiłem już raz... Cześć... Nie widziałem się z nim dzisiaj. Wypada się przywitać.
- Jak wojsko?
- Wszystko gra. Dwie drużyny na zajęciach. Żeby nie wyszli z wprawy. Jedna drużyna pomaga przy kuchni. Czwarta wartownicza.
- Dobrze. Słuchajcie. Jutro zmieniamy m.p. Do Kępy. Załatwcie podwody.
- Tak jest.
- Wyjedziemy przed wieczorem. Potem pluton poprowadzi Wrześniński, a my wrócimy tutaj.
- Trzeba coś załatwić?

Wyraźnie się zainteresował. To bystry chłopak.

- Tak. Musimy złapać jednego fokstrotą.
- Fiu... Zrobi się, panie poruczniku.

*

- Panie poruczniku. Teraz pana kolej.
- Która godzina?
- Ciemno. Nie widzę wskazówek. Chyba czwarta. Spróbuję pokimać.

Diabli nadali całą zabawę. Co mnie obchodzi jakiś folksdojcz? Dobrze, że Grabowski wygrzebał tę dziurę w stogu. Inaczej byśmy zamarli. No i widać, jak ktoś idzie od pola. W tej jamie jeszcze możliwie ciepło. Jeden drugiego grzeje ciałem.

- Zdrzemnijcie się. Teraz ja popilnuję.
- Może wcale nie przyjdzie?
- Możliwe. Jeżeli nas zauważyli.
- Mowy nie ma.
- No to przyjdzie. Śpijcie.

Biorą mnie dreszcze. Trochę się zdrzemnąłem. Kości bolą. Skuleni jesteśmy w kłębek. Za kołnierz włożył słoja.

- Uwaga!

Grabowski przysunął do siebie automat. Od pola słychać ostrożne kroki.

- Idzie.

Ktoś podchodzi. W kierunku zabudowań. Na pewno on. Sześć godzin na ciebie, draniu, czekamy. Na mrozie.

Przystanął. Już nam majaczy jego sylwetka. Otwiera furtkę. Właściwie odsuwa. Pewnie wypuszczają tędy latem krowy na łąkę.

Idzie koło stosu gałęzi. Czujny. Rozgląda się. Stanął. Tak. To on. Wielkie chłopisko. Żeby tylko się nie bronił. Byłaby robota.

Całkiem ciemno. Jak skoczy w bok, to może nawiać. Kiepska pozycja do strzału.

Serce bije jak opętane. Emocja. Może ma broń? Może. Trzeba uważać. Ale to my polujemy. On jest zwierzyną. Zawsze nam łatwiej.

Ruszył teraz zdecydowanie. Idzie wprost do domu. Jest na wysokości stogu. Zwolnił. Zawołam na niego.

- Edek! To ty?

Stanął. Mamy go na muszce.

- Ja. Pojechali już?

- Pojechali.

Grabowski wyskakuje ze stogu jak sprężyna.

- Stój! Skurwysynu!

Nawet nie próbuje uciekać. Zupełnie zbaraniał. Podnosi ręce. Przecież nikt mu nie kazał.

Teraz i ja jestem koło niego. Zagrzebałem się w słomie. Przykładam mu „tetenkę” do pleców. Cały czas mamy go pod lufą. Grabowski sprawnie obszukuje mu kieszenie. Nie ma nic. Jest bez broni.

- Łapy do tyłu!

Grabowski się przygotował. Zabrał kawałek powroza. Nie! Cholera! To jest drut. Krępuje mu ręce.

Otwierają się drzwi chałupy.

- Stać!

- O Jezu!

Wybiega jakaś kobieta. W długiej koszuli. Ma narzucony płaszcz na ramiona. Mówię „stać”, a ona biegnie. Przecież nie będę do baby strzelał. Ma bosa nogi. Po śniegu? Zwariowała. Pewnie żona. Nie widzę twarzy. Jeszcze ciemno jak diabli!

- Co się stało? Edziu! Edziu kochany! Co się stało? Boże! Co ja zrobię? Zabiją cię bandyci!

- No, no! Uspokój się, suko! Dosyć tego pieprzenia! Nie podchodź, niemiecka kurwo!

Grabowski nastawił pepeszę. Stanęła.

- Stój, bo będę strzelał. Jemu też bebechy przewiercę.

Znowu ktoś wychodzi z chałupy. Lament coraz większy.

- Weronka, dziecko kochane! Chodź do izby. Przeziębisz się i jeszcze poronisz.

Jest w ciąży. Rzeczywiście. Nawet widać.

- Nie proś. Nie proś. Żeby ich zaraza wytlukła. Żeby w mękach konali... Edziu! Edziu, dziecko kochane!

- Dej, matka, spokój!

- Którędy wyjście na drogę?

Trzeba kończyć tę szopę. Robi się draka na całą wieś. Wychodzi na to, że to my krzywdę robimy.

- A masz, stara cholero!

Grabowski kopnął ją z rozmachem. Potoczyła się. Leci na studnię. Aż przysiadła.

- Żebyście nogi połamali!

Grabowski znowu podskoczył do niej. Ale nie kopie. Uspokoila się. Odeszła dwa kroki w bok.

Niech to krew zaleje. Ona wyje. Jak suka. Psy się rozszczękały. Głupio. Siedziały na podwórzu. Spały. Nie wyczuły, jak chowaliśmy się w stogu. Szkoda takim dawać zreć.

- Tylko więcej gadajcie, to wam zaraz Edzia powiesimy tutaj przed progiem. Na takiego drania i sądu nie trzeba.

Teraz się uciszyło. Ma Grabowski sposoby. Tylko psy ujadają. Rozszczękały się na całą wieś. Harmider jak jasna cholera.

- No, Kosiński, naprzód!

- Pozwólcie, panowie, chociaż z żoną się pożegnać.

- A ty pozwalałeś, kiedy ludzi na stracenie wysyłałeś? No powiedz, bandyto!

- Panie poruczniku, nie ma co się certolić. W mordę i dobra.

Grabowski się nie patyczkuje. Rządzi jak stary-

- Może chociaż trochę jedzenia na drogę. Bądźcie ludźmi, panowie.

- Naprzód!

*

- Nazwisko?

- Kosiński.

- Imię?

- Edward.

- Więc to ty jesteś, Edziu? A już myślałem, że pomyłka. No powiedz sam. Przecież to niemożliwe, żeby zamiast wisieć na suchej gałęzi, taki bandzior jak ty, spokojnie sobie bujał na wolności.

Poszła mi wódka do głowy. Dzisiaj moje urodziny. Skończyłem dwadzieścia jeden lat. Jestem pełnoletni. Dokładnie pełnoletni. No to dostanie Edzio po mordzie. Od dorosłego. Będzie lepiej bolało.

- Nie odpowiadasz, Edziu? Jesteś krnąbrny...

Wypiłem dwie szklanki. Bimber. Jeszcze pędzą w tych stronach. Bogaci gospodarze, a lecą na parę złotych różnicy w cenie. Śmierdzi ta wódka. I łeb boli.

- Piekarz!

- Na rozkaz, obywatelu poruczniku!

Głupią ma gębę. Teraz sobie uświadomiłem.

Niski. Pucółowaty. I zachowuje się głupkowato. No pewnie. Jest z jakiejś zabitej deskami wiochy. Co taki wie o życiu? Zaczyna mnie mdlić.

- Edziu nie chce z nami rozmawiać. Gniewa się. Idźcie, Piekarz, na podwórze i znajdźcie jakiś patyczek. Może być grubszy. Wróci Edziowi ochota do rozmowy.

- No jak. Edziu? Będziesz z nami rozmawiał?

- Będę, panie poruczniku.

- Dobrze. Bardzo dobrze Tylko, że do mnie nie mówi się panie poruczniku, tylko obywatelu poruczniku. Już za to powinieneś dostać po mordzie. Ale skoro jesteś grzeczny, to ci wybaczam. Zobaczysz, Edziu. Polubisz nas jeszcze.

Coś się we mnie gotuje. Dziwny stan. Ja chcę go tłuc i bić. On jest drań. Fakt. Ale to nieważne. Nie o to chodzi. Ja jestem inny. Mówią, że jak się z chłopaka robi mężczyzna, to w okresie przemiany jest okrutny. U mnie powinno to już przejść. Przecież jestem dojrzały. Mam dwadzieścia jeden lat.

- Zobaczcie, Grabowski, co tam z jego rączkami? Może mu spuchły? Miał przecież całą noc skrępowane drutem. A może tylko zsiniały.

- Spuchły i zsiniały, obywatelu poruczniku.

- Szkoda, że tak późno. Prawda, Edziu? Gdyby spuchły wcześniej, tobyś Polaków nie bił. Nie pisał donosów do Gestapo. Prawda?

- Ja nie pisałem donosów.

- Ooo... Nieładnie. W dodatku jeszcze kłamiesz. Brzydko. Bardzo brzydko, Edziu.

Nawet duża jest ta klasa, jak na wiejską szkołę. Tylko ławki staroświeckie. Po pięcioro dzieci w nich siedzi.

Na szafie stoją stoje. Z węzami w spirytusie. Żaba. Szkielet gołębia. Puste akwarium. Na dnie resztki wody.

Wchodzi Piekarz. W rękę trzyma grabowy kij. Gruby. Dziwną ma twarz ten chłopak. Jest podniecony.

- No widzisz, Edziu. Przyszedł Piekarz. I kijek sobie znalazł. Jak to będzie teraz z nami? Nadal będziesz nas okłamywał?

Mdłości trochę mi przechodzą. Grabowski podszedł do tablicy. Taka sama była w naszej klasie. Podwójna. Przesuwana. Jedną połówkę zapiszesz, a druga wolna. Przesuwasz w górę i znowu piszesz. Tylko, że u nas ławki były inne. Podwójne. W cztery rzędy. Szkoła była nowa. Przedwojenna.

Wstaję zza stołu.

- Mów, draniu!!! Zabawa skończona. Widzisz? Tu są protokoły. Ludzie ze wsi wszystko zeznali. Mógłbym ci to wszystko przeczytać, ale po co? Sam nam wszystko opowiesz. Za chwilę. Będziesz opowiadał. Ja ci to mówię.

Ciekawe, czy przewróci się od pierwszego uderzenia. Duży chłop. Może ustać.

- No! Opowiadaj.

- Ja nic nie robiłem. To ojciec podpisał folkslistę. Chciał ratować gospodarstwo. Ja nie. Ja byłem za młody. Ja nic nie robiłem. Jak Boga kocham. Nic nie robiłem. Ja jestem niewinny.

Za dużo mówi. To denerwuje. Wiem. Zaraz będę go tłukł. Teraz już wiem. Sam sobie winien. Za dużo mówi.

Idę wolno. Tak. O to mi chodziło. Chciałem tego. Jest mi zimno. Zimno? Chyba gorąco. Biorą mnie dreszcze. Jestem już bardzo blisko niego.

Zamach. Boli mnie pięść. Leży? Nie. Stoi. Cholera.

Doskoczyli do niego Grabowski i Piekarz. Grabowski łapie go za klapy marynarki. Piekarz bije z rozmachem. Co ja robię? Co my robimy? Co się w nas obudziło?

- Dosyć!

- Grabowski. Rozwiążcie mu ręce. Zaprowadźcie do piwnicy.

Czuć smród. Pot i mocz. Wódka zupełnie mi wywietrzała z głowy. Boże! Co ja robię? Zachowuję się jak bandyta. Trzeba go rozwalić. Fakt. Ale po co bić? A może trzeba? Przecież tych, co wydał, też w Oświęcimiu zatłukli.

Głupie gadanie. Bandzior we mnie siedzi. Siedział ukryty. Wylazł, kiedy złapałem trochę władzy. Taki jestem. Plugawy jak ta podłoga w klasie. Tak. I do tego zbecześciłem ten dom. Gdzie uczą się dzieci. Strzelę sobie w łeb. Nie. Pójdę się upić. Spiję się. To mi pozostało. Mam urodziny. Jestem pełnoletni. Dojrzały.

- Piekarz. Weźcie jaką szmatę i powycierajcie.

- A krew?

- Spróbujcie. Ale tego chyba się nie da wytrzeć.

*

- Wacek! Coś ty wczoraj narozrabiał?

Boże. Łeb mi pęka. Jeszcze ten się przyczepił. Już przyjechał? Przecież miało go nie być przez dwa dni. No tak. To właśnie drugi dzień.

- Co „narozerabiał”? Odpieprz się, Herbert! Złapałem folksdojczka i nakładłem mu po mordzie. To takie wydarzenie? Teraz wy sobie go zabierzcie. Ja się już nim pobawiłem. A co? Może żałujesz sukinsyna?

- Nie pleć głupstw. Widziałem go w piwnicy. Ledwie zipie.

Pada śnieg. Buty ma białe. Kurtka za kołnierzem też przyprószone. Nie otrzepał. Pewnie nie zauważył.

- No to co? Mam go zawieźć do lekarza? Może lewatywkę mu jeszcze zrobić?

- Nie. Tylko wypuścić Kosińskiego.

- Ty chyba zgłupiałeś, Herbert? To po to całą noc przesiedziałem w stogu? Żeby go teraz wypuszczać? Tu w teczce są protokoły. Zabieraj. Protokoły i fokstrota.

- Nie wezmę. W normalnym stanie tak. W takim - nie. Z tak skancerowaną mordą? Nie ma głupich. Za to mogą i ciebie posadzić. Takich metod śledztwa nie wolno stosować.

- Nie śmiesz mnie, Herbert. Delikatny się nagle zrobieś?

- Przestań mielić ozorem. Lubię cię, więc ci dobrze życzę. I radzę. Wypuść go, a protokoły daj mnie. Za dwa tygodnie po wyborach będziemy go mieli.

Właściwie to jest najlepsze wyjście. Po co ja mam się z tym paprać? I tak już napaskudziłem. Tylko teraz głupio. Co sobie taki baran pomyśli? Że mnie zagiął? Mądrała. Wszystko wie najlepiej. Złapią go... Głupie gadanie. A dlaczego do tej pory nie łapali?

- Słuchaj, Herbert. Powiedz mi, dlaczego żeście do tej pory go nie łapali? Taki jesteś zorientowany. Masz wiadomości... Dlaczego taki bandzior dwa lata na swobodzie sobie bimbał?

- Ani nie jestem mądry, ani wszystkiego nie wiem. Pewnie były ważniejsze rzeczy. Ale daję ci słowo. Za dwa tygodnie Kosiński będzie w pierdlu. Teraz nie będzie uciekał. Pomyśli, że uszło mu płazem. Sam do ciebie zadzwonię. Ale w takim stanie nie można go przywieźć do powiatówki.

- Wiesz co? Wypuść go ty. Powiedz mu, co tam chcesz. Mnie byłoby głupio... Zresztą nie chcę patrzeć na tę mordę.

- Nic się nie bój. Załatwię jak trzeba. Słyszałem, że wczoraj miałaś urodziny?

- Aha... Dwadzieścia jeden skończyłem.

- No to moje serdeczne życzenia.

- Właściwie, to tylko ty jeden mi powinszowałeś.

- I do tego mam pół litra. Dobrze na kacza. Spokojna głowa!

Rozdział VII

- Stój! Kto idzie?

- Dowódca grupy Ochronno-Propagandowej.

- Nie znam. Łobroc się!

- Czy wy zwariowaliście?

- Łobroc się! Powiadam. No!

Jakiś młody ORMO-wiec! Od kiedy oni są w Kępie? Nie widziałem kiedy przyjeżdżali. Ciemno. Można odskoczyć w bok. Nie warto ryzykować. Ma mnie na muszce. Odwracam się.

- Łobol się!

Trzeba było jednak uciekać. Teraz za późno. Muszę się położyć. Kretyn gotów mnie postrzelić. Ładnie pełni służbę wartowniczą. „Łobroc się” i „Łobol się”. Wojsko królowej Jadwigi.

Gdybym chciał, mógłbym go rozwalić. Założył karabin na ramię i spaceruje zadowolony. Ale patrzy przez cały czas w moim kierunku. Nawet broni mi nie zabrał. Już mam pistolet w garści Mogę strzelać jak do kaczki. Krzywdzić takiego durnia?

- Zapytajcie o hasło albo wezwijcie kogoś z posterunku.

- Nie łobzywać się! Bo strzylam!

Nic nie wskóram. Pełny kretyn. Trzeba leżeć. Ale będzie radość, jak się Herbert dowie. Niech to szlag trafi!

Myślę, że niedługo będzie zmiana warty. Jeżeli w parzyste godziny zmieniają. Jeżeli w nieparzyste, to klops. Poleżę godzinę. Mróz jak diabli. Nie. Do jedenastej leżeć nie będę. Prysnę w bok. Gdzie tam taki bęcwał trafi.

Zatłukę potem drania. Komendanta posterunku też trzeba opieprzyć. Takich kabotynów puszcza na wartę.

Mróz coraz większy. I ciemniej. Jak długo tu leżę? Chyba ze dwadzieścia minut.

Nareszcie! Skrzyp otwieranych drzwi. Kroki. To rozprowadzający. Nie. Komendant. Ciemno, ale poznaję go po figurze. Wielki chłop. Tak. On. Wstaję.

- Komendancie. Co to za zwyczaje wprowadzacie? Po to ustaliśmy hasła, żeby mnie kretyn trzymał na śniegu? Pół godziny?

- Niech was szlag trafi, Komorowski. Nie znacie pana porucznika? Przepraszam bardzo. To młody chłopak.

- Nawet o hasło nie pytał.

Podchodzę do nich. ORMO-wiec z bliska wcale nie wygląda na ciołka. Przystojny. Twarz inteligentna. Patrzy jakby ironicznie. A jednak buras. „Łobol się”. Jak to można się pomylić.

*

- Muzyka ciągle gra.

- Musimy jechać, Grabowski. Urywamy się po angielsku.

- Jeszcze trochę, panie poruczniku. Wesele dopiero się rozkręca.

Przypadek. Zaszliśmy tutaj z Grabowskim w czasie patrolu. Wczoraj kwaterowali w tej wsi partyzanci. Zrobiłem wszystko planowo. Wieś otoczona. Atak do środka. Ale oddział pół godziny temu zmienił miejsce postoju. Bojowo to wyglądało. Herbert był z nami. Niech widzi, jak działamy. Ci tutaj to jacyś krewni sołtysa. Był w tej piątce, co ich Terlikowski zamknął. Panna młoda to jego kuzynka. Pan młody kurdupeł. Mały. Dla pieniędzy go wzięła. Szewc. Ma w mieście sklep.

Jesteśmy na weselu trzy godziny. Co chwilę ciągną nas do komory. Lepszym gościom dają tutaj wódkę i zakąskę. Ci w izbie rzadko dołapią placka. Wódki jeszcze rzadziej.

Kapela ciągle gra. Klarnet, trąbka, harmonia i bęben. Straszliwie pitołą.

- Musimy się zbierać, Grabowski. Do Kępy daleko. Pięć kilometrów. Nie możemy zresztą furmana tak długo trzymać.

- Furman spity. Pilnowałem, żeby się zalał. Słaba głowa. Po co mają być gadki.

Drużbowie z druhnami ciągle się prześpiewują. Jednostajna melodia. Orkiestra ją zna. To śpiewka z tych okolic. Wszyscy ją znają. Takie przyśpiewki tutaj w zwyczaju.

Druhna śpiewa przeciwko panu młodemu. Do niego. Co będę piła, czy jak tam... To niby dlatego, że pan młody pijak. Dobrze trafiła. Szewc. Za kołnierz nie wylewa. Zresztą tak się mówi: pije jak szewc.

Wyskoczył na środek izby družba. Podparł się pod boki. Oczy wylazły mu na wierzch.

- A dam ci ja asencyją, gdzie se kacki dupę myją!!!

Ale posunął. Oni to wymyślają wszystko. Na poczekaniu. Zabawnie to wygląda.

Kapela ciągle gra. Wszyscy tańczą. Prawie wszyscy. Pod ścianami paru pijanych. I kilkoro starszych. „Chryzantemy złociste”. To musi być na każdej zabawie. Ciekawe czy zagrają „Na pozycji dziewczuszka”. Nawet to lubię. Stało się modne. Ładne.

Idzie sołtys. Pijany. Wszyscy są zalani. Pan młody specjalnie. Ja się trzymam. Mam trening. Grabowski tańczy z jakąś dziewczyną. Wyższa od niego.

- Jak się pan bawi, panie poruczniku?

- Dziękuję. Bardzo dobrze. Ale na nas już pora...

Podchodzi panna młoda. Właściwie to ładna. Podobno się puszczała. Musiała chłopaka w mieście szukać. Brunetka. Ma duże czarne oczy. Świeża. Suknia z dużym dekoltem. Kokietuje. Nawet piersi trochę widać.

- Halinka! Zajmij się gościem. Chce już uciekać!

Halina. Też Halina. Jak tamta. Koło poligonu. Ciekawe, co teraz robi? Pewnie dostali już ponemiecką ziemię. Będzie mogła wyjść za mąż.

- Napije się pan czegoś?

Patrzy na mnie wyzywająco. Jakby to była tylko zabawa, a nie jej ślub. Na wsi to mówią o takiej: „Ma świerka w oczach”. Dlaczego się nie napić? Zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Właściwie, to już nie miałem zamiaru... Ale skoro pani młoda prosi... Nie wypada odmawiać.

Sołtysowi się odbiło. Bierze go. Udaje, że się trzyma, ale to jego ostatnie chwile.

- Nie wypada... Tak jest... Nie wypada...

Bełkoce. Macha rękami.

- Pani młodej nie wypada... A pani młoda ma ochotę... He... he... Nie można odmawiać.

- Stryju! Spił się stryj jak bela! Pójdziemy, panie poruczniku.

Ujęła mnie pod rękę. Ścisła znacząco. Do diabła! Czy ona zwariowała? Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Pani młoda...

Pan młody ma dosyć. Siedzi z družbami koło kapeli. Coś wykrzykuje. Jeszcze pije. Chyba zgłupiał.

- Poszukamy czegoś do picia.

- Jeżeli do komory, to w prawo. Już tam byłem.

- Nie. Pójdziemy gdzie indziej. Tam też coś się znajdzie.

Teraz ja ujmuję ją pod rękę. Ścisgam. Bez pardonu. Nie wzbrania się. A musiało ją boleć. Ma ładne ramię. Trzeba przejść przez izbę z kapelą. Wszyscy tańczą. Zaduch.

- Halina! Co mankierujesz? Do oberka!

Wygłupia się facet. Taki, co to zawsze jest duszą towarzystwa. Dowcipny. Artysta. Ledwo się trzyma na nogach.

Przechodzimy przez sypialnię. Na krześle, koło maszyny do szycia, ktoś śpi. Gruby. Zapluty na brodzie.

Gdzie ona mnie prowadzi? Znowu w prawo. Drzwi. Alkierzyk. Pusto. I cicho.

- Spokojnie tutaj, prawda? Można porozmawiać. Nalać ci czystej czy wiśniówki?

Mówi mi „ty”. Ostro startuje.

- A pani?

Popatrzyła na mnie badawczo. Jest zła. Tak mi się wydaje.

- Prawie nic dzisiaj nie piłam. Z tobą się napiję.

Nalewa do szklanek. Pijemy. Wiśniówka. Na spirytusie. Mocna. Otarła sobie usta wierzchem dłoni. Chuchnęła. Patrzy na mnie wyczekująco. Trzeba coś zrobić.

- Chodź tutaj!

Dlaczego to mówię? Rany boskie! Będzie skandal. Jak nas tutaj złapią to... Tego tylko brakowało. Zresztą co ona powie? Trochę na chłama się do niej zabieram. Może mi dać w pysk. Co wtedy robić?

Nie. Podchodzi do mnie. Kładę jej rękę na pośladek. Teraz drugą. Jest jędrna. Drzę. Przyciągam bliżej. Pod palcami wyczuwam majtki. Figi.

Ona zarzuca mi ręce na kark.

- Podobasz mi się. Podobasz. Jak tylko tu przyszedłeś, wiedziałam, że będziesz mój. Ze będę cię mieć...

- Halina. Opamiętaj się. Przecież mąż...

- Ten knur? Nie wiem, jak się z nim do łóżka położę. Chyba narzygam mu w mordę.

Zdjęła mi rękę z karku. Delikatnie mnie odsuwa od siebie. Rozpina guziki od spodni. Cholera! Po co zakładałem długie kalesony? Po co. Przecież zimno. Już. Czuję jej rękę.

W głowie huczy. Czerwono. Ktoś przechodzi przez sypialnię. Kroki. Bliżej. Przeszedł.

Podnoszę jej suknię. Długa. Jak to podnieść? Trzeba obiema rękami. Tak. Zdejmuję majtki.

- Czekaj.

Odwraca się. Widzę dwa pełne białe pośladki. Patrzę. Gładzę... Zgnieść ją...

- Tss... Boli. Chodź! Prędzej. Jeszcze ktoś przyjdzie.

Oparła się o komódkę. Przewróciła szklankę po wódce. Jest wypięta. Uginam kolana. Nie będę mógł długo. Nie... Kręci zadem. Jestem bezsilny. To tak krótko trwa. Powstrzymać się. Nie. Nie mogę.

*

- Za szybko to zrobiłeś, kochany!

Całuje mnie w usta.

- Nie martw się. Byłeś podniecony. Zawsze tak na mężczyzn działam. Może się jeszcze spotkamy. Wtedy się poprawisz. Mój mały. Chcę tego.

Mówi tak pieszczotliwie. Dziwna.

- Ty też jesteś mała. I ładna. I chcę cię zobaczyć.

- Kiedy wyjeżdżacie?

- Jeszcze posiedzimy. Do wyborów.

- Gdzie mieszkasz? U kogo?

- W szkole.

- Psiakrew. Nie mam tam żadnego interesu. Wiesz co? Przyjdź do stryja. Powiem, że mam sprawę w Kępie. Po drodze się pokochamy.

- Kobito! Przecież zima. Chcesz w śniegu?

- Nie bądź taki delikatny. Zresztą zrobię ci coś takiego, że będziesz mnie długo pamiętał.

A jednak nie licz na mnie, siostró. Już mi przeszło. Ostygłem. Właściwie zrobiłem Dance świętwa. Zdradziłem ją!

Diabła tam! Przecież mnie nie chce. Sama powiedziała. Mam prawo. Co innego, gdybyśmy byli ze sobą.

Głupio się czuję. Całe szczęście, że nas nikt nie widział.

- Popraw sobie suknię.

Ona uśmiecha się. Z rozczeniem.

Wynieść się stąd. Denerwuje mnie ta flądra. Doświadczona. Widać nieraz to robiła.

- Napijesz się?

- Daj.

Gryzie w przetyku. Wódka dzisiaj mnie nie bierze.

- Pamiętaj. Przyjedź. Najlepiej w środę. W następną niedzielę już wyjeżdżam z tym knurem. Do miasta.

Popatrzyła na mnie uważnie.

- Jak będziesz chciał, możemy to zrobić i w mieście.

Już się naszykowałem. Ładnie bym wyglądał wśród kolegów. Z taką wiochą.

- Teraz chodź. Za długo tu siedzimy. Pamiętaj! W środę.

*

- No, Grabowski! I po weselu. Wytańczyliście się, co?

- Tak sobie. Miałem jedną dziwę. Na oko dobra. Wyszliśmy na podwórze. Zacząłem się do niej zabierać. I naraz... Jakby we mnie piorun strzelił. Poczuję szarą maść.

- Co?

- Szarą maść. Oho! Pomyślałem, koleżanka ma kłopoty. Leczy się. Trzeba uważać.

- Pewnie. Nie warto ryzykować. Furmana nie udało się wam obudzić?

Nie wiedziałem nic o tej maści. Człowiek ciągle się uczy.

- Zalał się w trupa. Pięć kilometrów przeskoczmy w godzinę. Nawet dobrze nam zrobi. Nie ma to, jak marsz po wódce. Wszystko się wypoci. Jutro będzie jak znalazł. Pan porucznik będzie znowu przemawiał na wiecu?

- Ano trzeba...

- Ma pan gadane...

- Która godzina?

- U mnie pięć po dwunastej.

- Zgadza się. U mnie też. Wyciągajmy nogi. Czas do chałupy.

Ciemno. Śnieg skrzypi. Bierze mróz. Zdyszeliśmy się. Ostre tempo. Uszliśmy już trzy kilometry. Dochodzimy do jakiegoś przysiółka.

- Jak się nazywa ta wioska?

- Wilki. Panie poruczniku.

- Dziwnie się nazywa. Mała dziura.

- Ano dwie chałupy na krzyż.

Ciągle szybko idziemy. Grabowski przewiesił sobie pepeszkę przez ramię. Po partyzancku. We wsi ciemno. Nawet psy nie szczekają. Rzeczywiście tylko parę chałup. Do Kępy jeszcze ze trzy kilometry. Może mniej. Żeby tylko nie zmylić drogi.

Dobrze, że idziemy piechotką. Człowiek naprawdę się wypoci... Wódka wyparuje.

Ciekawe, jak jutro uda się wiec. W Kępach ksiądz nie chciał z ambony zapowiedzieć. Zresztą... Kościół mały. Nie to co w Brodzieszach.

W ogóle tam było fajnie. I forszę wygrałem. Trzeba tam w poniedziałek przenieść pluton. Kto mi zabroni? Tutaj nudy.

Gdzie się Herbert podziewa? Nie było go dzisiaj. Mógł pójść z nami na wesele. Lepiej nie... po pijanemu ktoś przy nim coś chlapnie... Trzeba uważać.

- Chce mi się pić.

- Suszy pana porucznika?

- Eee... nie... Za wcześnie na katza. Tak tylko... Pewnie od marszu.

- Możliwe. Ciągniemy zdrowo.

Jeszcze jedna chałupa. Potem las. Trzy kilometry. Nieprzyjemnie. Żeby się nie nadziać na jaką partyzantkę. Dlatego lepiej na piechotę. Zawsze można w bok uskoczyć.

Jesteśmy koło ostatniej chałupy. Duża. Drewniana. Od frontu wysoki płot. I brama. Z daszkiem. Przed samym domem niski płotek. Z boku wysokie czarne drzewa. Pewnie lipy. Tak. Jednak nie. Dużo jemioty na drzewach. Na lipach jemiota nie rośnie. Przynajmniej nie widziałem. Posępnie to wygląda.

W narożnikowym oknie smuga światła. Wygląda na to, że zapuścili zasłonę zaciemniającą. Jak to się nazywało w czasie okupacji? Verdunklung. Tak. To zaciemnienie. Słychać granie. Patefon.

- Słyszycie?

- Tak jest. Grają.

- O tej porze?

- Mamy dzisiaj trafne, panie poruczniku.

- Co to może być?

- Pewnie imieniny albo potańcówka. Jak by nie było, to karnawał. I sobota. Ludzie się bawią. Przecież to już normalny czas.

- Podejdźmy cicho pod okno. Posłuchamy.

- Tak jest.

Przesuwam pistolet do przodu. Lepiej mieć pod ręką. Grabowski bierze pepeszę w prawą rękę. Lewą opiera się o płotek. Nisko. Z metr wysokości. Widać tylko dla ozdoby. Pewnie kwiatki tutaj sadzą. Latem. Oparł się mocniej. Bokiem, jak sportowiec, przeskoczył. Ja zostaję na drodze.

Grabowski podchodzi do okna. Stoi. Plecami przywarł do ściany domu. Wolniutko podsuwa się bliżej. Teraz ostrożnie zagląda do mieszkania. Schylił się raptownie. Skulony biegnie do mnie. Jest przy mnie. Mówi szeptem.

- Obywatelu poruczniku. Tam jest dwóch z bandy.

- Co?

- Tak. Mundury mają takie... No, wie pan... Nie nasze. Jakby angielskie. Na kufrze widziałem stena. Dwie dziewczyny są z nimi. Pewnie się szykują do kopcunku.

Serce mi łomocze. Cholera jasna! To nam było potrzebne! Zachciało się im muzyki. Jak ich zaskoczyć?

- Chodźcie.

Przełazi przez płotek. Obaj jesteśmy na drodze.

- Podejdźcie cicho do drzwi frontowych. Spróbujcie. Może otwarte?

- Wątpię, ale zobaczę.

Przesuwa się pod ścianą. Podchodzi do drzwi. Naciska klamkę.

- Zamknięte.

- Chodźcie.

Przemykamy się na skraj zabudowania. Trzeba się naradzić.

- Obejdziemy chałupę wokół. Może od podwórza zostawili drzwi otwarte?

- Spróbujemy.

Śniegu przy płocie po kolana. Szczęście, że pies nie szczeka. Uszliśmy chyba ze dwadzieścia metrów. Kupa gałęzi. Stajemy.

- Panie poruczniku, w płocie jest wyłamana deska.

- Rzeczywiście. Włazimy. Jak nas pies wyczuje, to koniec. Będzie strzelanina jak diabli.

Przełazimy przez dziurę.

- Niech pan mi przytrzyma pepeszę.

- Daj.

Już jest na podwórzu. Podaję mu automat.

- Rozejrzyj się. Jest pies?

- Nie widzę. Chyba mamy fart. Zdaje mi się, że nie mają psa. Szczęście jak diabli.

Przeciskam się i ja. Już. To koło drewni. Tak. Duży sąg drzewa. Brzozowe. Cicho. Jak do tej pory wiedzie się nam.

- Podchodzimy bliżej. Jeżeli pies zaszczeka, to rąbiemy w niego. Wy zajmiecie stanowisko pod drewnią, a ja oblecę naokoło, zacznę się dobijać od frontu. I strzelać. Powinni uciekać tędy. Będziecie ich mieli na muszce.

- Dobra.

Szczęka zębami. To nie ze strachu. Znam go przecież. Z emocji. Zawsze przed walką tak bywa.

- Na razie spróbujemy podejść.

Przemykamy się wzdłuż płotu. Ciągłe cisza.

Wszystko widać ostro i wyraźnie. A jednak nie ma psa. Fakt. Powinniśmy ich zaskoczyć. O ile drzwi otwarte.

Już jesteśmy przy chałupie. Przechodzimy koło okien. Schylamy głowy. Muszą być niżej od parapetów. Mógłby ktoś zauważyć. Drzwi. Stopień z cegieł. Miotła do otrzepywania śniegu. Przywieramy plecami do ściany. Serce bije jak wściekłe. Dyszemy.

- Macie pietra?

- Zawsze jest trochę cykorii...

Wprowadzam nabój do lufy. Pistolet odbezpieczony. Grabowski naciąga zamek automatu. Sięgam ręką do klamki. Ustępuje. Otwarte. Ulga.

- Teraz są już nasi.

- Rąbać po nich?

- Nie. Chyba w ostateczności. Weźmiemy żywcem.

Popycham lekko drzwi. Z korytarza będzie wejście do pokoju. Okno narożne. To chyba te drugie drzwi...

Słysząc śpiew. Lekko przytłumiony. Ale dźwięczny. To oni śpiewają. Ładnie. Na dwa głosy.

Boże jedyny. Znam tę piosenkę. No pewnie! Nasza. „Wojenka, cudna pani, żołnierzy swych nie pieści...” Ile razy sam to śpiewałem. To na pewno AK-owcy. Nie żadne pędzłowniki.

Ostry skrzyp drzwi i. przeciwnej strony korytarza. Światło. Ktoś wychodzi na podwórze. Otwiera drzwi. Baba. Grabowski zatyka jej gwałtownie usta. Przyciąga do siebie. Przyciskam jej pistolet do brzucha.

- Ani słowa, bo strzelam!

Jest przerażona. Pewnie matka. Wyszła w koszuli. Za swoją potrzebą. A może chciała tylko wyrzeć na podwórze? Słyszała coś?

Grabowski ciągle trzyma ją za twarz. Oczy wyłażą jej na wierzch. Jest przerażona potwornie.

- Słuchajcie. Jeżeli się słowem odezwiecie, to koniec z wami. Oni może uciekną, ale przy strzelaniu za życie córek nie gwarantuję. Spokojnie więc. Weźmiemy ich bez strzału. Wam nic nie będzie ani dzieciom.

Grabowski puścił rękę. Ona łapie powietrze jak ryba wyjęta z wody. Usmarkana. Trzęsie się. Ale milczy.

- Kto to?

- Ja, proszę pa...

- Ciszej!!!

Pakuję jej ponownie pistolet w brzuch.

- Ja ich nie znam. Przyszli dwie godziny temu.

- Z patefonem?

- To jakieś wojsko. Co my możemy wiedzieć? Patefon jest nasz. Poniemiecki.

- Ilu ich jest?

- Było dwóch.

- Które to drzwi?

- Tamte.

Mówi szeptem. Jakby była w spisku z nami. Dobrze myślałem. To tamte drzwi.

- Tylko, panowie. Nie w moje córki.

- Cicho!

Jesteśmy już przy drzwiach. Przestali śpiewać. Puścili płytę. Ładna. Fogg. „Bluzeczka zamszowa”.

Trzeba się sprężyć do skoku. Ważna jest zaskoczenie.

- Wy podskoczycie do kufra. Tam, gdzie położyli broń. Trzeba im odciąć drogę.

- Mhmmm...

Opanować się. Mamy przecież przewagę. Dlaczego się boję? Jeszcze chwila. Pistolet. Raz... dwa... szarpnięcie klamką. Grabowski skoczył. Jasno. Światło. Są.

- Ręce do góry!!!

Grabowski jest przy kufrze. Widzę kątem oka. Jest broń. Dziwna cisza.

Nie. Przecież gra patefon. Fogg śpiewa. Cały czas śpiewa.

- Rączki na stół, koledzy. I spokojnie, bo podziurawimy jak sito.

Kładą ręce na stole. Są śmiertelnie przerażeni. Dziewczęta też. A gdzie matka? Nie ma. Schowała się. Jeżeli jest ich więcej, to koniec. Poleciała po nich.

- Uważajcie na drzwi!

- Tak jest!

- Panny, siadać na ziemi pod ścianą. Ale już!!!

To ja wszystko mówię? Ja. Raz „ręce do góry”, raz „na stół”. Przecież w górę nie podnieśli. Zatkano ich zupełnie. Matka zagląda do pokoju. Jednak było ich tylko dwóch. Spokojnie. Wszystko dobrze.

- O! Kolacyjka?

Grabowski odzyskał pewność siebie. Na stole wielki talerz naleśników. Widać panny nasmażyły. Płyta ciągle gra.

Dziewczęta zaczynają płakać. Siedzą na podłodze ogłupiałe. Blondynka ma ładne nogi. Długie. W ogóle jest ładna. Widać jej kolana.

- Spokój!!!

Ucichły.

- No panowie! Z kim mamy przyjemność?

Teraz i ja się uspokoiłem. Ale partyzanci! Kiepskie mają teraz wojsko w oddziałach! Za moich czasów to byłoby niemożliwe. Żeby tak się dać złapać. Wyjeliśmy ich jak pisklęta z gniazda.

Nic nie mówią. Kompletnie zbaranieli. Są bladzi. Co ja mówię? Zieloni. Krople potu wystąpiły im na czoło. Niższy ma oczy pełne łez. Słowo daję! Za chwilę będzie beczeć!

- Cóż to? Zapomnieli koledzy po polsku?

I jakie to wojsko? Oficer stoi przed wami, a wy nic? Nawet zameldować się nie umiecie?

Wyższy chce coś powiedzieć. Pewnie bluzgnie we mnie wiązanką. Nie.

- Panie poruczniku, melduję postusznie, jesteśmy partyzantami z oddziału AK kapitana Bończy.

Szmata. Sypie. Może nawet nie sypie, tylko chce się podlizać. Jakby na starego partyzanta trafiło, toby mi już palantów nawtykał. Taki to i partyzant. Szczaw. Zielony. Widać niedawno w lesie. Jeszcze sweterek od mamusi.

Na oko przyjemne chłopaki. Z miasta. Twarze inteligentne. Ten młodszy kogoś mi przypomina. Oczywiście. Halinę... Tamtą... Wygląda jak dziewczyna... Delikatny.

Grabowski sięga po naleśniki z talerza. Bierze ręką. Je. Udaje pewność siebie. Trzyma fason. Fogg wreszcie przestał śpiewać. Płyta jeszcze się kręci.

- No, zamknij patefon, królu!

Młodszy odchyła ramię patefonu. Leciutki trzask. Cisza. Po twarzy płyną mu łzy. Chce się opanować. Wiem, że gdyby nie dziewczyny, beczałby jak dzieciak. Oj, bracie! Trzeba było siedzieć w szkole! Uczyć się!

Muszę coś zdecydować. Wyprowadzić ich z chałupy. To pierwsze. Zaprowadzimy ich na nasze kwatery. Przecież to niedaleko. Nie nawieją nam. Jutro niech się nimi zajmie Herbert.

- No, koledzy! Pójdziemy. Macie jakieś płaszcz?

- Kozuchy.

- Ubierzcie się. Nie można powiedzieć. Odziewają was ładnie. Prezencja dobra. Ale wojsko do srania.

Grabowski znowu sięga po naleśniki.

- Panie poruczniku. Bomba! Niech pan spróbuje!

- Dajcie spokój. Co sobie panny pomyślą? Przygotowywały przecież dla chłopców z lasu. To nie dla komunistycznej gęby. Szybciej się ubierajcie! Tylko bez kawałów! Pukawki mamy odbezpieczone.

Grabowski bierze z kufra oba steny. Zarzuca na ramię. Ale pepeszę ma skierowaną na nich. Czujny. Cały czas. Widzę to. Niby udaje swobodę, ale jest sprężony. Jego nie zaskoczą. Zresztą... Co to za wojsko? Łamagi.

- Wychodzić. Załóżcie na wszelki wypadek rączki na kark.

Ubrali się. Ładne te kozuchy. Czapki mają uszanki. Nasze. Wojskowe. My nie wyfasowaliśmy. Oni mają. Pewnie gdzieś rozwalili naszych chłopaków. Eee... Niemożliwe. Takie niedojdy? Może ich oddział rozbił transport. Pewnie dostali.

Jakoś głupio. Na dobrą sprawę to jeszcze do niedawna bylibyśmy kolegami. Nawet piosenki znamy te same. Nie czuję do nich nienawiści.

- No jak tam? Nawet „dobranoc” gospodarzom nie powiecie? Tak was uczą w oddziale?

- Inteligencja szpagatowa, panie poruczniku. Oni chłopków traktują „per noga”.

Oho! Grabowski używa obcych wyrażań. Wyrabia się.

- No, ale my się pożegnamy. Prawda, Grabowski? Dobranoc panienki. Ukłony dla mamusi.

- My tu jeszcze przyjdziemy. Może i dla nas panienki naleśników usmażą? Pan porucznik nie lubi, ale ja przepadam. Dobranoc!

Trzeba uważać w sieni. Ciemno. Mogą zrobić kawał. Nie. Wyszli spokojnie.

Powietrze jest rześkie. Może mi się tylko wydaje? Po prostu było trochę emocji. Wtedy zawsze jest człowiekowi gorąco.

Idą przed nami. Ręce ciągle trzymają na karku. Niech trzymają. Mogę schować pistolet. Grabowski ma automat w pogotowiu.

Żal mi ich. Cholera. Przecież ich rozwalą. A w każdym razie swoje dostaną. I młodość zleci im w pierdlu. Takie młode gówniarze. Ten niższy straszna dupa. Ciągłe beczy.

Głupia sprawa. Że też akurat my musieliśmy na nich się nadziać.

Wchodzimy w las. Jakby nas teraz banda dopadła, to koniec. Rozwaliliby jak amen w pacierzu.

- Grabowski.

- Tak jest! obywatelu poruczniku.

- Waszego ojca Niemcy wykończyli?

Zaskoczyłem go. Spojrzał zdziwiony.

- Spalili. W Radogoszczu.

- No, widzicie.

Nie. Tych chłopaków w żadnym razie nie wezmę na swoje sumienie. Niedługo wszystko się skończy. Chłopaki pójdą do szkoły. Zresztą już teraz powinni.

Durnie. Mogli spokojnie się uczyć. Czego oni dają się wrabiać w politykę? My musieliśmy. Okupacja. Ale oni? Za tych starych pierdzieli? Wszystkich nas wrobili. Mnie też. Na cholerę mi to wojsko? Muszę.

Trzeba będzie przerobić arytmetykę handlową. Wrócę do „budy”, to będę ciemny jak tabaka w rogu. Nie ma zmartwienia. Koledzy pomogą.

Przecież to też są moi koledzy. Jeżeli ich odstawię, to koniec. Czapa. Nie wykręcą się. Co robić?

- Grabowski.

- Słucham, obywatelu poruczniku.

- Umiesz trzymać język za zębami!?

- Tak jest!

Pochylam się do niego. Mówię szeptem.

- Puścimy tych kutasów! Chyba że chcecie ich mieć na sumieniu?

- O tym samym myślałem. Słowo daję. Ale steny zatrzymamy?

- Nie. Jak puścić, to ze wszystkim. A co powiesz Herbertowi? Skąd mamy angielskie automaty?

- Ale jak im damy rury, to mogą nas stuknąć?

- Wyjmiemy im z magazynków naboje. Z pustego nie strzelą. Dajcie.

A może rozbić o drzewo? Szkoda. Steny. Kochana broń. Boże jedyny! Ile to czasu upłynęło? Dwa lata. Zawsze marzyłem, żeby chodzić ze stenenem. Nie udało się. Teraz mam dwa. Uczciwie zdobyte. Bo zdobyłem uczciwie. Byliśmy lepsi. I co mi z nich? Albo oddać tym flimonom, albo rozbić.

Wyłuskuję naboje z magazynków. O! Cienko przędą. W jednym było pięć sztuk, w drugim siedem. Chowam naboje do kieszeni.

Co im powiedzieć. Że ja też... Nie warto. Przecież i tak się w oddziale nie przyznają. Wezmą mordę w kubek. A co? Może jako komunistyczny oficer mam do nich kazanie wygłosić? Psu na budę się przyda. Nie posłuchają.

- Stać!

Stanęli.

- W tył zwrot!

Patrzą przerażeni. Już wiem. Myślą, że ich tutaj rozwalimy. Niższy klęknął na śniegu. Milczą.

- Wstań, kretynie. Macie szczęście, że wpadliście w nasze ręce. Też byłem kiedyś w AK. Tylko, że wtedy takich palantów jak wy jeszcze nie przyjmowali. No, ale nieważne. Puścimy was. Tutaj rzucam steny. Na drodze. Ujdziemy jeszcze razem ze sto metrów. Potem wy wróćcie. Zabierzecie. Gonić nas nie radzę. Po pierwsze, że w magazynkach nie ma naboń, a po drugie, tym razem to damy wam taki popęd, że w tyłkach się zagotuje. No, a teraz łapy opuścić i jeszcze sto metrów naprzód.

Znowu ruszamy. Teraz idą raźniej. Nie spodziewali się. Ale jeszcze są niepewni. Nie dziwię się. Sam bym miał cykorię. Takie cuda w ostatnich latach rzadko się zdarzały.

Jest mi lekko. Dobrze, że tak postanowiłem. Nie będę paprał rąk. Przecież to Polacy. Bracia.

Chyba już setkę przeszliśmy. Stenów nie widać. Chociaż na śniegu powinny być widoczne. Niech tam. Nie nasza sprawa.

- No, kawalerka! Chodu! A ty, mały, lepiej wracaj do mamy. Wojna się skończyła. Nic mądrego w lesie nie wymyślisz! Uczyc się trzeba.

Oni stoją. Ciągłe nie wierzą. Pies ich trącał.

- Idziemy, Grabowski.

Zostali. Jeszcze nie wierzą. My idziemy. Uszliśmy dwadzieścia metrów. Teraz pojęli. Zaczynają uciekać.

Grabowski się śmieje.

- Ale spierdalają!!!

- Nie wiadomo, jak tam u nich w spodniach.

- Ten mniejszy podejrzenie wyglądał. Idziemy rażno. Widzę, że i jemu kamień spadł z serca.

Wyjmuję z kieszeni garść naboń. Wyrzucam w śnieg. Jakbym siał zboże. Nie ma nic. Żadnego dowodu. Nic nam się w nocy nie przytrafiło.

Gdyby było nas trzech, to co innego. A tak? W razie czego, wyprę się. Nie ma świadka. Zresztą wątpię, żeby Grabowski sypał.

- Tylko czasem nie omielajcie ozorem. Obaj dostalibyśmy w czapę.

Las robi się coraz rzadszy. Dochodzimy do wsi. Jest dobrze.

*

- Niech pan otworzy! Niech pan otworzy! Łomotanie do drzwi. To Grabowski.

Jestem przy drzwiach. Przekręcam klucz. Otwieram. W sieni Grabowski i sołtys Kłosek.

- Sołtysowi ukradli konie!

- Co?

- Konie, panie poruczniku. Miałem kobyłę. Z UNRR-y ją dostałem. I źrebicę. To już od niej. Wiosną się wyżrebiła. Obie ukradli, żeby ich połamało!

Mało nie płacze chłopina.

- Która to godzina?

- Druga.

- Wiele nie pospałem. Alarm w plutonie. Drużyna wartownicza, zbiórka na placu koło spółdzielni.

- Tak jest!

Ubieram się w biegu. Jestem nieprzytomny. Najgorzej to jak rozbudzą człowieka z pierwszego snu. No i po wódce.

- Gdzie mój pas?

- Tutaj, panie poruczniku.

Stara się. Teraz nieba by nam przychylił. A kwatery to z gardła trzeba było wyciągać. Polubił komunistyczne wojsko.

Jestem gotów. Jeszcze tylko sprawdzić pistolet. W porządku.

- Biegiem do stajni!

- Po co? Panie poruczniku, przecie ona teraz jest pusta!

- Głupiście! Przecież musiały zostać jakieś ślady. Przynajmniej ustalimy kierunek. Na śniegu widać.

- Co prawda, to prawda!

Biegniemy przez wieś. Psy ujadają. Co za cholerna noc! Wszystko się wali na mój łeb.

Jesteśmy przy obejściu. Tabliczka „sołtys” na bramie. W chałupie światło. Nastrój jak po pożarze. Sołtysina przy bramie. Płacze.

- Gdzie stajnia?

- O tu!

Drzwi otwarte. Wchodzę. Zaraz... Właściwie to jeszcze czuć ciepło. Nie wywiało. To musiało być niedawno.

- Sołtysie. To się stało nie później niż dwadzieścia minut temu. Patrzcie. Przecież jeszcze ciepło w stajni. Nawet para z ust nie idzie.

- Niby tak.

- Wierzchem mogli ze cztery albo pięć kilometrów ujechać. Trudno będzie dogonić.

- Panie. Mojej kobyły nikt nie dosiędzie. Ona nie ujeżdżona. Zrzuci każdego. Musiał ją za uzdę prowadzić.

- Ślady prowadzą na bagna. To dobrze. Pole ostrzału odkryte. Będzie lepiej widać. Idziemy.

Przed sklepem spółdzielni stoi alarmowa drużyna.

- Obywatelu poruczniku, kapral Wrzesiński melduje trzecią drużynę na zbiórce alarmowej. Stan...

- Dobra... Dziękuję. Zadanie: Przesuwamy się biegiem na skraj wioski w kierunku na bagna. Na rubieży lasu i bagien, koło drzewa z kapliczką, RKM zajmie stanowisko.

Ruszyli z kopyta. My z sołtysem również. Trochę wolniej. Coś mi mówi, że konie odzyskamy. Wybiegamy na drogę, prowadzącą do lasu przy bagnach. Wszystko zamrożone. Dobrze. Tu i ówdzie widać krzaki karłowatej olszyny.

Chociaż bez księżycy, ale widoczność dobra. Śnieg. Niebo bez chmur. Widać daleko.

- Są! Są, panie poruczniku!

To Wrzesiński.

Rzeczywiście. Uszli nie więcej niż kilometr. Może półtora. Widać kobyła się szarpała.

- RKM na stanowisku?

- Tak jest.

- Czekajcie!

Biegnę do RKM-u. Będę sam strzelał. Chłopaki jeszcze z młodego rocznika. Ręka nie ma pewności. Ustawili dobrze. Na małym kopczyku przy drodze. Wygodna pozycja do strzału.

- Jaka amunicja?

- Świetlna. Ale tylko na początku bębna. Będzie ze dwadzieścia naboji.

- Wystarczy.

Wciążam mocno kolbę w dołek strzelecki. Przyciskam policzek do chłodnego drewna. Prawda! Celownik. Byłbym zapomniał. Przesuwam na maksymalną odległość. I tak ogień nie będzie skuteczny. Nie ma się co czarować.

- Lewa nóżka się obsunęła. Poprawcie!

Jeszcze raz dokładnie celuję. Trzeba trochę wyżej. Nad nimi. Przy tej odległości to jedyna szansa, żeby chociaż koło nich rąbnąć. Wstrzymuję oddech. Naciskam spust.

Ale ogień. I huk. Echo odbija się w lesie. Przerywam. Niecelnie. Muszę wyżej celować. Jeszcze seria. Kule lecą jak paciorki. Teraz lepiej. Cisza.

- Co jest, do cholery?

Aha. Zacięcie.

- Celowniczy, do RKM-u. Usunąć zacięcie. Dajcie karabin!

- Panie poruczniku. Konie się wyrwały. Uciekają do lasu! Tamci biegną w lewo. Za te krzaki. Dwóch ich jest! Dwóch!!

- Jak zacięcie?

- Jeszcze nie usunąłem...

- To sobie RKM w tyłek wsadźcie! Nawieją. Nie ma co. Z karabinów szkoda amunicji.
- Ale konie złapiemy! Melduję, panie poruczniku, że pogalopowały w kierunku lasu. Zresztą one przyjdą do stajni.
- Bogu dzięki! Panie poruczniku, Bogu dzięki!!!

Rozdział VIII

Zebranie dobiega końca. Ile minut już mówię? Chyba ze dwadzieścia. Dobrze przemawiam. Płynnie. To się czuje. Ci, co słuchają, nie są znudzeni.

- I takie są plany naszego Rządu. Taki program Bloku Demokratycznego.

Dzisiaj jest inna publiczność. Właściwie nie wiem. Lepsi czy gorsi niż w zeszłą niedzielę? Też wszystko z PSL-u. W tych stronach podobno są mocni. Ci są aktywni. Zabierają głos. Dyskutują. Klóć się z przemawiającym.

Ten w pierwszej ławce to prezes. Glista. Najwięcej pyskuje. Do mnie na szczęście jeszcze się nie przyczepił. Boi się. Jasne.

- Program Bloku Demokratycznego wydrukowany jest w całości. Każdy może sobie przeczytać.

Na dzisiejszy wiec przysłali lepszych mówców. Facet z PPR-u niegłupio mówił. Ale najlepiej to ten ze Stronnictwa Demokratycznego. Podobno nauczyciel. Młody. Przed samą wojną ukończył studia.

- W każdym numerze „Głosu Ludu”. Możecie się zapoznać. Jest to na pewno lepiej napisane, niż ja to powiedziałem. A przecież „Głos Ludu” każdy kupuje i czyta.

Zerwał się z ławki prezes. Wygląda jak napompowany. Aż kipi z niego złośliwość.

- W kwestii formalnej! Ja kupuję „Głos Ludu”. To prawda. Regularnie kupuję. Ale nie do czytania, tylko sobie nim dupę podcieram!

Usiadł. Sala wybuchnęła śmiechem. Słychać szmer uznania. Ze niby taki odważny. Z tyłu głośniej się śmieją. W przednich ławkach tylko duszą się ze śmiechu. W Kępie sala jest jaśniej oświetlona. Aż sześć lamp. I żarówki mocniejsze.

Koniec ze mną. Zrobił ze mnie durnia. Ośmieszył. Jestem skończony. Nie mogę przecież tak... Jestem w mundurze. Wszyscy się śmieją. Przy stole prezydialnym pobledli.

No co? Przecież strzelać do niego nie będę. Rozzuchwalili się chłopki. Przed wojną by się nie odważył.

Co robić? Co robić? Usiąść za stołem? Klęska. Nie można... Mam. Czekaj, ciotku. Zaraz cię zrobię na szaro.

- Wstańcie na chwilę, panie prezesie.

- A nie chcę. Będzie mi pan rozkazywał? To nie wojsko!

- Ja tylko grzecznie proszę. Wstańcie.

Jestem już zupełnie opanowany. Muszę zwyciężyć. Na sali zrobiło się cicho. Wszyscy czekają, co będzie. Oho! Jakbym coś chciał zrobić z baranem na siłę, toby doszło do draki.

- Nie boję się. Mogę wstać. Niech mnie ludzie widzą. Gęby mi pan nie zatka.

- Więc powiada pan, panie prezesie, że sobie pan „Głosem Ludu” tyłek podciera?

- Bo i podcieram! Wolno mi. Kupuję, płacę i co chcę, mogę robić!

- Róbcie tak dalej. Obywatele! Oto stoi przed wami pan prezes. Za miesiąc dupa u niego będzie mądrzejsza od głowy!

Ryk okropny. Sala aż wyje ze śmiechu. Wszyscy biją brawo. Prezes siada na ławce, z miną, jakby w portki narznął.

Nic już więcej nie będę mówił. Tylko zepsuje efekt. Teraz najlepsza pora, żeby skończyć.

- Na tym skończyłem, dziękuję obywatelom za uwagę.

Cała sala bije brawo. Ci przy stole patrzą na mnie roześmiani. Ale z podziwem. To się czuje. Ludzie klaszczą jak opętani. Naprawdę. Nikt nie udaje.

Jeszcze coś mówi Kijak. Jakieś urzędowe rzeczy. Nic już z tego nie słyszę. Coś we mnie szumi. Nic nie rozumiem. W ostatniej chwili. W ostatniej chwili mi to wpadło. Bogu dzięki. Inaczej co ja bym zrobił?

Co to? Czy to nie ten od Danki? Cholera! On. Znikł mi z oczu. Koniec wiecu. Wszyscy pchają się do wyjścia.

Albo mi się przywidziało, albo on. Co mi tam! Ważne, że się udało. Niech widzą, że z wojskiem nie tak łatwo.

Ściskają mi ręce. Gratulują. Niech to szlag trafi! Przyjemnie.

- Ale macie refleks, poruczniku. Niech was kule biją. Urodzony mówca.

To ten ze Stronnictwa Demokratycznego. Szczerze mówi.

- Dziękuję. Tak mi jakoś wyszło...

- No, nie bądźcie skromni. Zrobiliście prezesa na szaro. Z miesiąc nie wyjrzy z chałupy.

Ten z PPR-u częstuje mnie papierosami.

- Dziękuję. Nie palę. Czasem okazynie.

- Na wsi to już złamana kariera polityczna. Zostanie mu już chyba do śmierci, że tyłek ma mądrzejszy od głowy. Tu jak się coś przyklei, to koniec. Dobrze, żeście, towarzyszu, na tym skończyli. Macie wyczucie. Skompromitowany przeciwnik nie jest groźny.

- Przepraszam, ale będę się żegnał. Muszę do swojego wojska. Wiedzą panowie, jak to jest. Nie dopilnujesz i kołki ci będą ciosać na głowie.

- No to dobranoc. Dziękujemy za pomoc.

- Dobranoc

Jestem już na drodze. Idzie Herbert. Jak w Brodzieszach po wiecu.

- Niech cię szlag trafi, Wacek! Ale ty masz gadane! Starego diabła byś przegadał.

- No, nie przesadzaj! Miły się robisz. Pewnie za dużo wypiteś.

- Coś ty! Dopiero wypijemy. Wiesz, że myślałem, że tego gnoja zamknę. On miał kandydować z PSL-u. Ale jakiegoś adwokata wysunęli. Zamknąłbym! Jak słowo daję. A co? Będzie gazetę partyjną obrażał? I Wojsko Polskie?

- No i dlaczego go nie zamknąłeś?

- Niech sobie teraz chodzi po wsi. Niech się z niego śmieją. Śmieszny prezes wygrywa dla nas wybory. Wacek. Mówię ci. Ty powinienes zostać politycznym. Masz przyszłość.

- Tego mi jeszcze do szczęścia brakowało. Żeby mnie ojciec do domu nie wpuścił. Chodź, nie filozofuj. Mieliśmy wypić, to pijmy. Tak się, cholera, przyzwyczaiłem, że jak jeden wieczór nie wypiję, to aż mnie ssie...

- To może damy spokój?

- Coś ty? Chodź. Ja stawiam.

*

- Co znaczy okradli? Jak mogli okraść spółdzielnię? Zastanówcie się. Sklep jest w środku wioski. Wiesz obstawiona naszą wartą. No więc jak?

- Nie wiem, obywatelu poruczniku.

- Nie wiecie? To ja wam powiem. Pochowaliście dupy po chałupach, żeby nie zmarzły. Ile razy sprawdzaliście warty?

- Kilka razy, obywatelu poruczniku.

- „Kilka razy”. Nawet nie policzyliście! Takie bzdury, Wąsal, to możecie sobie opowiadać waszej babci. Z was taki dowódca warty, jak ze mnie biskup. Dużo nakradli?

- Kierownik sklepu mówi, że wszystko!

- Wszystko! Cały sklep wywieźli, a mój kapral Wąsal i jego dzielna drużyna nic nie widzi. Kto był na posterunku koło remizy? Przecież to pięćdziesiąt metrów od spółdzielni!

- Melduję, że Stępień, Wiernicki i Kolas.

- Kto stał od drugiej do czwartej?

- Stępień.

- Wiadomo. Najgorszego niedojdę stawiacie. Ale ja wam dam popalić. Zbiórka drużyny i ćwiczenia bojowe. Trzy godziny. Drużyna w marszu ubezpieczonym. Zmiany kierunków marszu. W pełnym oporządzeniu.

- Obywatelu poruczniku. Zarządziłem czas wolny dla drużyny po służbie wartowniczej.

Za chwilę mnie szlag trafi. Bezczelna morda ten Wąsal. Będzie mnie uczył. On zarządził. To jest dopiero wojsko Królowej Jadwigi.

- Więc wy powiadacie, że drużyna pełniła służbę wartowniczą?

- Tak jest!

- Zamknijcie się, kiedy ja mówię!!!

Ryczę na niego. Właściwie to mi się chce śmiać. Ale zły też jestem. Widział kto? Pod naszym nosem obrabiają spółdzielnię. Nie. Tego płazem nie puszczę. Muszę ich dostać.

- Gdyby drużyna pełniła służbę wartowniczą, to nie okradziono by sklepu. Jasne?

- Tak jest!

- Wobec tego, że nie potraficie pełnić służby wartowniczej, zaraz po powrocie z zajęć będziecie przerabiali „Regulamin”. Rozdział - „Służba wartownicza w garnizonie”. Potem przez godzinę ćwiczenia zmiany posterunków. I godzina ćwiczenia zmiany warty. Jasne?

- Tak jest!

- Powtórzcie zadanie.

Załamał się. Papple jak papuga. Jest zrozpaczony. Widzisz, bratku? W wojsku nie ma mocnych. Swoją drogą muszę się nim osobno zająć. Myśli, że wszystkie rozumy pojadł.

- Dobrze. Wykonać. I przyslijcie mi tu Grabowskiego.

*

- Co o tym myślicie?

- Wyszło głupio. Pełnimy wartę, a ktoś obrabia sklep. Głupio, nie ma co!

- I ja tak myślę. Jak się nazywa kierownik sklepu?

- Nie wiem.

- Powiedział, że wszystko mu ukradli. Wszystko. Rozumiecie.

- To niemożliwe.

- Pewnie. Sam nakradł, ile się da, albo nawet jest w to wmieszany.

Grabowski gwizdże przeciągle. Łapie w lot moje myśli. Cwany chłopak.

- Musimy go przycisnąć.

*

- Dowiedziałem się już, panie poruczniku. Nazywa się Olczyk. Przed rokiem milicja u niego znalazła karabin. Za belką. Na strychu.

- I nie zamknęli go?

- Jak pan widzi, panie poruczniku. Nawet nie zdjęli z kierownikostwa.

- Wprost nie do wiary!

- Właśnie. W rzeczy samej prościutkie. Komendant posterunku, który znalazł karabin, w dwa tygodnie potem poszedł do lasu.

- To takie buty. Grabowski! Idziemy do pana Olczyka. On musi coś wiedzieć.

- Może nie zechce mówić?

- To go poprosimy.

- Żeby tylko nie było tak jak z Kosińskim.
- Nie bójcie się. Olczyka będziemy prosić delikatnie.

*

- Pan Olczyk?
- Ja.
- My w sprawie kradzieży.
- To był napad.
- Iii... zaraz tam napad.

Robi z tego duży numer. Cwany. Dostanie się nam. Niech tylko to dojdzie do powiatu. Zaraz i w jednostce będą wiedzieli. Ładnie beknę. „Napad”. Dobrze sobie to sukinsyn wymyślił.

- Chcieliśmy obejrzeć sklep.
- Milicja już była. Nie ma co oglądać. Zaplombowane. Jutro przyjadą z powiatu robić inwenturę. Duże straty.
- To może nas pan zaprosi do pokoju?
- Ja już wszystko zeznałem. Jest zaprotokołowane.
- Proś, palancie. Pan porucznik czeka!

Trochę za ostro to Grabowski powiedział. Ale skutkuje. Olczyk zbladł. Prowadzi nas do mieszkania. Nic nie mówi. Drzwi od sklepu do sieni obite blachą. Widać kartkę z pieczęcią. Ładna mi plomba. Każdy wejdzie. Olczyk otwiera drzwi

Pokój. Chyba jadalnia. Czuć naftaliną. Nie wietrzą. Stół na środku. Oszklony kredens. Duże kolorowe kieliszki do wina. Kryształowe. Meble różne. Przeważnie politurowane. Nie. Fornierowane. Zaraz widać, że z szabru. Każdy grat z innego kompletu.

- Proszę, niech panowie siadają.
- „Obywatele” się do nas mówi. Panowie są w Londynie.

Takie powiedzenie zawsze wytrąca ludzi z równowagi. Niby nic, a nie poznasz - żart czy serio. Olczyk już wie, że sprawa jest poważna. Przybladł.

- Proszę, niech obywatele siadają.
- Dziękujemy, królu...

To też go powinno spieszyć. Trzeba z nim ostro, ale ironicznie. Niech widzi, że sobie nic z niego nie robimy.

- Ja, proszę obywateli, wszystko już powiedziałem. Wszystko. Milicja zaprotokołowała.
- Czy on, obywatelu poruczniku, jest papugą? Ciągłe to samo powtarza.

Grabowski w lot łapie styl rozmowy. W to mu graj!

- Nie przeszkadzajcie, kapralu. Olczyk powiedział, że już wszystko zeznał milicji. Ale nam chyba jeszcze coś dopowie.

- Ja doprawdy... Nie rozumiem, o co obywatelowi porucznikowi chodzi...

- To bardzo niedobrze... Ale w takim razie zapytamy cię, królu, wprost. Powiedz nam, Olczyk, kto obrobił spółdzielnię? Tylko to od ciebie chcemy usłyszeć. Prawda, kapralu? Tylko to?

- Tak jest. Zasadniczo tylko to, obywatelu poruczniku.

- Więc jak? Dowiemy się, Olczyk?

- Ale na litość boską, skąd ja mogę wiedzieć?

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię...

- Przepraszam, czy można zapalić?

Trzęsą mu się ręce. Podsuwa paczkę do mnie.

- Oczywiście. Na razie jesteście jeszcze u siebie.

- A może obywatel porucznik?

- Dziękuję. Zasadniczo nie palę. Ot... od czasu do czasu, okazjnie.

Przypała papierosa zapalniczką. Nie chce mu się zapalić. Już. Zaciąga się łapczywie. Patrzą na niego. Właściwie dopiero teraz widzę jego twarz. Jak to jest. Patrzysz na człowieka, a go nie widzisz. Aż nagle, jedno spojrzenie i już. Jakbyś faceta sfotografował i schował w pamięci. I już się go nie zapomni. Do śmierci.

Włosy jedną stroną opadają mu na czoło. Proste i tłuste. Grdyka podskakuje. Jak się to mówi? Jabłko Adama. Niedokładnie się goli. Na szyi sterczą mu długie, rzadkie kłaczki. Szczecina. Na skroniach wystąpiły peretki potu. Koło nasady nosa wielkie czarne wągry. Wstrętne. Gardziel ma denerwującą. Zupełnie jakby obrośnięta kurzymi pypcami.

- No więc dobrze, Olczyk. Popaliliście sobie. Uspokoili. A teraz dokładnie powiedzcie nam, kto to zrobił?

- Mówiłem już, że nie wiem.

- Ejże... Głupstwa opowiadasz, królu, i jesteś uparty. Więc jak to? Powiadasz, że był napad? A pięćdziesiąt metrów od spółdzielni stał żołnierz na warcie i nic nie słyszał? I ty także nic? Nie alarmowałeś, nie krzyczałeś? A wiesz dlaczego? Bo sam brałeś w tym udział.

- Ja nie...

- Spokojnie, królu! Spokojnie. Jeżeli nawet nie ze złodziejami, to potem dokradłeś, ile trzeba. I to ci zajęło czas. Nam jest wszystko jedno. Ale tych, co obrobili sklep, musimy złapać. My inwentury nie będziemy robić, co i ile kto nakradł. Ale nie wypada, królu, żeby pod nosem Wojska Polskiego złodzieje sobie hulali. I nie puścimy tego płazem...

- Obywatelu poruczniku, ja wszystko...

- Spokój!

- Może dać mu lekko w mordę, panie poruczniku? Melduję, że chyba wtedy przymknie jadaczkę.

- Nie trzeba, Grabowski. Przynajmniej na razie. On za chwilę i tak nam wszystko opowie. On jeszcze o wielu rzeczach nie wie.

Grabowski rozsiadł się w krześle. Bez ceremonii wyciąga „Bałtyka” z Olczykowej paczki.

- Zdenerwowałem się.

Dobrze gra. Jak artysta.

- Widzisz, królu. Jednego podejrzanego już mamy. To jesteś ty, Olczyk. I zaraz oczywiście zamkniemy cię do pierdła. Nawet jak ze spółdzielnią będzie pomyłka, to i tak są powody, żebyś sobie pokiblował. No na przykład - ten karabin, co go u ciebie znaleźli. To był mauzer, prawda?

Jest blady. Milczy.

- Pan komendant Czapnik nic ci za to nie zrobił, ale on był bandzior. Sprawa się utarła. Myślałeś, że już nikt o tym nie pamięta. A na przykład, my wiemy. I pamiętamy. Ale o nas nie chodzi. To zasadniczo jest sprawa milicji. My mamy inne zadanie. Takie tam stare sprawy karabinów to nie nasze „dieło”. Nawet o tym nie musimy wiedzieć. Ale jedno chcemy wiedzieć dokładnie. Kto obrobił spółdzielnię?

- Ja doprawdy... Nie wiem na pewno...

- Ale domyślasz się, prawda? Pomyśl dobrze. To tylko do naszej wiadomości.

Teraz powie. To widać. Sukinsyn. Łatwo sypie. Nawet w mordę nie dostał. Co mi tam? Złodziei muszą złapać. Choćbym miał na uszach stanąć.

- Według mnie, spółdzielnię obrobili Głębiaki.

- Kto?

- Głębiaki. Dwóch braci. Ojciec i szwagier. Pod lasem mieszkają. To taka złodziejska rodzina.

- To tylko chcieliśmy wiedzieć. Na razie - do widzenia, Olczyk. Zobaczymy, co słychać u Głębiaków. Ale gdybyś się pomylił, to lepiej już teraz biegnij do proboszcza i zamawiaj mszę żałobną. Z nami nie ma żartów.

- Nie. To oni. Głębiaki. Nikt inny, panie poruczniku.

- Obywatelu. Obywatelu poruczniku. Już ci raz mówiłem, gdzie są panowie. No! Do widzenia, panie Olczyk!

Rozdział IX

- A teraz uwaga! Pani Mario, gęś!!!

Groszewski podbiega do pianina. Gra. Co to jest? Już wiem. Marsz generalski. Zna wojskowe kawałki. Otwierają się drzwi. W białym fartuchu wchodzi gospodyni. W rękach trzyma półmisek. Tak. To chyba jego gospodyni. Groszewski jest przecież kawalerem. A może tylko samotny.

Pięknie ta gęś wygląda. Duża i brązowa. Nie. Złocista. Tłuszcz na niej jeszcze skwierczy. Gospodyni się śmieje. To cała ceremonia. Jest zadowolona. Wszystko się udało. No pewnie.

Każdy patrzy na półmisek. Właściwie, to pierwszy raz jestem na takim przyjęciu. Szykowne.

Pani Maria stawia gęś przed Groszewskim.

- Proszę księdza proboszcza, może jakiś paciorek ksiądz palnie w intencji nieboszczki?

- Zwróć się pan do rabina, panie Grossman, gęś to szabasowe danie!

Grossman? To on się inaczej nazywa? Ee... pewnie żartują. Wszyscy są rozbawieni. Miła atmosfera. Tylko Wójcik z żoną sztywni. Zaraz widać. Nie mają miejskiego obycia.

- Najważniejsza rzecz, to krojenie. To cały rytuał.

- I właśnie pan, panie Groszewski, kroji rytualnie. Mam dla pana broszurkę księdza Trzeciaka o uboju rytualnym.

- Niech ksiądz będzie spokojny. Gęś będzie koszerna.

- Cha! Cha! Kto to mówi? Kto to mówi? Pan, stary endek?!

Śmiejemy się wszyscy. Groszewski rzeczywiście umie ćwiartować gęś. Ma zresztą specjalne nożyce. I widelce. Długie i ostro zakończone.

- Z której piersi dla księdza?

- Jak zawsze - lewa.

- A dla pana porucznika?

- Proszę mi najpierw powiedzieć, ile ta gęś ma piersi?

Wybuchają śmiechem. Słaby dowcip, ale się udał. Pani Maria wnosi duży półmisek klusek. Już takie jadłem. Na parze robione. Jak bułeczki. Dobre. I czerwona kapusta. Tutaj mówią - modra. Boże! Jakie żarcie. Szkoda, że nie ma Grabowskiego. Ale nie mogę go wszędzie zabierać. Tutaj inne towarzystwo. Chociaż... Wójcik znowu nie taki hrabia...

Mamy już gęsinę na talerzu. Pyszna. Krucha. I pachnie. Biorę kluski. Kapustę... Sos bardzo dobry. Śmietany tylko troszeczkę. Dla koloru. Dużo sosu. Pewnie. Gęś tłusta. Skórka aż chrupie w zębach.

- No to - żeby się gąsce dobrze pływało!

Wypijamy po kieliszku. Dobra wódka. Ale bimbrem zalatuje.

- Skąd pan bierze taką śliwovicę?

- Tylko na spowiedzi mogę księdzu powiedzieć. Tajemnica!

Więc to jest śliwowica. Zawsze myślałem, że śliwowica jest słodka. Można się wygłupić. Ta jest mocna jak diabli. Prawie spirytus.

Groszewskiemu wyszły na twarz czerwone plamy. Głupio to wygląda. Dużo wypiliśmy. Fakt. Mnie też szumi w głowie. Talerze puste. Jestem najedzony. Bardzo. Pasek od spodni uciska. Żeby tak popuścić? Nie wypada. Wchodzi gospodyni

- Pani Mario, za tę gęś będzie pani przedstawiona do Nagrody Nobla.

Wszyscy biją brawo. Ksiądz jest naprawdę dowcipny. Ja też klaszczę.

- Pan porucznik dodatkowo wystąpi z wnioskiem o przyznanie Nagrody Stalinowskiej.

Śmiech. Obrazić się? Idiotyzm! Śmieję się również. Pani Maria sprząta talerze. Wójcik koniecznie chce się włączyć do rozmowy.

- Wypijemy za zdrowie pani Marii.

- Brawo!!!

Ksiądz podaje jej kieliszek. Jest zadowolona. Pijemy. Za dużo tych toastów. Kręci mi się w głowie. Pani Maria wychodzi. Tak. Zaczynam być pijany. Trzeba uważać.

- No i jak to było z tym Olczykiem?

Wójcik wyraźnie się rozkręca.

- Właśnie! Przerwaliśmy panu wtedy, poruczniku, w pół zdania.

Po co ja to opowiadam? Gównu ich to obchodzi! To są moje sprawy. I tak nie rozumieją.

- Doszliśmy z Grabowskim... To mój kapral... Jeszcze trzech żołnierzy zabrałem... Więc dochodzimy do lasu. Znaczący, do Głębiaków. Chałupa jak wymarzona. Tylko do filmu o bandach. Wypisz, wymaluj dla bandytów.

Mdli mnie. Gęś była za tłusta. I za łapczywie jadłem.

- Mówię do kaprala: pod okno i w razie czego granaty do środka. A ja do drzwi. Kto tam? To ja: milicja z Brodziesz. To on otwiera. Wielki chłop. Na całe drzwi. To ja mu pistolet w brzuch. I prowadzę do izby. Plecami. A ja za nim. Strzelajcie, myślę sobie. Wchodzimy do izby, patrzę... w rogu karabin. Oparty o ścianę. Jakiś facet leży na ziemi.

- Mieli karabin?

- Mieli. Niech ksiądz słucha, co będzie dalej. To ja: „ręce do góry!!!” Wszyscy podnieśli. Nawet dwuletni dzieciak w łóżeczku. Myślałem, że pęknę ze śmiechu. Wpadają moje wojaki wygruzają wszystkich na drogę. Jak stali. Na bosaka. A tu śnieg. Ja biorę największego na podworec. Pod stodołę. A tu noc. Ciemno. Nie ma żartów. Ale myślę, niech tylko drygnie, to rozwalę... No więc pytam, kto rozbił spółdzielnię? A on na mnie popatrzył, popatrzył, potem przeżegnał się i powiada: „Niech się dzieje wola boska, ja jestem z ORMO!!!”

- O rany!!! No i co? Był?

- A jakże! Mieli legitymacje, pozwolenie na broń. Wszystko, co trzeba.

Znowu wszyscy się śmieją.

Śmiejecie się, kretyny. A ja o włós byłbym go rozwalił. Zupełnie był skołowany. Myślał, że my z bandy. Niewinnego człowieka bym rozwalił...

- To pewnie Olczykowi pan podziękował?

- Jeszcze nie. Nawiał. Ale podziękuję mu. Będzie długo pamiętał.

Dolewają mi do kieliszka. Znowu pijemy. Nie potrafię się wykręcić. A co mi tam! Raz się żyje! Pić to pić! Znowu weszła gospodyni. Coś mówi do Groszewskiego.

- Panie poruczniku. W kuchni czeka na pana dwóch żołnierzy. Chcą się z panem widzieć.

- Coś się stało?

Książd też już mocno wstawiony. Zaniepokoił się.

- Eee tam. Zaraz zobaczymy.

Chwieję się. Mimo że staram się iść prosto. Wzięło mnie. Co tak ciemno w tej kuchni? Nie. Teraz jaśniej. Koło drzwi stoi Grabowski i ten... z pierwszej drużyny... jak mu... Nieważne.

- Obywatelu poruczniku, chłopaki z pierwszej drużyny znaleźli w chlewie u ich gospodarza skrzynkę niemieckich rakiet.

Zmienia mi się w oczach ten Grabowski. Raz jest większy, raz mniejszy.

- Jakich rakiet?

- Niemieckich.

- Niemożliwe. Sabotaż. A pasują te rakiety do naszej raketnicy?

- Kaliber ciut mniejszy, ale strzelać można.

- Można? A próbowaliście?

- Nie było rozkazu. Ale możemy spróbować. Wziąłem raketnicę.

- Macie tutaj cały interes?

- Tak jest.

- Postawcie skrzynkę przy wejściu i poczekajcie.

Wracam do pokoju. Ciemno mi przed oczami. Coś się ze mną dzieje. Czuję to. Będzie jakieś nieszczęście. Coś mi grozi. Wiem. Tylko co? Stoję w progu. Wszyscy patrzą na mnie wyczekująco.

- Proszę państwa, zapraszam na iluminację.

- Co się stało? Jaką iluminację?

- Sztuczne ognie. Jak na zakończenie wojny. Nasze będą na cześć nieboszy... nieboszy...

Nie mogę wymówić tego słowa. Co jest?

- ...nieboszczyki gęsi!

- Brawo! Brawo! Powiedział, co wiedział! Wszyscy się śmieją. Groszewski znowu gra na pianinie. Ale na stojąco. Za to Wójcik usiadł okrakiem na krześle. Twarzą do oparcia. Podskakuje. Udaje, że jedzie na koniu.

- Zapraszam wszystkich na dziedziniec! Rumor. Wychodzą. Ktoś przewrócił krzesło.

Wójcikowa. Klępa. Nawet nie podniosła. Groszewski trąbi w kułak. Udaje, że gra marsza. Zabawa. Jesteśmy na dziedzińcu.

Dusi mnie. To koniec. Nic nie odwróci nieszczęścia. Ono jest gdzieś blisko. Uciekać. Przed czym? Śmieszne. Boję się. Za późno. Nie. Jeszcze czas. Już wiem. Od tego się zacznie.

- Nabić, panie poruczniku?

- Nabijaj!

Metaliczny szczęk. Ciemno. Nic nie widać. Po omacku podaje mi raketnicę. Czuję jej grubą lufę. Unoszę rękę. Strzał.

Jasno. Widać plac tartaczny. Pryzmy desek. Rakieta idzie łukiem w górę. Biała. Spada. Jeszcze ognista kreska na niebie. Znowu ciemno.

- Nabijaj!

- Gotowe.

Co we mnie wstąpiło? Znowu trzymam raketnicę w dłoni. Ciągnę za spust. Strzał.

- Czerwona! Ale ładna!!!

Groszewski zaczyna swojego marsza. Strzał. Co jest? Leci rakieta. Biała. Kto to? Grabowski? Tak. Bez rozkazu? Jaki tam rozkaz. Jestem pijany.

- Nabita, panie poruczniku.

Unoszę rękę w górę. Pionowo. Strzelam nad głową. Idzie wysoko. Spada. Prawie na nas. Nie. Cholera! Na stertę desek. Płomień. Dym. Zaczyna się palić.

Grabowski jest czujny. Razem z żołnierzem skoczyli w miejsce, gdzie spadła rakieta. W biegu zdjął płaszcz. Tłucze nim w płomień. Stoimy bezradni. Może to tego się bałem? Tak, to chyba to. Ugasili. Nic się nie stało.

- Dajmy spokój. Sfajczymy tartak.

- Jeszcze jedną. Panie poruczniku! Wójcikowa się wygłupia. Pieszczoszka. Cholerę w bok, a nie raketę.

- Wystarczy. Proszę państwa, wracamy! Pani Maria przygotowała coś słodkiego.

Widać, że Groszewski też nie ma ochoty na strzelaninę. Rozumie. Z ogniem nie ma żartów. Dobrze, że się tak skończyło.

- Gospodarz decyduje! Koniec iluminacji. Grabowski, odnieście skrzynkę na kwaterę.

- Rozkaz, obywatelu poruczniku!

Specjalnie udaje służbistę. Przy cywilach.

Chce się pokazać. Trochę wytrzeźwiałem. Dziwne. Strach mi nie przeszedł. Jeszcze coś będzie.

- Za jakiś czas wyjdziemy na dziedziniec, panie Groszewski. Trzeba sprawdzić, czy się gdzieś ogień nie zaprószył.

- Myślałem o tym. Dobrze. Wyjdziemy.

*

- Wacek! Do cholery! Coś ty narozrabiał?

We wszystkich jakby piorun strzelił. Czy ten Herbert zwariował? Wpadł do pokoju bez przywitania. I w ten sposób się zachowuje. Tak do mnie? Przy ludziach?

- Wyjdziemy na chwilę.

Idę energicznie. Nawet równo się trzymam. Jestem w sieni. Gdzie on? Jest.

- Jak ty się do mnie odzywasz? Tak przy ludziach?

- Pieprzę ich! Ty wiesz coś narobił? Cała powiatówka na nogach! Już tu jadą. I z waszej jednostki kompania. Alarm jak wszyscy diabli! W całym chyba powiecie widać było twoją iluminację. Dzwonili tutaj do Brodzisz, ale akurat jest uszkodzona linia telefoniczna. Z Kępy przyjechał na koniu milicjant. Powiedziałem, żeby wracał, a my przyślemy łącznika.

Co robić? Co robić? Tylko spokojnie. Musi być jakieś wyjście...

- Dostaniesz piątkę jak nic. I degradacja murowana.

Mam. Jest sposób.

- Nic nie dostanę, jeżeli będziesz trzymał gębę. Zresztą to i w twoim interesie. W razie czego i tobie się dostanie.

- Co chcesz zrobić?

- Jedź do Kępy, furmankę weź od sołtysa. Powiedz, że u nas jest banda. Jadą od Kępy?

- Tak. Wrabiasz mnie Wacek w ten numer. Ale zaczynam rozumieć. No dobra. Jadę!

*

- Drużyna alarmowa zbiórka!

Zamieszanie. Biegają jak opętani. A przecież i tak nie spali. W biegu dopinają pasy. Są przerażeni.

- W plutonie alarm! Kapral Wrzesiński do mnie!

- Na rozkaz, obywatelu poruczniku.

- Obejmiecie komendę nad resztą plutonu i będziecie posuwać się za nami. Ja jestem z drużyną alarmową. Kierunek - po osi drogi na Kępę. Pluton w marszu ubezpieczonym. Łączność głosem i przez łącznika. Hasło...

Jakie tu dać hasło?

- ...Rakieta, odzew Raba. Gdzie kapral Grabowski?

- Jestem.

Bardzo ciemno. Zaczyna padać śnieg. Drobny, suchy. Zasypało prawie całą drogę. Wiatr. Zimno. To jasne. Jestem lekko ubrany. Na przyjęcie nie wkładałem swetra.

- Macie RKM?

- Tak.

- Musimy to całe gównno odkręcić. Morda w kubeł. Trzymajcie się mnie.

- Rozumiem...

- Drużyna alarmowa za mną. Bieeegiem!

Jesteśmy z Grabowskim na czele. Żołnierze się ociągają. Nie wiedzą, co jest. Mają pietra. Jestem już całkiem trzeźwy. Myślę precyzyjnie.

Wybiegamy za wieś. Zaraz powinien być młodniak. W tym lasku zrobimy całą szopę. Nie ma żadnej widoczności. Chociaż i tak ciemno.

- Stać! Tyraliera w prawo i w lewo! Zająć stanowiska!

Zasrana tyraliera. Jakby tak naprawdę, toby ich wystrzelali jak kaczkę. Rozbiegają się, ale grupkami. Po dwóch... Boją się rozłączać. Pal ich diabli! Nie o to teraz chodzi.

- Grabowski! Skaczymy do przodu. Wąsal! Idziemy z Grabowskim na zwiad. Wy obejmiecie komendę!

Wydaję głupie rozkazy. W boju bym przecież sam się na rozpoznanie nie kitował. Wąsal i tak się nie pokapuje. Szczęśliwy, że to nie jego wysyłam.

Biegniemy zaśnieżoną drogą. Z pięćdziesiąt metrów. E nie... Więcej. Przecież młodniak ma chyba ze sto. Jesteśmy na drugim skraju.

- No jak? Słyszą?

Wy tężamy słuch. Z daleka dobiega przytłumiony warkot. Jadą.

- Jak myślicie? Daleko są?

- Cholera ich wie! Z pięć kilometrów. Aleśmy narozrabiali, panie poruczniku!

- Teraz sobie wasze uwagi do dupy wsadźcie! Nie trzeba było przynosić rakiet. Ale nic. Jakoś będzie. Zaczynamy rąbać.

- Co?

- Robimy tu wojnę. Chyba umiecie strzelać w powietrze?

Zaczynamy strzelaninę. On z „Diachtara”, ja z pepeszy. Nie zdejmuję palca ze spustu.

Wszędzie ogień. Huk. Dym prochowy gryzie w nozdrza. Odwracam się w kierunku, gdzie zaległa drużyna. Rąbię kilka serii nad czubkami świerków młodniaka.

Tam któryś nie wytrzymał nerwowo. Strzał. Świst kuli w zaroślach. Niedaleko. Żeby nas tylko nie ukatrupili. Trzeba ryzykować. Znowu strzał z kabeka. I znowu. Zebrali się w sobie. Odważni, psiakrew! Panu Bogu w okno!

Zmieniam magazynek. Strzelam. Biegam po młodniaku. Grabowski też. Zapadamy się po pas w śniegu. Ciągłe strzelamy. Jak opętani.

- Są już niedaleko, panie poruczniku. Widocznie posłyszeli strzały i zaczęli gonić. Chyba ze dwa kilometry od nas. Nie więcej.

- No to cofamy się! Tylko uważajcie, żeby was który nie pieprzył.

Biegniemy pochyleni. Żeby teraz któryś nie strzelił. Jesteśmy odkryci. Na drodze. Mogą walić jak w kaczkę kuper.

- Kto idzie?

- My! Rakietą!

- Aaa... pan porucznik. Co to było?

To Wąsal. Ale ma cykorię. Dobrze było zagrane. Jest przerażony. Ledwie mówi bałwan.

- Banda. Wycofali się na prawo. Ale diabli wiedzą, czy znowu nie zaatakują. A tu kto strzelał?

- Melduję, że ja i jeszcze paru. Atakowali nasze prawe skrzydło. Ale odparliśmy.

- Widzieliście ich?

- Tak jest. Po paru strzałach się wycofali.

- Dobrze. Tak nam się wydawało, że na was szli.

Będzie teraz dureń do śmierci wierzył, że odparł atak. O to przecież chodziło. Uwaga. Jadą ciężarówki. Wolno. Na wygaszonych światłach.

- Kto to, panie poruczniku?

Chce mi się teraz śmiać.

- Odsiecz. Chyba oni. Stój! Kto idzie?

Zatrzymali się. Słychać, jak zeskakują z samochodów. Zajmują stanowiska.

Cisza. Co jest?

- Tu dowódca Grupy Ochronno-Propagandowej! Zbliżyć się do rozpoznania, bo strzelam!

To Herbert!

- Uspokój się, Czarnuszewicz. To my...

- Co się u was dzieje?

To ten podporucznik z informacji. Poznałem go od razu po głosie. Wstaję ze śniegu. Idę środkiem drogi. Jest już przy mnie. Tak, to on.

- Banda przechodziła. Nawiązaliśmy z nimi kontakt ogniowy, ale nam zwiali. Myślałem, że się na nich natkniecie. Widocznie poszli w prawo.

- Ilu ich było?

- Nie liczyłem. Ale nie taka wielka grupa. Ze dwudziestu ludzi. Mój kapral Wąsał twierdzi, że więcej. Ilu według was, Wąsał, liczyła grupa?

- Melduję, że sądząc po sile ognia, około pięćdziesięciu.

Za nami na drodze jakieś szmery. Ostrożnie posuwa się mój pluton. Niech ich szlag trafi. Mogliby nas dawno wszystkich tutaj wystrzelać, a oni krok za kroczkiem.

- Grabowski. Wyślijcie łącznika. Niech pluton maszeruje tutaj. Szybko.

Podchodzą jeszcze jacyś cywile. Jeden świeci lampką. Ja ich nie widzę. Zgasił. Wzrok z trudem przyzwyczajają się do ciemności. Już. Znowu ich widzę.

- Gdzie uciekli?

- Porucznik mówi, że na Wilki.

- Ilu ich było?

- Sami nie wiedzą. Pewnie koło trzydziestki.

- Nie mogli im dać rady? Musieli aż taki raban robić? Są zabici?

- Nie. U nas nie ma. Skutków ognia też nie sprawdzałem. Nie było czasu.

- Ja chyba jednego kropnąłem. Prosto na mnie wylazł. Widziałem, jak się przewracał. Tam. Na skraju młodniaka.

Grabowski. On wie, jak grać. Fajny facet.

- No dobrze. My pojedziemy drogą na Wilki. Wy z plutonem pójdziecie wzdłuż rowu... Wiecie...

- Tak jest! Chodzi o ten kanał melioracyjny?

- Właśnie. My będziemy w Wilkach pierwsi. Damy im popęd. Jak będą uciekać, to nadzieją się na was. Ale też wyciągajcie nogi. Jakie ustaliliście hasło?

- Rakietą, odzew Raba.

- Nieźle. I jeszcze jedno. Jak będziecie w Wilkach, to biała rakietą w górę. Nie wystrzelaliście wszystkich, co? I żadnych okrzyków „hurrra”. Robimy ich na cicho.

- Tak jest!

- Wykonać!

Dlaczego ja głupi słucham tego cywila? Co mi tam. Dobra jest! Udał się numer.

Przy samochodach ciche głosy. Ładują się pospiesznie.

- Kapral Wąsał. Widzę, że jesteście ostrzelany facet. Obejmiecie komendę nad szpicą. Po osi kanału, kierunek Wilki. Łączność głosowa i przez łącznika. Naprzód!

*

Jezus Maria! Co się tam dzieje. Strzelanina jak wszyscy diabli! To w Wilkach. Raz po raz słycać wybuchy granatów. Paciorki pocisków przecinają ukośnie niebo. Strzelają amunicją świetlną. Biegnie łącznik od Wąsała.

- Obywatelu poruczniku. W Wilkach już walczą.

- Nowinę mi powiedzieliście. Sam słyszę. Powiedźcie kapralowi, żeby się zatrzymał. Zaraz tam będę. Grabowski!

- Jestem.

- Co wy o tym wszystkim myślicie?

- Wychodzi na to, że mamy szczęście. Oni tam naprawdę na kogoś się napatoczyli.

Walka robi się coraz gwałtowniejsza. To słycać po nasileniu ognia. Jesteśmy od nich nie dalej niż półtora kilometra. W prawym końcu wioski wybucha pożar. Widocznie od zapalającej kuli. Mocno się pali. Ogień idzie w górę. Robi się czerwono. I jasno.

Idę na czoło plutonu. Sam poprowadzę. Wojsko jest młode. Niedoświadczeni chłopcy. Na pierwszy rzut oka widać. Boją się nocnej walki.

- Grabowski. Jestem w przedniej straży. Uważaj na pluton. Teraz nie ma już żartów. Nie można ryzykować. W razie czego nie pchaj niepotrzebnie chłopaków w ogień. Zresztą zaraz wrócę. Posuwajcie się wolno za nami.

Biegnę do przodu. We wsi robi się piekło. Już nawet słysząc jakieś krzyki. Nad nami gwizdzą zbłąkane pociski.

Wychodzę na samo czoło szpicy. Trzeba iść wolno. Bez pajacowania. Może uda się nam nie wejść do walki. Z moimi chłopakami to koniec. Rzeź pewna. W nocy sami się wystrzelają. Albo pouciekają. Potem wstyd.

Kiedy mnie widzą na czele, są pewniejsi. Myślą, że im to pomoże. Akurat. Ważne nie nadziać się na główny ogień. Jeżeli to jest oddział tego Bończy, to siłę ognia mają dużą.

Nie. To nie jest cały oddział. Walka już zamiera. Jeszcze jedna chałupa się zapaliła. Nie. Dwa stogi. Może specjalnie podpalili. Strzelanina wyraźnie cichnie. Już tylko pojedyncze strzały. Pewnie uciekli. Gdyby wiali na nas, to już miałbym ich na karku. Poszli w innym kierunku. Dobrze prowadziłem pluton. Nic się nie stało.

Wyjmuję raketnicę. Strzelam. Biała rakietka idzie w górę.

- No to teraz, śmiało! Naprzód!

Niechętnie idą, ale idą. Trochę ich uspokaja milknąca strzelanina.

Strzelam jeszcze raz z raketnicy. Jesteśmy w opłotkach. Jasno jak w dzień. Ogień się pali. Tak. Dwa stogi i stodoła. Przy stodole biegają ludzie z wiadrami. Gaszą. Na drodze nasi. Jeszcze niektórzy wybiegają z chałup. Zobaczyli nas. Odskoczyli na boki.

- Kto idzie? Hasło?

- Raketnica. To my. Swoi.

- Raba. Przechodźcie.

Cały pluton jest we wsi. Słysząc pokrzykiwania. Ale już nikt nie strzela. Walka skończyła się z dziesięć minut temu. Na śniegu leżą zabici. Boże! Ilu ich jest! Leżą jeden koło drugiego. Trzej cywile przeszukują im ubrania. Szukają dokumentów.

Straszne! Straszne! Chce mi się wyc z żalu. To ja. Ja wszystkiemu jestem winien.

- No i jak, poruczniku? Dopadliśmy ich. Na was nikt się nie wycofywał? Może jakieś niedobitki?

Trzeba się opanować. Muszę być spokojny.

- Nie. Nikogo nie spotkaliśmy.

- Chyba ich wszystkich tutaj wytłukiliśmy.

- Naszych dużo zginęło?

- Trzech. Od was z wojska. I ten porucznik z informacji. Jak ptaka go ustrzelili. Przez deski w stodole. Tej, co się pali. Z urzyna go kropnęli. Taki frajer.

Aż mi się nie chce wierzyć, żeby w takim oddziale chodzili z urzynami. A może...

- Szkoda go. Fajny był facet.

- Fajny. Tylko nieostrzelany. Za gorący.

- Az bandy ilu?

- Myślę, że wszyscy. Szesnastu i jedna baba. Chyba łączniczka. Teraz nie sposób szukać. Niech się to wszystko uspokoi. Popatrzymy za dnia.

Zajeżdżają ciężarówki. Reflektory już świecą normalnie. Pełne światła. W obejściach też co chwila błyskają kieszonkowe latarki. Wolno już używać. Widocznie był rozkaz.

Jedna ciężarówka podjechała w pobliże rzędu zabitych. Oświetliła ich reflektorami. Idę w tym kierunku. Nogi mam sztywne. Strasznie wyglądają. Przeważnie młodzi. Dali się zaskoczyć. Większość w koszulach. Krew jeszcze nie zakrzepnięta. Włosy im jakoś dziwnie sterczą. Boże jedyny! Dlaczego się dali zaskoczyć? Musieli przecież widzieć rakiety?

Kto to? Ja go znam! Tak. Patrzy na mnie. Nie może przecież już patrzeć. On nie żyje. Zabity. Wnętrznosci ma wyszarpane. Krwawa miazga. Ale twarz nie naruszona. Widocznie sam rozerwał się granatem. Jeszcze kikuty rąk ma przysunięte do brzucha. To on. Na pewno on. On wychodził od Danki. I jego widziałem na zebraniach. To jej narzeczony.

Kto leży na końcu szeregu? Dziewczyna. Szczupłe nogi. Buty oficerki. Kraciasta wełniana spódnica. Ktoś zrobił sobie żart. Podciągnął spódnicę w górę. Widać zakrwawione wełniane majtki. Leży twarzą w śniegu.

Dzwoni coś we mnie. W ustach sucho. Wszystko jest wyraźne. Przeróżliwie wyraźne. Idę do zabitej. Tam jest mój los. Moje nieszczęście. Czuję to.

Blond włosy ma rozrzucone. Całe kosmyki zlepione krwią. Dostała w potylicę. Ręce ma wyciągnięte wzdłuż tułowia. Dłonie nienaturalnie wykręcone. Ja znam te ręce. Tak. Widziałem je tyle razy koło siebie. Na ławce. Układające zeszyty. Podające mi książki. Biorą ją za ramię. Delikatnie odwracam. Jest ciężka.

- Jezu! Jezu!

Tak. Nie zbudzę się z tego snu. Nie wymyśliłem tego w obłądnym strachu. To jest Danką. Rozniosło jej twarz. Przecięło na pół. Policzki odchylone, jak dwie kartki otwartej, białej książki. W każdej kartce jedno przerażone oko. Na lewym plama krwi. Zamiast nosa, warg, brody - jama. Krwawiąca jama. Z resztkami zębów, języka, krtani. I jakaś różowa ohydna piana.

Osuwam się na kolana. Co robić? Jak jej pomóc? Więc jak to? Ona nie żyje? Nie będzie moja? Co ja zrobiłem? Kto to strzelał?

Zaczynam wymiotować. Jakby mi chciało wydrzeć wnętrznosci. Muszę się powstrzymać. Przecież nie jestem nowicjuszem. Znam wojnę. Nie mogę tego robić przy niej. Przy Dance. Mojej Dance.

- Co pan, panie poruczniku? Słaby z pana wojak. I zamki ma pan słabe...

Nienawidzę was wszystkich. Wszystkich. Przez was ją straciłem. Dlaczego tego nie mówię głośno? Jestem tchórzliwy pies. Danką... Danką... Co ja zrobiłem... Po co tutaj przychodziłeś? Po co? Dziewczyno, po co?

- Panie poruczniku. Nasi leżą tam dalej. Jednak siedmiu zginęło...

To Grabowski. Bierze mnie delikatnie pod ramię...

- Nasi? A którzy są nie nasi? Którzy?

- Ciszej, panie poruczniku. Po co ma ktoś słyszeć? Pan znał tę dziewczynę, prawda?

Rozdział X

- Pojadę sam, Herbert. Gdzie się będziesz targał? Zostań z plutonem.

- Weź chociaż kilku żołnierzy.

- Czyś ty zwariował? Przecież jest dzień! Coś się taki troskliwy zrobił? No dobrze. Niech ci będzie. Zabiorę Piekarza. Przewietrzy się. Strzelec Piekarz! Do mnie!

- Na rozkaz, obywatelu poruczniku!

- Ubierzcie się. Weźcie karabin, amunicję. Pojedziecie ze mną do Kępy. Jako obstawa.

- Rozkaz!

Zadowolony. Dla niego to rozrywka.

Herbert nerwowo pali papierosa. Oczy ma czerwone. Pewnie z niewyspania. Drugą noc ganiają po terenie.

Dziwne rzeczy dzieją się ze mną. Jestem odrętwiały. Nic mnie nie obchodzi. Nawet wódka mnie nie bierze. Najchętniej strzeliłbym sobie w łeb.

- Wacek. Skąd był ten telefon?

- Z Kępy. Przyjeżdża ktoś z wydziału pol. wych. W sprawie wyborów.

- To nie mógł przyjechać do Brodziesz?

- Jakby mógł, toby przyjechał. Co z tą furmanką?

Jedzie. Szkoda, że znowu potajało. Saniami byłoby przyjemniej. Na świecie jakoś szaro.

*

Do Kępy jeszcze trzy kilometry. Mijamy Wilki. Konie idą rażno. Wjeżdżamy w las.

Coś się dzieje! Jacyś obcy wyskakują z krzaków. Pełno ich. Trzeba uciekać.

- Stać! Ręce do góry!

Furman ściąga lejce.

- Prrr...

- Panie poruczniku, co robić?

- Wlej w lewo. Ja będę strzelał!

Błysk. Co to? Nic nie rozumiem. Nie było żadnego huku. Leżę na śniegu.

Piekarz płacze.

- Chciał strzylać, panowie. Zdzieliłem go biczyskiem. Na odlew. Aże z woza zleciał. Skurwysyn!

Aha... To chłopek. W ustach czuję krew. Słono. Chyba i prawe oko mi zapuchło.

Ktoś mnie kopie w bok. Boli. Jeszcze raz. Czego on się wścieka?

- Wstań, skurwielu! Rączki do nieba. No już!!

Kopnął mnie. Podnoszę ręce. Jestem sam. Na Piekarza nie mogę liczyć. Muszę się ratować.

Wyszarpuje mi „tetenkę” z kabury. Automat został na wozie. Ręce mam podniesione. Czuję się jakbym był nagi.

Na drodze jest ich coraz więcej. Prowadzą mnie w głąb lasu. Piekarza też. To jednak jeszcze dzieciak. Duży wiejski chłoptaś. Idzie i beczy. Cały usmarkany. Ręce trzyma wysoko uniesione. W lesie za zakrętem drogi, stoją furmanki. Cztery. Tabory. Swojski widok. Jakbym widział nasz oddział. I chłopaki podobnie ubrani. Broń podobna. Co podobna? Ta sama. Ale dużo już ruskiej.

Piekarz ciągle płacze. To już jest denerwujące. Nie mogę się skupić. Idzie i śmiesznie podryguje. Jakby podskakiwał.

Wiem. Powinienem się bać. Ale nie mogę. Jest mi wszystko jedno. Muszę z tego jakoś wyjść. Jestem powolny i ociężały. Ale jakiś dziwnie dokładny. Zawsze, kiedy idzie o życie, mam to samo. Muszę uciec. Inaczej zabijają. Czuję to. Ucieknę. Nic nie ryzykuję. Trzeba tylko wyczuć odpowiedni moment. Ale za długo nie będę się ochrzeniał. Skaczę i koniec.

Idzie do nas ich dowódca. To widać od razu. Niepozorny. Niski. Buty ma filcowe. Starszy facet. Będzie miał ze czterdzieści pięć lat. Ubrany w kozuch. I dużą futrzaną czapę. Z orzełkiem. Na kozuchu pas, koalicyjka. I sznur skórzany przyczepiony do pistoletu. Wąsiki takie jak u Hitlera. Żółte na górnej wardze. Od papierosów.

- Nie spodziewałeś się nas tutaj spotkać, obywatelu poruczniku, co?

W czasie mówienia podszedł sprężycie do mnie. O cholera! Nie spodziewałem się. Trzasnął mnie wierzchem dłoni. W nasadę nosa. Krew zalewa mi twarz. O, ty skurwysynu. Żebyś ja cię kiedyś dostał w swoje ręce. Jeszcze pogadamy! Krew kapie mi na płaszcz.

- Zdjąć mu szynel. Szkoda łacha. Przyda się któremuś z chłopców. Mundur i buty też.

Rzucili się na mnie! Zdzierają płaszcz, mundur, sweter...

- Buty, panie kapitanie, zdejmujemy potem.

- Jak chcecie.

Zimno mi. Słabo widzę. Jakoś mi słono. Dobrze, że wygraną forszę zostawiłem na kwaterze. I państwową. Chociaż państwowej to już niewiele. Słabo widzę, cholera. Słabo widzę.

Co z Piekarzem? Też go obdzierają. Przez tego sukinsyna Herberta zabijają chłopaka. Przecież chciałem jechać sam. Nawet byłoby lepiej. Miałbym większą swobodą. Trudno. Spróbuję zresztą pogadać z tym gnojem.

- Podchorąży Mazur. Wynajdźcie dla nich plażę i niech się poopalają. Najlepiej byłoby w tym miejscu, gdzie wytłukli pluton Szarego.

- Panie kapitanie...

- Skąd wiesz, że jestem kapitanem?

- To tak z przyzwyczajenia. Przedwojennym mówię kapitanie...

Żeby chociaż tego Piekarza uratować. Ja sobie jakoś poradzę.

- Myślę, że mam przyjemność z kapitanem Bończą?

- Przyjemność? Patrzcie! Skurwysyn dowcipny. O co ci chodzi?

- O tego żołnierza. To prosty strzelec. Z poboru. Co on winien. Na polityce się nie zna. Proszę go zwolnić.

- Piętnastu prostych strzelców zastrzeliliście, skurwysyny, trzy dni temu. I kobietę... Kto ich zastrzelił? Jak myślisz? Ano wasi prości strzelcy! Z poboru! Ty gnoju! Brać ich!

- Naprzód!

Nie. Tego się nie spodziewałem. Mazur, to mój ORMO-wiec z posterunku w Kępie.

- Łobroczyć się?

Uśmiechnął się z uznaniem. Wiem. Lubiliśmy takich, co przed śmiercią trzymali fason. Zęby ma białe. Rzadkie blond wąsy.

- Poznałeś? Muszę ci powiedzieć, że już wtedy chciałem cię kropnąć. Ale byłeś trochę za daleko. No jak już się „łobroczyłeś”, to dalej w drogę! Zaraz się „łobolicie”. Paciorek chcesz zmówić?

Jest mi zimno. Przecież to mróz. A my w koszulach.

- Paciorek to może już na miejscu.

Przechodzimy koło furmanki. Nasz furman jeszcze coś opowiada. Macha rękami jak wiatrak. Dumny sukinsyn.

Chryste! Koło niego stoi ten, co go puściłem. Ten młodszy. Nawet ma tego samego stena. Jest szansa. Jest. Przecież nie będzie do mnie strzelał. Przynajmniej celnie. Jest szansa. Koncentruję się. Teraz.

- A gdzie nas pan będzie rozwał, kolego podchorąży?

Prężę się. Lekko się skuliłem.

- A ta...

Nie skończył. Kopię go po piłkarsku „z woleja”. W samo krocze. Zaskowyczał. Opuścił automat. Leży na drodze.

Całym ciałem rzucam się w bok. Muszę lecieć wprost na tego małego. Ale on nie strzeli. Wiem. Potem obok furmanki. Dalej płot i zaraz las. Mają zasłonięte pole ostrzału. Tam. Tam trzeba. W lesie ucieknę. Jestem lekko ubrany. Oni w kozuchach. Nie dadzą rady. Są ciężsi.

Chłop z krzykiem uskakuje w bok. Mały naciąga zamek stena.

- Nie strzelaj! strzelaj! To ja!

Waha się! Bogu dzięki. Nie strzeli. Minąłem go. Jestem koło płotu...

Dlaczego leżę? Twarzą w śniegu. Bolą mnie plecy. Chcę płakać. Więc jednak strzelił... Strzelił... I nie zdam matury. I nie zdam matury... Nigdy nie zdam... Krzyk. Strzał. To zabijają Piekarza. Słyszę czyjeś

kroki. Ktoś kopie mnie w bok. Przewraca na plecy. To on. Mazur. Patrzy na mnie. Ciągłe patrzy. Długo. Białe zęby dziwnie mu błyszczą.

Odszedł do tyłu dwa kroki. Teraz podbiega. Jak na zawodach piłkarskich. Kopie mnie w podbrzusze. Słyszę kopnięcie, ale bólu nie czuję. Źle. Od pasa jestem odrętwiały. Kula musiała uszkodzić kręgosłup.

- Masz! Oddaję ci, śmierdzielu!

Przed oczami mam szarą watę. Coraz gorzej widzę. Znowu coś mówi. Nic nie słyszę, ale widzę lepiej. Wyjmuje z kabury pistolet. Parabellum. Będzie dobijał. Za chwilę. Za chwilę wszystko się skończy. Nie chcę! Nie!

Wolno naciąga sprężynę zamka. Celuje. Widzę krążek otworu lufy. Więc to tak wygląda? Odwracam głowę. Czuję śnieg pod policzkiem. Wtulić głowę w ziemię. Nie mam siły. Co robić?

Strzał.

Jeszcze żyję? Śnieg i ziemia prysnęły mi w twarz. Straszliwie piecze czoło. Nic nie widzę. Na oczach mam wilgotną ciepłą szmatę.

- No i po wszystkim. Ściągnijcie mu buty. Przydadzą się komu...

Rozumiem. Chybił. Kula przesunęła się po czole. Chyba zdarła mi brwi. A może to oczy? Nie. Boli wyżej. Twarz jest cała we krwi. To go zmyliło. Dobrze. Trzeba udawać zabitego.

Dlaczego mnie włączą po śniegu? Aha... Zdejmują buty. Bolą mnie plecy. Żeby tylko nie krzyknąć. Oparł mi nogę o krocze. Szarpie za but. Zdjął. Dobrze, że nie zabrałem oficerek. Ciągłe nic nie czuję. Zimno... Bardzo zimno...

- Panowie! Panowie! On tu leży! Za drewnianą!

Jeszcze żyję? Chyba tak. Zimno mi. I mokro pod plecami. Pewnie krew. Wykrwawiłem się. To koniec. Słyszeć warkot motoru. Nie. Ciężarówka. To wojsko. Tylko wojsko ma samochody. Za późno. Za późno.

- Gdzie leży?

- O tam, oj! Za drewnianą. Kole gałęzi.

To głos Grabowskiego. To on. Jednak mnie szukali. Są... Szukali... Grabowski...

- O Jezu! To nasz porucznik!

Nadleśnictwo Szeroki Bór - 27 lipca 1972 r.

„Czytelnik”, Warszawa 1974. Wydanie I. Nakład 20290. Ark. wyd. 7,4; ark. druk. 12,5. Papier druk. m/gł. 92X114, kl. IV, 65 g.
Oddano do składania 26 IX 1973 r.
Podpisano do druku 11 IV 1974 r.
Druk ukończono w maju 1974 r.
Zakłady Graficzne w Toruniu.
Zam. wyd. 342; druk. 1940. W-114 Cena zł 16. Printed in Poland

